MOŻESZ WYGRAĆ TE WYBORY

CZY FRANCISZEK SIĘ BRONI

IRANKI: NASZ BUNT TRWA

ZNIEŚMY SZKOLNY OBOWIĄZEK

Kraków 13 – 19 września 2023 nr 38 (3871) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

HANNA KRALL

Po raz pierwszy o sobie

STRONY SPECJALNE

NAGRODA POLIN 2023

HISTORIA NA GŁOSY

WAWEL: OBRAZ ZŁOTEGO WIEKU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

5. KIELECKI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

5.* KIELECKI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH
25 WRZEŚNIA – 11 PAŹDZIERNIKA 2023

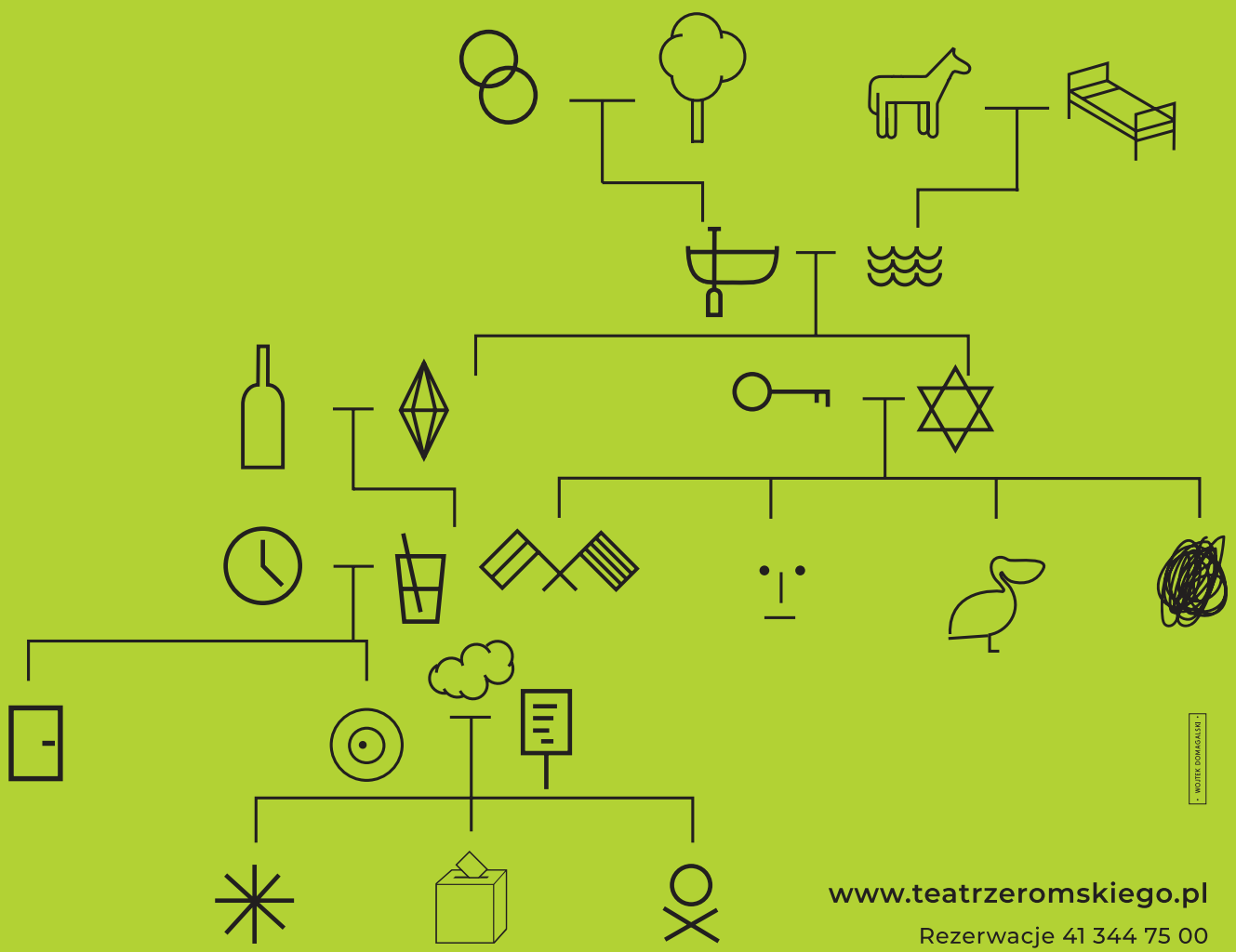

* WOJTEK DOMAGALSKI *

www.teatrzeromskiego.pl

Rezerwacje 41 344 75 00

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Województwa Świętokrzyskiego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

Partnerzy festiwalu:

KIELECKIE CENTRUM KULTURY

WDK

instytut teatralny 2023

INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

KIELCE ECC 2029 KANDYDAT

APPLAUSE

Patroni medialni festiwalu:

onet

TEATR

e-teatr.pl

RADIO KIELCE 101,4 MHz

TVP 3 KIELCE

wyborcza

Echo

KS. ADAM

Boniecki: *Mimochód Hanny Krall*

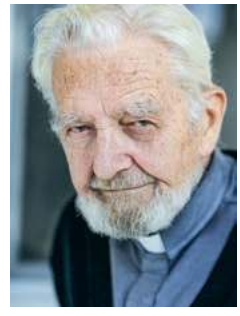

Wywiad z Hanną Krall, przeprowadzony przez Annę Goc, jest wyraźnie osobisty. Właśnie taki – mówi o tym i jego tytuł, i zapowiedź na naszej okładce. Trudno mi o nim cokolwiek pisać, tym bardziej że zaraz sami go przeczytacie. Ale mam właśnie przy sobie (choć nie mam dziś przy sobie wielu innych drogich mi rzeczy) najnowszą książkę Hanny Krall „Szczegóły znaczące", na którą składają się teksty pisane w ostatnich latach dla „Tygodnika Powszechnego". Ukazywały się tu co dwa tygodnie, ale mimo tej regularności nie myśleliśmy o nich jak o felietonach. Wiadomo było, że Krall felietonów nie pisze, że będą to zupełnie inne, właściwe tylko jej, formy pisane. Na nowo zredagowane wyszły więc teraz z przedmową Mariusza Szczygła.

Reporter Mariusz Szczygieł jest i w tej roli znakomity: niby dopowiada, a jednak nie zawsze, niby wszystko wie najlepiej, a jednak przyznaje się do niewiedzy. Na końcu swojego wstępu przyznaje, że czuje się jak chłopiec opisany przez Hannę Krall. Takim chłopcem jestem (byłem), panie Mariuszu, i ja.

To było dość dawno, można nawet powiedzieć, że bardzo dawno. Napisałem w „Tygodniku" recenzję książki „Zdążyć przed Panem Bogiem". Nie znałem wtedy jeszcze ani Marka Edelmana, ani Hanny Krall. Ktoś mi doniósł, że Krall chciałaby poznać autora recenzji, którą uznała za dobrą (powiedziała mi potem, że za jedyną dobrą). Poszedłem więc po wieczornej mszy do hotelu. Była jedynym człowiekiem w hotelowej restauracji. Jadła kurczaka? Nie, to nie mógł być ten rodzaj skromnego drobiu. Raczej kaczkę, bo była cała umazana tłuszczem, nie tylko ręce. To było, jak wspomniałem, bardzo dawno, kilkadziesiąt lat temu, ale pamiętam jak dziś. Taki był początek naszej trwającej kilkadziesiąt lat przyjaźni.

Przez te długie lata Hanna Krall napisała wiele książek. Osobliwością jest to, że jej twórczy rozwój polegał na redukcji. Hanna Krall pisze tak, żeby w tym, co pisze, nie było żadnego zbędnego słowa. Dodam, że to nie jest sposób prosty. Spróbujcie sami. Pisze o ludziach, ale często nie wymienia ich po imieniu. Na końcu książki zamieszcza „Spis rozdziałów i bohaterów". Mówi o tym w rozmowie z Anną Goc: „Normalny przedmiot nabiera znaczeń. (...) z dosłownego staje się znaczącą metaforą". Bo Hanna Krall w pisaniu doszła do momentu, w którym może się zwracać po prostu do każdego człowieka, każdego z nas. Bo sprawy ludzkie, choć są tak niesłychanie zindywidualizowane, dają się uchwycić w taki sposób, że zaczynają dotyczyć nas wszystkich. Redukcja słów, ustąpienie miejsca prawdzie.

Jeśli ktoś pomyśli, że w książkach takich jak np. „Szczegóły znaczące" wnioski o ludzkiej naturze są proste i wyłożone na tacy, ten się bardzo pomyli, może wręcz rozczaruje. Nie ma u Krall prostych historii, jak to w ludzkich dziejach. Czytam i czytam „Szczegóły znaczące"... pewnie można by napisać recenzję, omówienie czy może artykuł. Nie napiszę, zawsze będzie to – przynajmniej w moim ujęciu – fragmentaryczne, nigdy nie zdołam napisać interesująco, pomijając detale, w których ukryte jest to coś, co Hanna Krall tak określa: „O rzeczach ważnych lubię pisać mimochodem. Chciałabym, żeby moje pisanie to był taki jeden wielki mimochód".

Czytajcie Hannę Krall, czytajcie wywiad z Hanną Krall, a nade wszystko – jej teksty, oczyszczone ze wszystkiego, co zbędne. Czytajcie wolno i uważnie, a być może i wasza mądrość wzrośnie. Na początek rozmowa Anny Goc, potem książki, książki, książki. ©℗

Wybierz „Tygodnik" papierowy+cyfrowy na TygodnikPowszechny.pl/sklep

papierowy + cyfrowy na rok

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Natychmiastowy dostęp
- Także w formatach PDF, **EPUB** i **MOBI**
- Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku

599,99 zł

papierowy + cyfrowy na kwartał

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Natychmiastowy dostęp
- Także w formatach PDF, **EPUB** i **MOBI**
- Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku

199,99 zł

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Partia weźmie wszystko
MAŁGORZATA SOLECKA
Kolejne zwycięstwo wyborcze PiS może oznaczać trwałe zmiany w wielu kluczowych sferach życia publicznego, w tym likwidację idei samorządności. Czy czeka nas zupełny demontaż systemu demokratycznego?

36 Papież nadal chce reform
PIOTR SIKORA
Po wypowiedziach o Rosji i Mongolii autorytet Franciszka został znacznie nadszarpnięty. Wciąż jednak może on przeprowadzić w Kościele ważne doktrynalne zmiany.

46 Rok kobiecej rewolucji
KRZYSZTOF STORY
„Ciężko mi opowiadać znajomym z Iranu o szczęśliwym życiu, które mam tutaj, bo wiem, co tam przeżywają" – mówi Sayna. Jak Iranki mieszkające w Polsce odbierają to, co od roku dzieje się w ich ojczyźnie?

68 Uwaga!
KATARZYNA DZIADOWICZ
Niektóre bodźce przyciągają nasze zmysły jak magnes, wszystko poza nimi staje się nieważne. Zwykle ratuje nam to życie – ale bywa też, że nas gubi.

78 Pierwszy raz w pierwszej osobie
ROZMOWA Z HANNĄ KRALL, REPORTERKĄ:
O rzeczach ważnych lubię pisać mimochodem. Chciałabym, żeby moje pisanie to był taki jeden wielki mimochód.

94 Wszystko w trzy minuty
JAN EMIL MŁYNARSKI, MUZYK
Ojciec mówił, że piosenka to forma magiczna. Drzemią w niej wszystkie możliwe nastroje.

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL // REMO CASILLI / AP / EAST NEWS // ANDREW KELLY / REUTERS / FORUM // KOBAS LAKSA / MATERIAŁY PRASOWE // BEATA STANKIEWICZ / KOLEKCJA MOCAL // MORTEZA NIKOUBAZL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kampania zaczęła się naprawdę
MAREK KĘSKRAWIEC

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, ABP GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Partia weźmie wszystko
MAŁGORZATA SOLECKA

24 Akwarium dla delfinów
MAREK RABIJ: *Ustawą o fundacji rodzinnej rząd PiS stworzył podwaliny dla nowej polskiej oligarchii*

26 Koniec szkoły, jaką znamy
ROZMOWA Z MIKOŁAJEM MARCELĄ: *Na początek znieśmy obowiązek edukacyjny rozumiany jako przymus uczenia się tego samego przez wszystkich w tym samym czasie*

■ ■ WIARA

36 Papież nadal chce reform
PIOTR SIKORA

40 Luterański Kraków
ŁUKASZ OSTRUSZKA: *Polska gospodarzem najważniejszego zgromadzenia ogólnoświatowego luteran*

42 Przyzwolenie na nienawiść
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU *o atakach werbalnych i fizycznych na chrześcijan ze strony ortodoksyjnych żydów*

■ ■ ŚWIAT

46 Rok kobiecej rewolucji
KRZYSZTOF STORY

49 Czas puczystów
WOJCIECH JAGIELSKI I ALEXIO RASHIRAI Z HARARE: *Wojskowe przewroty znów nękają Afrykę*

TEMAT TYGODNIKA

12 Możesz wygrać te wybory
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Chcąc odpowiedzieć na pytanie, czy inna polityka jest możliwa, musimy spytać, czy możliwe są inne media. Odpowiedź jest prosta.

JAN STANISŁAWSKI DLA „TP"

■ DODATKI ■

31 NAGRODA POLIN 2023
63 HISTORIA NA GŁOSY
73 WAWEL: OBRAZ ZŁOTEGO WIEKU

■ FELIETONY ■

45 WOJCIECH BONOWICZ
72 JACEK PODSIADŁO
92 OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: HANNA KRALL
FRAGMENT OBRAZU BEATY STANKIEWICZ / KOLEKCJA MOCAK

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

52 Zanim wrócimy
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ZAPOROŻA: *Ukraińscy samorządowcy szykują się do powrotu*

54 Najdłuższa sprawa Nelsona Caucoto
MAGDALENA BARTCZAK: *Chile 50 lat po zamachu stanu*

57 Odetchnąć w Londynie
PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII *o stolicy objętej strefą niskiej emisji spalin*

■ ■ HISTORIA

58 Odyseja Janiny
ALEKSANDRA MAJDZIŃSKA: *Historia polskiej rodziny, która po 1921 r. została w Związku Sowieckim*

■ ■ NAUKA

68 Uwaga!
KATARZYNA DZIADOWICZ

■ ■ KULTURA

78 Pierwszy raz w pierwszej osobie
ROZMOWA Z HANNĄ KRALL

82 Daleki świat
ŁUKASZ NAJDER *o Walterze Kempowskim*

84 Miłość, w1ara, nadzi3ja
MICHAŁ WALKIEWICZ *o serialu „Pani Davis"*

88 Równi, jak w Oslo
DOROTA KOZIŃSKA: *Taki konkurs to tylko w Norwegii*

90 Jesteśmy chimerami
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Saint Omer"*

91 Wyspa i apokalipsa
LEKTOR *o książce „Wiesenstein. Opowieść o Gerharcie Hauptmannie" Hansa Pleschinskiego*

■ ■ ZMYSŁY

94 Wszystko w trzy minuty
MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Nigeria: sto dni prezydenta [Strona świata]
Nie czekając na wyrok w sprawie unieważnienia wyborów, prezydent Tinubu wprowadził w kraju rewolucyjne zmiany
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata**

Ciężki stan nieważkości [Co obejrzeć w weekend]
Kosmos mówi: „sprawdzam" ludzkiej psyche
– pisze **ANITA PIOTROWSKA** w recenzji filmu „Najdłuższe pożegnanie" | **TygodnikPowszechny.pl/weekend**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KAMPANIA ZACZĘŁA SIĘ NAPRAWDĘ

Opozycja potraktowała wyborczy weekend bardzo poważnie, dobrze rozpisując role. Ale czy zdąży dogonić PiS, który dla utrzymania władzy jest gotowy na łamanie demokratycznych reguł?

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Donald Tusk podczas konwencji wyborczej Koalicji Obywatelskiej, Tarnów, 9 września 2023 r. Jarosław Kaczyński podczas konwencji wyborczej Prawa i Sprawiedliwości, Końskie, 9 września 2023 r.

Sondaże są tak sprzeczne, iż każda z partii wie, że zażarta walka trwać będzie do samego końca. Jedne badania dają opozycji nadzieję na większość, w innych PiS osiąga 37 proc., a to rodzi wspomnienia z roku 2015, gdy takie poparcie wystarczyło do uzyskania 235 miejsc w Sejmie (cztery lata wcześniej lepszy wynik Platformy dał jej tylko 207 posłów). Paradoks ten wynikał z upadku pod próg wyborczy Zjednoczonej Lewicy i partii KORWiN; zmarnowane głosy w dużej mierze skonsumował wtedy zwycięzca.

Dziś również coraz ostrzejszy i bardzo emocjonalny konflikt między głównymi siłami sprawia, że coraz trudniej wcisnąć się tu komuś trzeciemu, a traci zwłaszcza Konfederacja, która złapała zadyszkę i wymyśla się na nowo. Trzecia Droga i Lewica też mają problemy i choć raczej nie grozi im zejście pod próg, to jednak ich słaby wynik nie da rządów Donaldowi Tuskowi. Zwłaszcza że obecna władza zaczęła zalewać internet niespotykaną w III RP propagandą, a telewizja publiczna już niczego nie udaje. W sobotę TVP Info zupełnie zignorowała konwencje Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy, a za chwilę do akcji rzekomo promującej referendum włączą się spółki Skarbu

Państwa, pomagając milionami partii władzy.

Podczas sobotniej konwencji w Końskich Jarosław Kaczyński mówił długo i nużąco o skoku cywilizacyjnym, jaki przyniosły Polsce rządy PiS. Biorąc pod uwagę, że występujący później Mateusz Morawiecki kreślił wizję niedalekiej przyszłości, w której poziom życia w Polsce dogoni ten francuski (ale bez płonących na ulicach aut, jak zaznaczył) – to przedstawione obietnice wyglądały słabo. 800 plus, bezpłatne leki dla seniorów, dzieci i młodzieży, rewitalizacja osiedli (wymuszona dyrektywą unijną i w części przez UE finansowana), lepsze posiłki w szpitalach, więcej polskich towarów w sklepach, patriotyczne wycieczki szkolne i emerytury stażowe – to, poza ostatnim punktem, miks rzeczy znanych lub mało istotnych.

Ważniejsze było to, co prezes mówił między wierszami o domknięciu „procesu demokratyzacji", połączonego od razu z dokończeniem reformy sądów. Pojawiły się też deklaracje obrony gotówki, walki z pustynnieniem Polski, inwestycji w zieloną energię, ale – paradoksalnie – z jednoczesną obroną węgla. Mamy być państwem wagi ciężkiej, które odbuduje zburzone pałace i dwory, a nowoczesną gospodarkę oprze „na polskich mózgach".

Kaczyński nie skupiał się tym razem na Donaldzie Tusku, zostawił to Elżbiecie Witek, którą rozpatruje jako kandydatkę na głowę państwa za dwa lata. Pani marszałek mówiła długo o piekle kobiet za Tuska, a konwencję zamknął występ Pawła Kukiza (bez znaczenia). Znaczący był brak Zbigniewa Ziobry.

Równolegle prowadzona w Tarnowie konwencja Koalicji Obywatelskiej była dynamiczniejsza, lepiej od Kaczyńskiego wypadł też Tusk, choć daleko mu do formy z 4 czerwca. Wraz z innymi liderami KO przedstawił niektóre ze „100 konkretów na pierwsze 100 dni" i znaczące jest, co wybrał. Opowiadał o pomyśle 60 tys. zł kwoty wolnej, która większości Polaków pozwoli nie płacić podatku dochodowego (ale wpędzi w kłopoty korzystające z PIT samorządy), obiecał pełne przejęcie wypłat zasiłku chorobowego przez ZUS, wsparcie dla kobiet w ciąży, zapowiedział 30 proc. podwyżki dla nauczycieli, a 20 proc. dla reszty budżetówki; zapewnił też, że w sto dni rozwiąże problem 35 mld euro z KPO, z czego akurat samorządy mocno skorzystają.

Kolejni liderzy KO mówili o końcu indoktrynacji w szkołach, transformacji energetycznej, ministerstwie przemysłu na Śląsku, rewitalizacji Odry, zniesieniu limitów w szpitalach, refundacji *in vitro*, legalnej aborcji do 12. tygodnia; zapowiedzieli też rozliczenie w sądach obecnej władzy. Pominięto natomiast zupełnie temat ukraińskiego zboża, mimo obecności na konwencji Michała Kołodziejczaka. Generalnie było sprawnie, ale pozostaje pytanie, jaki sposób znajdzie KO na przebicie się ze swym przekazem przez mur propagandowy PiS?

Na tle wielkich potęg Trzecia Droga i Lewica sprawnie zaznaczyły swe miejsce i ciekawie rozpisały role, choć widać było, w jak różne elektoraty celują. Szymon Hołownia z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem ostro mówili o rozdawnictwie i rządach „panów jadących przez wieś i rozrzucających talary". Ostrzegali przed populistami, którzy sięgną po kij, gdy państwo zacznie bankrutować. Wiele czasu poświęcili też dramatycznej sytuacji mieszkaniówki, opowiadając się za budowaniem bloków pod długotrwały wynajem – w miejsce promowania kredytów niszczących finanse rodzin. Zapowiedzieli akademiki za złotówkę, rodzinny PIT i zerowe podatki dla rodzin z trójką dzieci; sporo wspominali też o potrzebie ulżenia kontrolowanym non stop przedsiębiorcom, co stało w sprzeczności z deklaracjami obradującej równocześnie Lewicy.

Jej działacze wyraźnie zaznaczyli, że ważniejszy jest dla nich los 16 mln pracowników. Mówili o barierach dla matek pragnących pracować (brak miejsc w żłobkach), o protestach związkowych w Solarisie, Kauflandzie i Amazonie, zapowiedzieli 20 proc. podwyżki dla budżetówki, a także uczynienie normą etatu, wzmocnienie inspekcji i sądów pracy oraz 35-godzinny tydzień pracy. To był mocny przekaz do pracobiorców w jednym z najbardziej zaharowanych narodów Europy.

O emerytach nie mówił prawie nikt. Wygląda na to, że w ten elektorat opozycja już nie wierzy. ©℗

Tusk też straszy

MARCIN ŻYŁA

Koalicja Obywatelska – której kandydaci noszą na piersiach biało-czerwone serca, symbole otwartości i tolerancji – powoli równa do PiS w przedmiotowym traktowaniu imigrantów. Opublikowany przez nią 8 września półminutowy spot o tzw. aferze wizowej w MSZ wykorzystuje kilka technik manipulacji: powtarzanie komunikatu o domniemanym zagrożeniu („rząd PiS zaprosił do Polski 250 tys. imigrantów z Azji i Afryki"), obrazy młodych, ciemnoskórych mężczyzn w kapturach (w spocie nie pojawia się ani jedna kobieta) czy podprogową sugestię, że obecna władza masowo wpuszcza do kraju niebezpiecznych ludzi.

Można od biedy zrozumieć spin doktorów KO, że podczas konwencji w Tarnowie unikali tematu migracji. Z Koalicją sympatyzują tysiące Polaków, którzy pomagają na granicy białoruskiej, mają dość polityki napędzanej lękiem lub po prostu współczują migrantom – lepiej więc do wyborów nie ujawniać, że po przejęciu władzy obecna opozycja kontynuowałaby działania PiS, np. wzmacnianie wschodniej granicy. Zapewne niektórzy wyborcy KO – ci przekonani, że aby pokonać Jarosława Kaczyńskiego, można stosować wszelkie chwyty – powiedzą o spocie: „to tylko kampania". Albo że prezes PiS robił gorsze rzeczy, np. mówił o migrantach w kontekście zarazków.

Problem w tym, że prymitywna propaganda działa jak bomby kasetowe – razi nie tylko emocje, w które celuje.

Wspominając ostatnie dni gabinetu Ewy Kopacz, ostatniego jak dotąd rządu PO (któremu jesienią 2015 r. tylko wybory oszczędziły konfliktu z Komisją Europejską ws. relokacji migrantów i uchodźców), ale też obserwując samego Donalda Tuska (już w lipcu, w innym spocie wyborczym, zagrał na antymuzułmańskich emocjach), trudno dostrzec jakiekolwiek zapowiedzi zmiany. W ataku KO na PiS umyka nawet sama afera wizowa w MSZ, która kosztowała już stanowisko wiceministra Piotra Wawrzyka, a którą teraz bada prokuratura.

Ktoś w końcu będzie musiał w polskiej polityce zrobić to pierwszy: odważnie opowiedzieć o masowej migracji, muzułmanach w Europie, o wszystkich blaskach i zagrożeniach najważniejszej od dekad zmiany demograficznej na naszym kontynencie. Tym kimś odważnym raczej nie będzie Tusk. ©℗

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS // JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Czy sztuka wygra z polityką

ANITA PIOTROWSKA

„Nie było łatwo zrobić ten film" – mówiła Agnieszka Holland odbierając Nagrodę Specjalną Jury na festiwalu w Wenecji. Taktownie nie wspomniała, że po nakręceniu „Zielonej granicy" zrobiło się jeszcze trudniej. Hejterski ćwierkot ministra Ziobry, który filmu oczywiście nie widział, uruchomił lawinę, a stawką jest nieomal interes narodowy. Można by to nazwać cenzurą prewencyjną, gdyby nie fakt, że film został zrealizowany niezależnie, bez środków publicznych. Ale „szkaluje Polskę" i, co gorsza, poszedł z tym w świat.

GIAN MATTIA D'ALBERTO / LAPRESSE / EAST NEWS

To nie pierwszy raz, kiedy prawicowi politycy zamieniają się w politruków od kultury. Film to wszak najważniejsza ze sztuk. Pamiętamy larum nad „Idą" czy „Pokłosiem", wówczas szło o historię i tzw. pedagogikę wstydu. Nie jest to też jedyny przypadek, kiedy próbuje się instrumentalizować czyjąś twórczość. A że słuszny i wysokobudżetowy „Raport Pileckiego" nie spełnił pokładanych w nim nadziei, tym bardziej musi drażnić zagraniczny sukces skromnego filmu o wydarzeniach na białoruskiej granicy, który u nas stał się wyklęty, zanim powstał.

Jednak personalny atak na reżyserkę i retoryka spod znaku *reductio ad Hitlerum* to w przededniu wyborów wyjątkowo brudne zagranie. Nie dość, że straszy, wzmacnia polaryzację i usiłuje przykryć aferę wizową, to jeszcze wywołuje po drugiej stronie odruch samobiczowania: czy premiera takiego filmu przed 15 października nie będzie dla opozycji strzałem w stopę? Przed nami kino szybkiego reagowania, nakręcone przez reżyserkę, której filmy często bywały głosem w palącej sprawie. Miejmy nadzieję, że obroni się właśnie jako kino. Że pospolite ruszenie na seanse będzie w Polsce nie tylko decyzją polityczną, ale obejmie także mniej przekonanych. I że sztuka ostatecznie wygra z doraźną polityką, a język zaangażowanej opowieści okaże się silniejszy niż język nienawiści.

Więcej o samym filmie w tygodniu jego polskiej premiery, wyznaczonej na 22 września. ©

NA PUNKTY

CHARAKTER
Piłkarska reprezentacja przegrała z Albanią i mimo wymęczonego wcześniej zwycięstwa z Wyspami Owczymi ma marne szanse awansu na Euro. Zarzucający kolegom brak charakteru Robert Lewandowski w meczu charakterem się nie wykazał; w chwili zamknięcia tego numeru „Tygodnika" czekaliśmy, aż wykaże się nim prezes Cezary Kulesza, zwalniając selekcjonera Fernanda Santosa.

POWTÓRKA
Szkoda, że w futbolu nie jest jak w polityce: po niezbyt udanej dla PiS konwencji w Końskich wicemarszałek Ryszard Terlecki zapowiedział zorganizowanie kolejnej imprezy na przełomie września i października.

URLOP
PiS-owi w kampanii nie pomoże Michał Adamczyk: po publikacji Onetu o przemocy, którą stosował wobec dawnej kochanki, flagowy prezenter TVP udał się na urlop.

WSTYD
À propos TVP: jej korespondent w Niemczech podał, że w tamtejszych mediach nie było słowa o beatyfikacji Ulmów, minister kultury zaś zapytał Donalda Tuska, czy mu w związku z tym nie wstyd. Kłopot w tym, że niemieckie media o beatyfikacji informowały. ©℗

Markowa: długa droga do ołtarza

PATRYK STANIK

Chociaż odwaga była tematem przewodnim dnia beatyfikacji rodziny Ulmów, a Franciszek z okazji uroczystości napisał o „ofierze z życia złożonej bez lęku", to lękowi ulegli najwyraźniej organizatorzy wydarzenia, blokując dojazd do Markowej w promieniu kilku kilometrów. „Ze względów bezpieczeństwa" – informowała na blokadzie policja. Można by to jeszcze zrozumieć, gdyby nie fakt, że wiernym nie zorganizowano w zamian żadnego transportu. Skutek był taki, że tysiące ludzi, w tym wiele osób starszych (często niosących np. leżaki), a także rodziny z dziećmi w wózkach, zmuszone były do półtoragodzinnego marszu po asfalcie w słońcu.

Obok idących przejechało kilka pustych autokarów z napisem VIP. Żaden się nie zatrzymał, żeby podwieźć choćby osoby starsze. Na długiej trasie (6 km od blokady w Soninie) nie było żadnej toalety. Przy wejściu na zagrodzony teren uroczystości panowało zamieszanie i nerwowość: ludzi, którzy szli 90 minut w słońcu i chcieliby wreszcie osiągnąć cel, ochrona nie wpuszczała, twierdząc, że wejście jest jedynie wyjściem.

Niedługo później tą samą bramą wpuszczano już ludzi, pod warunkiem, że mieli bilet. Darmowy, do pobrania przy stoisku pod kościołem, prowadzonym przez harcerki, które w zamian za bilet pytały o nazwisko. Nie widziałem informacji o tym, w jakim celu gromadzone są te dane, kto i jak długo będzie je przechowywał – a tego wymagają przecież przepisy. Jak podają organizatorzy, w wydarzeniu uczestniczyło ponad 30 tys. osób, lista jest więc dużą bazą danych.

Obok odwagi podczas beatyfikacji Ulmów wiele mówiono też o miłosierdziu, które pozwala być wrażliwym na potrzeby innych. Szkoda, że odrobiny wrażliwości zabrakło organizatorom. ©℗

Więcej na powszech.net/markowa

Kościół zależny

ARTUR SPORNIAK

Uzależnienie finansowe kościelnych instytucji od władz państwowych zawęża swobodę wypełniania przez Kościół swojej misji, czyli głoszenia ewangelii – w tym także, gdy zaistnieje taka konieczność, upominania władzy. Kościół sponsorowany traci wiarygodność. Przykładem skrajnym jest od lat o. Tadeusz Rydzyk, który doprowadził do ścisłej symbiozy podległych mu instytucji z obecną władzą, nie bacząc, że nawet z czysto merkantylnego punktu widzenia taka „przyjaźń" tylko doraźnie przynosi korzyść. Dlatego perspektywa zmiany władzy po wyborach musi ojca dyrektora niepokoić.

Niepokoi także ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że Kościół w Polsce jest wciąż częściowo finansowo zależny od państwa. Chodzi o archaiczny Fundusz Kościelny, który właściwie od początku, od lat 50. ubiegłego wieku, funkcjonuje jako coroczna zależna od władzy dotacja z budżetu (za rządów PiS wzrosła z 94 mln w 2014 r. do 216 mln w tym roku).

Współczesnym modelom finansowania Kościoła poświęcona była konferencja w rezydencji arcybiskupów warszawskich zorganizowana 7 września przez Katolicką Agencję Informacyjną i UKSW. Jak dowiedział się „Tygodnik", jej pomysł zrodził się na marcowym sympozjum u kard. Kazimierza Nycza z okazji 25-lecia podpisania konkordatu, ale niewątpliwie ważnym katalizatorem były zbliżające się wybory.

Uznano, że najlepszym rozwiązaniem dla Polski nie byłby podatek kościelny, jak w Niemczech, tylko odpis od podatku, o którym decydowałby sam podatnik.

Należałoby tylko uzgodnić z państwem odpowiednią jego wartość (w Hiszpanii w 2019 r. 0,7-procentowa asygnata przyniosła Kościołowi 286 mln euro). Przypomniano, że do 2014 r. Kościół z rządem PO-PSL negocjował właśnie takie rozwiązanie. Rozmowy jednak przerwano przed wyborami. Jak informuje KAI, uczestnicy sympozjum nie potrafili odpowiedzieć, dlaczego za rządów Zjednoczonej Prawicy temat finansowania Kościoła nie powrócił.

Jeśli chodzi o władzę, odpowiedź nie jest trudna: rządzącym zależy na dalszym finansowym uzależnieniu Kościoła. Natomiast bez odpowiedzi pozostaje pytanie: dlaczego przez osiem lat biskupi nie podejmowali tego tematu? Ze względu na doraźne korzyści dla Kościoła? ©℗

Złoty słaby jak budżet

MAREK RABIJ

W gospodarce lato kończy się w stylu, do jakiego przyzwyczaja nas ostatnio pogoda – czyli gwałtownym załamaniem.

Najpierw rząd pokazał budżet na rok 2024, z którego wynika, że deficyt finansów publicznych znacząco wzrośnie, a na dodatek coraz więcej pieniędzy rządzący chcą wydawać z pomocą funduszy celowych, zatem poza budżetem i kontrolą parlamentu. Potem do gry wszedł Narodowy Bank Polski z pierwszą od 40 miesięcy obniżką stóp procentowych, w dodatku aż o 0,75 punktu procentowego – na rynkach oczekiwano, że polski bank centralny, który już nawet nie udaje, że chce zachować pozory apolityczności, przed wyborami odważy się zejść co najwyżej o 0,25 p.p.

Na efekty obu tych wiadomości nie trzeba było długo czekać. W pierwszym tygodniu września nasza waluta słabła w oczach. Złoty stracił do dolara 17 groszy. W stosunku do franka szwajcarskiego potaniał o 16 groszy, a do euro – o 15.

Przecena polskiej waluty oznacza, że dziś inwestorzy się jej pozbywają. Przez kilka pierwszych miesięcy tego roku obserwowaliśmy tymczasem trend odwrotny. Złoty umacniał się wraz z przekonaniem rynków, że Polska będzie w kolejnych latach jednym z ważniejszych celów inwestycyjnych dla wielkich firm, które po pandemii i w zawierusze spowodowanej wybuchem wojny w Ukrainie skracają łańcuchy dostaw, przenosząc fabryki bliżej docelowych rynków.

Gwałtowność zeszłotygodniowej przeceny można częściowo tłumaczyć tym, że niektóre fundusze inwestycyjne po tak dużej obniżce stóp procentowych musiały pozbyć się złotego, bo tak nakazują im regulaminy inwestycyjne (w identyczny sposób zachowują się także po spadku ratingu poniżej zapisanych poziomów). Nie zmienia to jednak faktu, że stan polskiej gospodarki rodzi coraz więcej znaków zapytania. Kolejne odczyty PKB pokazują, że jest gorzej, niż zakładały w prognozach rząd i GUS. Inflacja spada, ale głównie za sprawą zamierającej konsumpcji, i nadal należy do wyższych w Europie. Rząd tymczasem w przyszłym roku zamierza znacząco zwiększyć zadłużenie i wydatki. Na koniec 2022 r. dług sektora instytucji rządowych i samorządowych (czyli liczony według unijnej metodologii obejmującej wszystkie wydatki publiczne) wynosił ok. 1,51 bln zł.

W tym roku dobijemy z długiem do niemal 1,7 bln, a w przyszłym roku zwiększymy go o kolejne 340 mld zł – aż do 2 bilionów. Rząd zakłada, że relacja długu do PKB wzrośnie tylko do 54 proc. – o ile oczywiście produkt krajowy nie spłata mu figla i nie spadnie poniżej oczekiwań. ©℗

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Baner na siedzibie NBP. Warszawa, 9 sierpnia 2023 r.

ARCHIWUM PRYWATNE

ADAM ZAWISNY,
INSTYTUT NIEZALEŻNEGO ŻYCIA:

Słowa ministra Czarnka o edukacji włączającej zaszkodzą tysiącom dzieci

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Finansujemy szkoły specjalne, by „postawić weto absurdalnej, ideologicznej polityce edukacji włączającej" – powiedział Przemysław Czarnek.
ADAM ZAWISNY: Chodziło, jak później próbował precyzować, o Unię Europejską, która według niego dąży do likwidacji szkół specjalnych, chcąc wszystkich zmusić do nauki w tych ogólnodostępnych. Ale to nieprawda: Unia ani nie stawia takich postulatów, ani nie uzależnia wypłacania środków od likwidacji placówek.

Dzieci z niepełnosprawnościami mogą się uczyć w jednym z trzech modeli: specjalnym, integracyjnym i ogólnodostępnym. Jak one się mają do idei edukacji włączającej?
Do szkół specjalnych mogą chodzić wyłącznie dzieci z niepełnosprawnościami i z wydanymi orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego. Podkreślmy: mogą, gdyż w Polsce – i to jest plus naszego systemu – ostateczną decyzję podejmuje tu rodzic. W praktyce do szkół specjalnych chodzą głównie dzieci z niepełnosprawnością intelektualną, a także część dzieci w spektrum autyzmu, który niekoniecznie oznacza niepełnosprawność, ale może znacznie utrudniać funkcjonowanie. Z kolei do placówek integracyjnych idą zarówno dzieci z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego, jak i te bez niego – od zwykłych szkół ogólnodostępnych różnią się tym, że dokonują rozróżnienia na dwie grupy. Dlatego też ideę edukacji włączającej – takiej, która obejmuje wszystkich razem, bez rozróżnień i etykiet – realizują w pełni tylko szkoły ogólnodostępne. Choć wiele placówek integracyjnych również zbliża się do tej idei.

Do przedszkoli i szkół ogólnodostępnych chodzi ok. 70 proc. dzieci i uczniów z orzeczeniami. Jak na ich życie wpłyną słowa ministra?
Ta wypowiedź – najbardziej radykalny głos przeciw edukacji włączającej od lat – zaszkodzi tysiącom dzieci. Polskim problemem nie jest ani złe prawo, ani brak środków – jest nim mentalność. Gdy ośmiolatka mówi do kolegi z klasy, że jego obecność „obniża poziom nauki" – to sama sobie tego nie wymyśliła. Jeśli dyrektor czy nauczyciele ulegną tego rodzaju presji, to dziecko prędzej czy później wyląduje w szkole specjalnej, nawet jeśli nie ma ku temu wyraźnych wskazań. Nieprzypadkowo odsetek uczniów znajdujących się w takich szkołach jest niższy na początkowych etapach edukacji – a znacznie wyższy na dalszych. To efekt m.in. miękkich nacisków, nieprzyjaznej atmosfery czy wykluczenia lub wręcz znęcania się ze strony rówieśników, którego nauczyciele szkół ogólnodostępnych nie potrafią lub niedostatecznie starają się powstrzymać.
Pamiętajmy o kontekście: badania pokazują, że np. osoby w spektrum autyzmu są ponad dziesięciokrotnie bardziej narażone na kryzysy psychiczne, w tym zakończone samobójstwem, niż ogólna populacja, a czynnikami ryzyka są alienacja i wykluczenie. A więc zjawiska, które takie wypowiedzi, jak ta ministra, mogą tylko wzmocnić. ©℗

ADAM ZAWISNY *jest wiceprezesem Stowarzyszenia Instytut Niezależnego Życia, członkiem Europejskiej Sieci Niezależnego Życia (ENIL), ekspertem w zakresie praw osób z niepełnosprawnościami.*

Synod jednak nie będzie otwarty

WATYKAN ▪ Synod to nie program telewizyjny ani parlament – powiedział papież Franciszek do dziennikarzy podczas lotu powrotnego z Mongolii. I potwierdził krążące od pewnego czasu informacje, że również na tym synodzie, rozpoczynającym się za trzy tygodnie, akredytowani dziennikarze nie będą mieli wstępu do synodalnej auli ani nie będą mogli śledzić obrad w wewnętrznej, watykańskiej telewizji. Franciszek dodał, że w Dykasterii ds. Komunikacji powstaje „specjalny departament", którego zadaniem będzie dostarczanie mediom „konstruktywnych informacji o postępie prac". Organizuje go prefekt dykasterii, Paolo Ruffini (na zdjęciu z lewej, wraz z Andreą Torniellim, dyrektorem

VINCENZO PINTO / AFP / EAST NEWS

wydawniczym watykańskich mediów). Papież argumentował, że dziennikarze – gdyby ich wpuścić na salę obrad – koncentrowaliby się jedynie na sporach i kłótniach, sprowadzając synod do polityki, a zapominając o jego wymiarze duchowym i religijnym.

Mimo szumnych zapowiedzi o wyjątkowej otwartości i transparentności nadchodzącego synodu, nic się nie zmieniło. Tak jak poprzednio, media skazane będą na syntezy z obrad, przygotowywane każdego dnia przez watykańskich urzędników. Nie ujmując w niczym ich kompetencjom, z natury rzeczy będzie to przekaz jednostronny i „po myśli", narażony na zarzut manipulacji informacją i jej monopolizacji. I znowu dziennikarze skazani będą na plotki, których cena w takich sytuacjach znacząco rośnie, a których głównym tematem są właśnie konflikty i kłótnie, dużo bardziej wyolbrzymiane niż w rzetelnych, opartych na faktach relacjach.

Jeszcze dwa tygodnie temu Franciszek apelował do mediów (w przemówieniu do kapituły nagrody „È giornalismo", której został laureatem), by pomogły mu „opowiedzieć synodalny proces takim, jakim jest naprawdę, w oparciu o fakty, a porzucając slogany i gotowe historie". I przypominał, że „jedyną prawdą jest rzeczywistość".

Ta watykańska, jaka jest, każdy widzi.

©℗ **EDWARD AUGUSTYN**

Maroko wciąż liczy ofiary kataklizmu

FADEL SENNA / AFP / EAST NEWS

Mieszkańcy wsi Tafeghaghte, 60 kilometrów od Marakeszu, przeszukują gruzy zawalonych domów. Maroko, 10 września 2023 r.

TRZĘSIENIE ZIEMI ▪ W mitologii greckiej Atlas to tytan, który na barkach trzyma sklepienie niebieskie. W Atlasie Wysokim, zachodniej części gór nazwanych jego imieniem, trwa wyścig z czasem o uratowanie pogrzebanych pod ruinami domów po trzęsieniu ziemi, które wieczorem 8 września uderzyło w Maroko.

Wstrząs o sile 6,8 w skali Richtera był w tym rejonie Afryki jednym z najmocniejszych od dziesięcioleci. W chwili, gdy zamykamy to wydanie „Tygodnika", ratownicy mówią o co najmniej 2421 zabitych i ponad 1400 rannych w stanie krytycznym. W blisko milionowym Marakeszu mieszkańcy od piątku koczują nocą na ulicach z obawy przed wstrząsami wtórnymi. Władze zamknęły szkoły. W szpitalach w największych miastach już brakuje miejsc. Tymczasem tempo, w jakim rośnie bilans ofiar, źle wróży na kolejne dni.

Wstrząs nastąpił o godzinie 23.11 czasu lokalnego (czyli o 0.11 czasu polskiego), kiedy większość mieszkańców terenów wiejskich była już w domach. Epicentrum znajdowało się w głębi Atlasu Wysokiego, w terenie trudno dostępnym, który teraz, za sprawą osuwisk gruntu, bywa nie do pokonania drogą lądową. Niewykluczone, że do niektórych miejsc ratownicy dotrą dopiero za kilka dni, co drastycznie zmniejszy szanse uratowania pogrzebanych pod gruzami. Ocalali mieszkańcy nie wszędzie są w stanie prowadzić samodzielnie akcję ratunkową. Na nagraniach z dronów i samolotów widać miejscowości, w których nie zawaliły się tylko pojedyncze domy. W niektórych wsiach w ogóle nie zauważono z powietrza śladów życia.

Niemiecko-australijska firma RiskLayer, która zajmuje się modelowaniem matematycznym skutków katastrof, na podstawie danych sejsmicznych i informacji ze szpitali podaje, że maksymalna liczba śmiertelnych ofiar trzęsienia, szacowana jeszcze w sobotę na 2,5 tys. osób, może przekroczyć 7 tysięcy. Do zbliżonych wniosków doszły służby geologiczne USA, które twierdzą, że zabitych może być do 10 tysięcy.

Król Maroka Muhammad VI zarządził modlitwy w intencji ofiar i zaapelował o pomoc. Wsparcie zadeklarowała już Francja i Hiszpania. Sąsiednia Algieria, która z Marokiem ma napięte stosunki, otworzyła przestrzeń powietrzną dla lotów z pomocą dla Maroka. ©℗ MAREK RABIJ

Nowy model sztucznego zarodka: szanse i etyka

EMBRIOLOGIA ▪ Podglądanie tworzącego się życia bywa trudne. Rozwój nowego organizmu często odbywa się w skrytości, np. w skorupce jaja albo macicy matki. Wprawdzie technika daje możliwość ujrzenia dziecka w łonie matki – w USG pęcherzyk płodowy widać już od ok. 5. tygodnia – ale rozwój zarodka wciąż ma przed nauką wiele tajemnic.

W sposób naturalny zarodek (embrion) powstaje po połączeniu plemnika i komórki jajowej, a po tygodniu jego rozwój wymaga błony śluzowej macicy. Dlatego badania nad zarodkami są kłopotliwe technicznie, prawnie i etycznie. Jednak wiele z problemów właśnie udało się rozwiązać. Zespół Jacoba Hanna z Instytutu Naukowego Weizmana opisał w „Nature" badanie, w którym z ludzkiej komórki macierzystej utworzono model ludzkiego zarodka. Rozwój tego modelu do 14 dni odbywał się poza macicą, wyłącznie w warunkach laboratoryjnych.

Pluripotencjalne komórki macierzyste – czyli takie, które mogą różnicować się do wielu typów komórek, np. krwi lub nabłonka, ale nie wszystkich – przeprogramowano do jeszcze bardziej podstawowego stadium. Takie komórki podzielono na trzy grupy i każdą traktowano innym miksem hormonów i substancji chemicznych. Następnie przygotowana w odpowiednich proporcjach mieszanina komórek przechodziła etap, który w naturalnym rozwoju embrionu określany jest mianem gastrulacji. Komórki o podobnej funkcji grupują się i tworzą listki zarodkowe, z których rozwijają się wszystkie organy. W dotychczasowych modelach embrionu tak dokładne odwzorowanie struktury przestrzennej było nieosiągalne.

Nowy model ludzkiego zarodka daje szanse na uzupełnienie wielu białych plam w naszej wiedzy. Być może uda się odpowiedzieć na pytanie o przyczynę poronień, z których prawie połowa ma miejsce przed 9. dniem po zapłodnieniu. W dalszej perspektywie hodowla zarodków z komórek macierzystych otwiera możliwość uzyskania dojrzałych i idealnie pasujących do przyszłego biorcy narządów do przeszczepu. Choć w tym przypadku do pokonania będą nie tylko bariery technologiczne – wrócą przede wszystkim wątpliwości etyczne i pytania o status sztucznie wytworzonego zarodka w jego dalszych fazach rozwoju.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

MOŻESZ WYGRAĆ TE WYBORY

Chcąc odpowiedzieć na pytanie, czy inna polityka jest możliwa, musimy spytać, czy możliwe są inne media. Odpowiedź jest prosta.

TEKST MARCIN NAPIÓRKOWSKI | ILUSTRACJA JAN STANISŁAWSKI DLA „TP"

Jak to się zaczęło? Trudno powiedzieć, bo kluczowy był zawsze kontekst.

Każda zaczepka była jednocześnie reakcją – na słowa rywala, na działania jego firmy albo po prostu na jakiś gorący temat, którym żyły media. Tak jak 21 czerwca, gdy Elon Musk napisał na Twitterze „*Zuck my tounge*" („Zsij mój język"). Była to reakcja na otwarcie przez Marka Zuckerberga (właściciela Facebooka i Instagrama) serwisu Threads, konkurencji dla Twittera wykupionego wcześniej przez Muska.

Założenie konta w nowym serwisie zapowiedział m.in. Dalajlama. Stąd „*Zuck my tounge*" – nawiązanie do niedawnej kontrowersji z udziałem duchowego przywódcy. „*Zuck*" to bowiem nie tylko „ssij" zapisane przez „z", ale przede wszystkim przezwisko ukute od nazwiska Zuckerberga.

Kilka dni przed tweetem o języku Musk napisał też: „*Zuck is a cuck*" („Zuck jest rogaczem"). Tym razem ta dziwaczna uwaga nie miała nic wspólnego ze skandalem obyczajowym. Pewnego ranka Musk po prostu obudził się z myślą, że „*Zuck*" rymuje się z „*cuck*", i nie potrafił oprzeć się pokusie podzielenia się tym odkryciem ze 155 mln obserwujących.

Po kilku godzinach dodał jeszcze wyzwanie: „Proponuję dosłowny konkurs mierzenia przyrodzeń". Do tego ikonka linijki, na wypadek gdyby „dosłowny" pozostawiało jeszcze jakieś pole do niedopowiedzeń.

Na żadną z tych zaczepek Zuckerberg nie odpowiedział. Wkrótce jednak jego cierpliwość miała się wyczerpać.

Metoda salami

Dlaczego dziwaczne przepychanki między Zuckerbergiem a Muskiem powinny nas interesować? Powód jest prosty: pokazują, jak media społecznościowe wpływają na język, którym ze sobą rozmawiamy. Efekt ten jest tak potężny, że od cyfrowej tyranii nie są wolni nawet potentaci Doliny Krzemowej. Wpływ mediów społecznościowych odczuwają nawet ci, którzy nigdy nie założyli w nich własnych kont, ponieważ do rytmu wybijanego przez X (nowa nazwa Twittera) i Facebooka tańczą redaktorzy portali, prasy drukowanej, radia i telewizji. Nawet najbardziej nobliwe media nie mogą sobie pozwolić na zupełne zignorowanie trzech wymiarów przemiany: przyspieszenia, spłycenia i podniesienia temperatury.

Cykle medialne stają się krótsze. Komentarze i sądy trzeba formułować już nie w ciągu miesięcy czy tygodni, lecz godzin czy nawet minut. Kto pierwszy, ten ma szansę nie tylko zgarnąć najwięcej polubień i udostępnień, lecz przede wszystkim wyznaczyć kierunek dyskusji. Sprawia to, że coraz więcej newsów ma bardzo krótki termin przydatności do spożycia. Nasza zbiorowa pamięć polityczna staje się niepokojąco krótka.

Drugi wymiar zmian to spłycenie. Krótkie i dosadne nokautuje to, co pogłębione i refleksyjne. Lapidarności wypowiedzi towarzyszy specyficzny model odbioru. Na ekran rzucamy okiem przez kilkadziesiąt sekund – stojąc w kolejce do sklepu albo czekając na autobus. Niczym rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie błyskawicznym ruchem jesteśmy w stanie dobyć telefon z kieszeni, odczytać najnowszy post, polubić go, skomentować i podać dalej, zanim widziany w oddali autobus pokona jedno skrzyżowanie.

Badania pokazują, że nasz kontakt z mediami społecznościowymi często rozkłada się na raty, szczelnie wypełniając najdrobniejsze nawet szczeliny codzienności (m.in. stąd wrażenie wszechobecności polityki). Te przelotne zerknięcia sumują się jednak w zaskakująco długi czas. Według raportu Datareportal.com Polacy wpatrują się w ekran telefonu średnio 3 godz. i 17 min. dziennie, przy czym media społecznościowe wypełniają aż 2 godz. i 2 min. W psychologii nazywa się to „metodą salami". Zmiana zachodzi niepostrzeżenie, ponieważ odbywa się stopniowo. Plasterek po plasterku Facebook, X, Instagram i TikTok pożerają nam coraz więcej czasu. Ale żeby było to możliwe, potrzebny jest trzeci wymiar przemiany – podniesienie temperatury. ↦

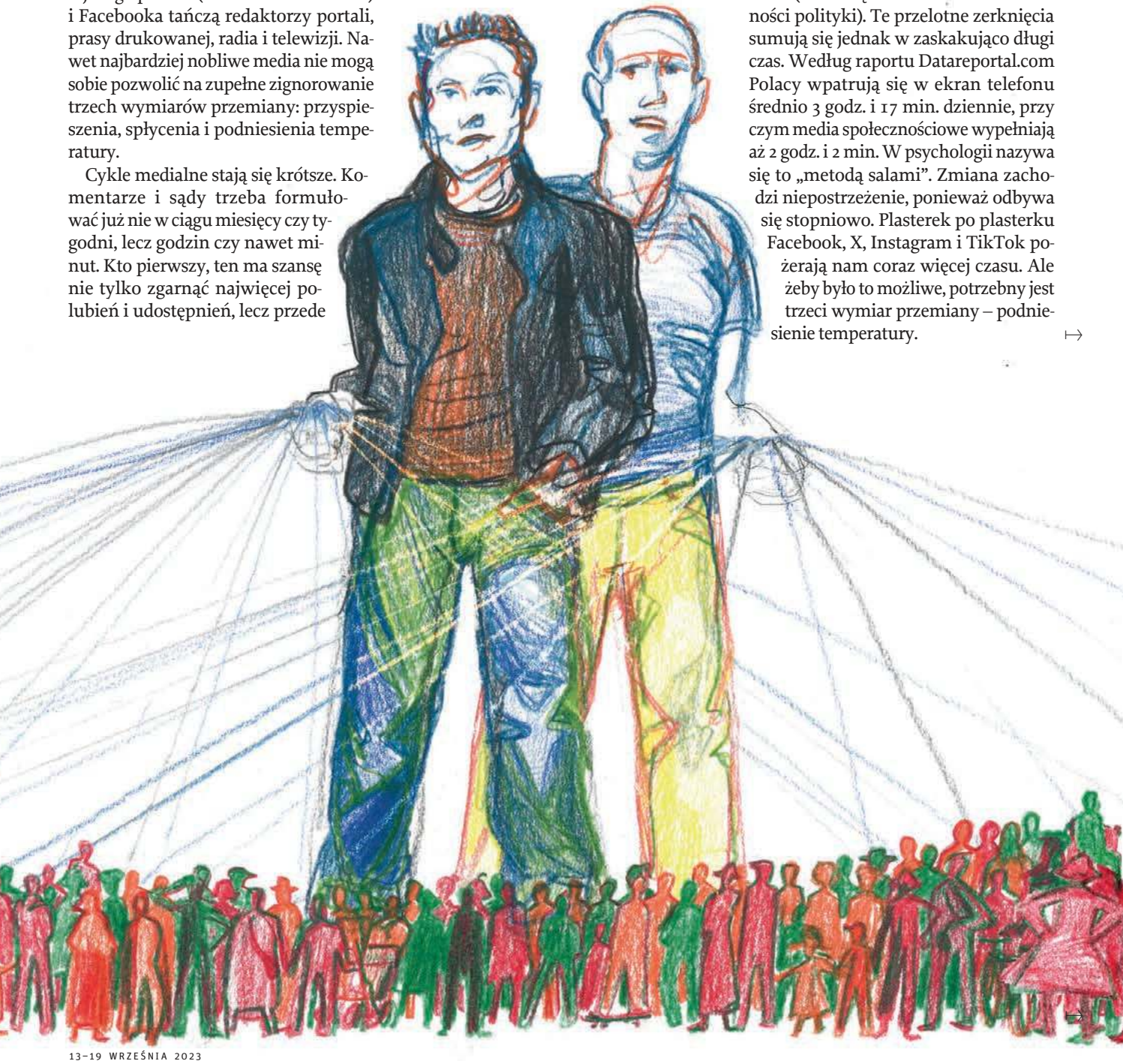

↦ Okazuje się, że łakniemy nie tylko bodźców nowych, ale też coraz silniejszych. Ronald J. Deibert, dyrektor Citizen Lab i autor niepokojącego artykułu „The Road to Digital Unfreedom: Three Painful Truths About Social Media" („Droga do cyfrowej niewolności. Trzy bolesne prawdy o mediach społecznościowych") zestawia badania pokazujące, jak media społecznościowe powodują u użytkowników wyrzuty oksytocyny i dopaminy. Nie jest to efekt uboczny – zwraca uwagę Deibert – cyfrowe narzędzia projektuje się tak, by dostarczały ekstremalnych pobudzeń. Problem w tym, że do takich bodźców szybko się przyzwyczajamy i obojętniejemy. To, co oburzało nas, podniecało lub fascynowało miesiąc czy rok temu, dziś stało się nową normą. Żeby się przebić na X, trzeba wypowiadać się coraz krócej, coraz ostrzej, coraz dosadniej.

Dlatego właśnie z kampanii na kampanię coraz bliżej nam do walk w klatce.

Gdzie i kiedy

Ale wróćmy do „*Zuck my tounge*". Życie na X toczy się szybko, więc jeszcze tego samego dnia sytuacja eskalowała. W kolejnym wpisie Musk ironizował, że już nie może się doczekać, aż cały świat podporządkowany będzie woli potężnego Zuckerberga. Facebook, Instagram, a teraz Threads... „Lepiej uważaj, słyszałem, że on ostatnio trenuje ju-jitsu", odpowiedział mu żartem jeden z użytkowników. Musk zaszczycił go odpowiedzią: „Jeśli jest chętny na walkę w klatce, to ja też chętnie, lol". LOL to skrót od „*laughing out loud*", „śmieję się w głos" – mniej więcej tekstowy odpowiednik kilku śmiejących się buziek.

Mark Zuckerberg nie jest specjalnie aktywnym użytkownikiem X. Na zaczepkę Muska odpowiedział więc na należącym do siebie Instagramie. „*Send me location*" – głosiły białe litery na czarnym tle. To cytat z Chabiba Nurmagomiedowa. „Jeśli szukasz walki, po prostu daj znać, gdzie i kiedy", powtarzał przy różnych okazjach awarski mistrz mieszanych sztuk walki.

Zuckerberg nie jest może, jak Nurmagomiedow, weteranem pojedynków w klatce, ale naprawdę trenuje ju-jitsu. Niedawno zdobył niebieski pas w tej dyscyplinie, a w mediach społecznościowych lubi pochwalić się doskonałą kondycją. Ostatnio wziął udział w Murph Challenge – wyzwaniu polegającym na przebiegnięciu mili, 100 podciągnięciach, 200 pompkach, 300 przysiadach i kolejnej mili biegu. Dokonał tego w dziewięciokilowej kamizelce obciążeniowej w ciągu 39 minut i 58 sekund, co według ekspertów stanowi imponujące osiągnięcie (wszystko, oczywiście, relacjonował w mediach społecznościowych).

> Algorytmy bywają przydatne. Odsiewają na przykład część kompletnie niewiarygodnych treści.

Musk nie śledzi Zuckerberga na Instagramie, więc wiadomość o przyjęciu wyzwania dotarła doń okrężną drogą. Zareagował na Twitterze – odpisał: „*Vegas Octagon*", mając na myśli jedną z najpopularniejszych aren dla współczesnych gladiatorów należącą do federacji UFC. Zaczęło się!

Algorytmy, czyli dopalacze

Za magnetyczną atrakcyjność mediów społecznościowych odpowiadają nie tyle same treści, co algorytmy, które nimi zarządzają. Jeśli uda im się trafić w nasze lęki i pragnienia, zostaniemy przed ekranem dłużej niż planowaliśmy lub wrócimy do niego w najbliższej wolnej chwili.

Badaczki i badacze zajmujący się wpływem nowych technologii na jakość debaty od dawna winią cyfrową selekcję treści za wszelkie zło. Ale co tak dokładnie robią z nami algorytmy?

Andrew M. Guess z Princeton postanowił to sprawdzić. Jego artykuł właśnie ukazał się na łamach „Science". Pomysł na eksperyment był genialnie prosty. Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej w USA (2020, Trump kontra Biden) zmierzono działanie algorytmów, dzieląc dużą grupę ochotników na dwie części. Pierwsza z nich korzystała z Facebooka i Instagrama normalnie. Druga dostała od badaczy specjalną wersję aplikacji, które wyświetlały im wszelkie posty z obserwowanych kont w kolejności chronologicznej. Żadnego filtrowania, żadnych sugestii, o wszystkim decydował przypadek.

Wpływ algorytmów na życie użytkowników okazał się znacznie bardziej skomplikowany, niż pierwotnie przewidywano. Okazało się, że użytkownicy obcujący z niefiltrowanymi treściami byli wystawieni na więcej, a nie mniej fałszywych informacji. Pokazuje to, że algorytmy bywają przydatne – np. odsiewając część kompletnie niewiarygodnych treści.

Na tym jednak koniec dobrych wieści. Użytkownicy uwolnieni spod władzy algorytmu dostali do oglądania znacznie mniej treści radykalnych, niecenzuralnych i obraźliwych. W ich miejsce na ekranach pojawiło się więcej informacji od umiarkowanych znajomych i z umiarkowanych mediów. Przekrój opinii, z którymi obcowali użytkownicy, stał się bardziej zróżnicowany ideologicznie. W ten sposób badacze jednoznacznie wykazali, że algorytmy mediów społecznościowych są dziś tak skalibrowane, by więzić nas w bańkach i radykalizować. Dlaczego?

Odpowiedzi na to pytanie dostarcza najciekawsze odkrycie zespołu z Princeton. Otóż po wyłączeniu algorytmów metoda salami przestała działać. Użytkownicy odcięci od radykalnych treści i wyjęci z baniek znacznie chętniej odkładali telefony. Mniej emocjonowali się tym, co widzieli, mniej bali się, że przegapią coś ważnego. W rezultacie drastycznie spadł czas, który spędzali w mediach społecznościowych.

To bardzo niepokojąca wiadomość. Pokazuje bowiem, że Zuckerberg i Musk zarabiający krocie na naszym uzależnieniu od mediów społecznościowych zrobią wszystko, żeby algorytmy dalej podkręcały to, co widzimy na ekranie. Bez cyfrowych dopalaczy X czy Facebook nie będą już tak atrakcyjną alternatywą dla książki, rozmowy z bliskimi albo spaceru.

Żart czy nie

Wymiana zaczepek między Muskiem a Zuckerbergiem wywołała ogromne poruszenie. Zwłaszcza gdy kilka dni później Dana White, prezes federacji UFC, stwierdził, że skontaktował się z zainteresowanymi i że obydwaj traktują wyzwanie „śmiertelnie poważnie".

Zielone światło od White'a uruchomiło licytację doświadczonych zawodników chętnych do trenowania miliarderów. Jon Jones (mistrz UFC wagi cięż-

kiej) oraz Alexander Volkanovski (mistrz tej federacji w wadze piórkowej) wyrazili chęć trenowania Zuckerberga. Z kolei Muskowi swoje usługi zaproponowało kilku innych czempionów, w tym Andrew Tate – kontrowersyjny kickbokser i celebryta, przeciwko któremu w Rumunii prowadzone jest dochodzenie w sprawie o gwałty i handel ludźmi.

Nie brakuje również chętnych, by wydarzenie zorganizować. Może oktagon UFC to jednak za mało? Znany z rozmachu Musk półżartem zaproponował Koloseum, a włoski minister kultury Gennaro Sangiuliano potraktował propozycję jak najbardziej serio.

Nieco mniej przekonani byli dziennikarze. Większość z tysięcy artykułów, jakie ukazały się na ten temat, miała tytuły podobne do tego z „New York Timesa": „Walka w klatce między Elonem Muskiem a Markiem Zuckerbergiem może nie być żartem". Żart czy nie żart? A jeżeli żart, to czemu tak mało śmieszny?

Granica między rzeczywistością a internetową ironią coraz bardziej się zaciera. Nic dziwnego, że największą furorę wizja pojedynku zrobiła wśród twórców internetowych memów. #ZuckvsMusk stało się popularnym hasłem w mediach należących do obu miliarderów. Niektóre powstające parodie to miniaturowe dzieła sztuki, np. stworzony z wykorzystaniem AI klip, w którym panowie przedstawieni są jako rzymscy gladiatorzy. Jednak moją ulubioną grupę memów o pojedynku stanowią te przywołujące hasło reklamowe filmu „Obcy kontra Predator": „Ktokolwiek wygra, my przegramy". Jest w tym, niestety, głęboka prawda.

Marsz do oktagonu

Dominującym paradygmatem debaty publicznej staje się kultura ustawki. Jak pokazują liczne badania, agresja jest jednym z najskuteczniejszych sposobów na zwiększenie zasięgów w mediach społecznościowych. Politycy korzystają z tego bez skrupułów. Trwająca w Polsce kampania wyborcza nie odbiega pod tym względem od światowych trendów. I u nas dominującą ramą metaforyczną staje się bijatyka. Agora zmienia się w ring.

Jarosław Kaczyński, cytuję, „boi się pojedynku z Tuskiem w stolicy", więc „ucieka do Świętokrzyskiego". Tam trenerzy z Koalicji Obywatelskiej wystawiają „twardego zawodnika" Romana Giertycha. „Jarosławie – rzuca ze sceny Tusk – nie chcesz debaty? Boisz się? Uciekasz? Będziesz miał debatę z Romanem Giertychem w Górach Świętokrzyskich!".

Bartosz Arłukowicz z KO komentuje: „Bał się przegrać z Tuskiem, to teraz przegra z Giertychem". Leszek Miller mówi o „pojedynku na scyzoryki" i zaznacza, że ten Giertycha jest ostrzejszy. Dziennikarz Paweł Wroński stwierdza, że „rolą [Giertycha] jest wkurzenie i ośmieszenie Jarosława Kaczyńskiego", na co Tomasz Lis niezwłocznie odpowiada: „I wystarczy".

Sam Giertych natychmiast zapowiada „wielką operację na Facebooku #UderzeniePrawdy", a na jego koncie niemal codziennie pojawiają się zaczepki pod adresem Kaczyńskiego, coraz bardziej przypominające konwersację Muska z Zuckerbergiem. Lider PiS nie odpowie, bo nie ma na X konta, ale Giertych skutecznie buduje obraz twardziela gotowego w każdej chwili wejść do klatki.

Nieustanny stan wzmożenia i wyższej konieczności usprawiedliwia brak rozmów o programie i deklaracji ideowych, bo przecież – znów zacytuję Giertycha – „nie dyskutuje się o różach, gdy las płonie". Niestety, mecenas ma rację. Badania pokazują, że subtelności nie mają szansy się przebić. Algorytmy rządzące naszym życiem politycznym przepuszczają tylko mocny przekaz. Wyłącznie dosadne, prowokujące, agresywne wypowiedzi mają szansę zdobyć na tyle dużo polubień i podań dalej, by stać się potem tematem na portalach internetowych i w kanałach informacyjnych. ↦

Polacy: jeszcze więcej czasu przed ekranami

6 GODZ. 42 MINUTY – tyle czasu statystyczny Polak spędza średnio przed ekranami smartfonów, komputerów i telewizorów. To mniej więcej tyle samo, ile Amerykanie, Kanadyjczycy i mieszkańcy Indii, ale zauważalnie więcej niż mieszkańcy Europy Zachodniej. Gdyby – nieco na wyrost – założyć, że człowiek śpi średnio przez 8 godzin na dobę, okazałoby się, że w ekrany i wyświetlacze wpatrujemy się przez 42 proc. swojego czasu na jawie. Facebook, Twitter/X i Instagram zajmują nam średnio 2 godziny i 2 minuty dziennie (dla pocieszenia: Brazylijczycy, rekordziści pod tym względem, scrollują posty prawie dwukrotnie dłużej).

DANE, które zebrał serwis DataReportal, pokazują, że choć plasujemy się blisko światowej średniej, tylko w Polsce i trzech innych analizowanych krajach ilość czasu przed ekranami ciągle wzrasta. W świecie trend jest odwrotny – prawdopodobnie za sprawą stopniowego odwrotu od pracy zdalnej, która wielu z nas przykuła do ekranów podczas pandemii.

Z MEDIÓW społecznościowych – to już dane z tegorocznego raportu „Social Media 2023" – korzysta ok. 28 mln Polaków, czyli w praktyce wszyscy internauci – dlatego liczba ich użytkowników w poszczególnych grupach wiekowych odpowiada strukturze demograficznej (najwięcej internautów korzystających z mediów społecznościowych to osoby powyżej 55. roku życia). Dwie największe sieci społecznościowe w Polsce to Facebook i YouTube – w analizach dotyczących wpływu mediów na radykalizację opinii zajmują one czołowe pozycje. Każda z nich dociera do ok. 80 proc. internautów (dla porównania: zasięg Instagrama to „tylko" 55 proc.).

©℗ ŻYM

Model biznesowy oparty na monetyzacji uwagi ma przełożenie na całą sferę publiczną. Za jego sprawą kult ciętych ripost („w punkt!", „zaorane!") i toksyczna męskość buzująca testosteronem rozlewają się na całą kampanię.

Obym był fałszywym prorokiem, ale słowa mają swoje konsekwencje... I wcześniej czy później przemoc jako centralna metafora organizująca naszą wyobraźnię, nasz biznes, naszą politykę zmieni się w przemoc realną, rozgrywającą się na ulicach. Ktoś wreszcie te kogucie deklaracje polityków potraktuje dosłownie i postanowi na politycznych przeciwnikach sprawdzić siłę swojego sierpowego albo długość scyzoryka.

Żeby przerwać ten marsz do oktagonu, trzeba sobie uświadomić, że proces, który obserwujemy, wcale nie jest naturalny. Nie wynika z natury ludzkiej ani z tego, że „politycy tacy już są". Postępująca brutalizacja debaty publicznej jest napędzana przez algorytmy, które cynicznie wzmacniają nasze najgorsze tendencje, żeby przynieść miliardowe zyski garstce bogaczy.

Dlatego musimy działać szybko. Odważnie wyobrazić sobie lepsze media i lepszą sferę publiczną. Tylko zmieniając zasady gry możemy wygrać.

Jadę po ciebie!

Pod koniec lipca do mediów wyciekło nagranie narady w firmie Zuckerberga, na którym słychać, jak biznesmen spytany o walkę mówi, że „nie wie, czy cokolwiek z tego wyjdzie". Wkrótce do jego wypowiedzi odniósł się Musk, przekonując, że on wyzwanie wciąż traktuje poważnie i że nawet przyniósł sobie do biura ciężary, które podnosi podczas pracy. Niech więc pojedynek się odbędzie, zaproponował właściciel Twittera. Będziemy go transmitować na żywo na mojej platformie, a zyski przeznaczymy na wsparcie weteranów.

Na takiego konia trojańskiego Zuckerberg oczywiście musiał zareagować. Natychmiast odpowiedział, że pomysł jest świetny, tylko żeby naprawdę zebrać jakieś sensowne pieniądze, trzeba będzie wybrać jakąś inną niż Twitter platformę do transmisji. Auć!

Odpowiedź Muska była nieoczekiwana i na język zwykłych zjadaczy chleba chyba najlepiej przetłumaczyć ją jako „jadę po ciebie!". 14 sierpnia właściciel Twittera/X napisał, że zamierza przetestować autopilota nowej Tesli, polecając autu, żeby zawiozło go prosto pod dom Zuckerberga w Palo Alto. Tam mogliby się od razu zmierzyć w prywatnej sali treningowej właściciela Facebooka. Nie byłoby to może Koloseum, ale zawsze coś.

Na wyzwanie odpowiedział Iska Saric, rzecznik prasowy firmy Zuckerberga, stwierdzając, że niestety szef akurat podróżuje, a gdyby nawet był dostępny, raczej nie zamierza „bić się z gościem, który znienacka pojawia się pod jego domem". Telenowela...

JAN STANISŁAWSKI DLA „TP"

Propozycje alternatywne wobec dyktatury Zuckerberga i Muska istnieją. Powstają w start-upach, na uczelniach, ale i w małych społecznościach. Możemy wygrać!

Pora na reset

W plemiennej wiosce wola wodza niosła się tylko tak daleko, jak zasięg jego głosu, a plotka miała moc obalania tyranów. Potęga królów i kapłanów sięgała już znacznie dalej dzięki pismu. Źródłem ich władzy było skodyfikowane prawo lub święte księgi i monopol na ich interpretację. Bez spisów poddanych trudne byłoby zbieranie danin. To, co niespisane, a wyłącznie mówione, tańczone lub śpiewane, długo wymykało się władzy. Druk, zalewając świat tysiącami identycznych kopii, jeszcze rozszerzył zasięg ośrodków władzy, ale też uczynił heretyków i buntowników znacznie bardziej niebezpiecznymi. Ich idee mogły się bowiem rozprzestrzeniać jak pożar w suchym lesie. Radio i telewizja wprowadziły nas z kolei w nowy wiek masowej propagandy i masowej mobilizacji opartej na emocjach i iluzji bezpośredniego uczestnictwa. Pożar stał się naszą codziennością. Dziś media społecznościowe dbają o stały dopływ paliwa.

Widzimy więc, że kształt polityki zawsze był ściśle związany z dominującymi w danym czasie i miejscu formami komunikacji. To one wyznaczały tempo, siłę i zasięg integracji społeczności. Decydowały o możliwościach inwigilacji i wymuszania posłuszeństwa, jakie miała władza, ale tworzyły także przestrzeń dla rewolucji czy obywatelskiego nieposłuszeństwa. Obie strony grały tymi samymi kartami, choć oczywiście nie były one rozdane sprawiedliwie.

Chcąc więc odpowiedzieć na pytanie, czy inna polityka jest możliwa, musimy spytać: czy możliwe są inne media? Odpowiedź jest prosta. Obecny kształt mediów społecznościowych i dyktatura algorytmów nie są wynikiem praw fizyki czy psychologii ani nawet ograniczeń technologicznych. Są produktem modelu ekonomicznego, w którym spełnione są dwie przesłanki: media utrzymywane są dla zysku, zysk ten generowany jest zaś w przeważającej mierze pośrednio, poprzez monetyzację uwagi użytkowników i sprzedaż reklam. Każdą z tych przesłanek można zakwestionować i dzieje się to już dziś, w ramach szerokiego ruchu „cyfrowej demokracji". Podstawowym jego założeniem jest uznanie związku łączącego technologię i politykę i próba przeprojektowania technologii, by pozwalała nam uprawiać taką politykę, jakiej byśmy chcieli i potrzebowali.

Wspomniany wcześniej Ronald J. Deibert w wydanej trzy lata temu książce „Reset" rozważa szkody, jakie przynosi demokracji uzależnienie od napędzających sensację i agresję mediów społecznościowych. Pierwszym krokiem do naprawy sytuacji jest według niego wprowadzenie pewnych ograniczeń. Kiedy liberałowie ekonomiczni (a tacy wyraźnie dominują w sektorze technologicznym) słyszą „ograniczenia", odruchowo sięgają po transparent z napisem „Uwaga, komunizm!". Tymczasem Deibert sam jest zdeklarowanym liberałem. I przypomina, że ograniczenia narzucane władzy zawsze były esencją doktryny liberalnej i podstawową gwarancją wolności jednostki. Dziś nasza wolność jest ograni-

czona przez Twittera/X i Facebooka. Algorytmy programowane są tak, by wykorzystywać nasze słabości i psychologiczne pułapki. Wielu użytkowników twierdzi, że spędza w mediach społecznościowych więcej czasu, niżby chcieli.

Pierwszym krokiem do zwycięstwa nad algorytmami okazuje się zatem zniesienie fałszywej dychotomii między regulacją a wolnością. Wolność konsumenta produktów spożywczych wymaga kontroli, by nikt nie dosypywał opiatów do płatków śniadaniowych oraz by ich skład był transparentny. By wyzwolić się spod tyranii algorytmów, musimy zacząć podobnie myśleć o wolności i mediach społecznościowych. Inaczej grozi nam tyrania algorytmów.

Ludzie zajmujący się cyfrową demokracją już mają mnóstwo konkretnych pomysłów na budowę lepszej wirtualnej agory. Jedną z możliwości jest nie tyle zastąpienie istniejących mediów społecznościowych, ile budowa równoległej infrastruktury medialnej służącej debacie, rozwiązywaniu sporów, zbieraniu informacji, a nawet kolektywnemu podejmowaniu decyzji z możliwością np. delegacji swoich głosów na ekspertów lub osoby, którym ufamy.

Kilkanaście takich narzędzi oglądałem i testowałem niedawno w ramach finansowanego przez Unię Europejską programu Orbis, z którym mam przyjemność współpracować. Jego założenia brzmią następująco: „Demokracja wymaga dziś przekształcenia i położenia nacisku na uczestnictwo, zaangażowanie, transparentność, szybkie reagowanie, rozliczalność i efektywność. Istniejące rozwiązania są rozproszone, a wyrwane z kontekstu treści często prowadzą do wypaczonej argumentacji". Technologia nie jest tu wrogiem demokracji, lecz potencjalnym narzędziem do jej współtworzenia. Wymaga to jednak przeprojektowania jej i postawienia już w punkcie wyjścia celów innych niż tylko maksymalizacja zysków dla korporacji zarządzających mediami społecznościowymi.

Propozycje alternatywne wobec dyktatury Zuckerberga i Muska, jak widać, istnieją. Powstają w małych start-upach, na uniwersytetach, ale też w lokalnych społecznościach, których członkowie zmęczeni polityką uprawianą przez walki w klatkach szukają na własną rękę, oddolnie, rozwiązań w niewielkiej skali.

Możemy wygrać! Kluczowe jest to, żebyśmy nie tracili nadziei i nie uznawali obecnego stanu rzeczy za oczywisty i niezmienny.

Po lekcjach na boisku

Twitter zdążył zmienić nazwę na „X", nowa platforma Zuckerberga skończyła się, nim się na dobre zaczęła, a panowie wciąż nie zdołali ustalić czasu, miejsca i formy walki. Mocni w gębie, jak to się mówiło na podwórku.

No właśnie... Śledząc wielotygodniowe utarczki między dwoma spośród najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na planecie, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że bardzo przypominają one pyskówki z podstawówki. „Głupi jesteś!", „Ty jesteś głupi!", „Doigrałeś się! Solo po lekcjach na boisku!", „Ale nie dziś, bo mnie mama wcześniej odbiera". Nie byłoby w tym nic wartego uwagi, gdyby nie fakt, że to nie uczniowie podstawówki, a ludzie, od których zależy dziś w przerażająco dużym stopniu kształt demokracji.

Nie wiem, kto by wygrał – Zuck czy Musk. Zresztą, z ich pojedynku pewnie nic nie wyjdzie. Mimo to uważam, że ta sytuacja wiele mówi o tym, w jakim kierunku prowadzą nas media społecznościowe pod ich przewodnictwem. Przerażające jest to sprzężenie zwrotne. Najpierw to oni stworzyli algorytmy eskalujące agresję, a dziś te algorytmy zaczynają tworzyć ich.

Nie wiem też, kto wygra trwającą w Polsce kampanię. Może nikt? Może ostatecznie wszyscy – rządzący i opozycja, dziennikarze i wyborczynie – stracimy na eskalacji sporu? A na koniec prawdziwymi zwycięzcami naszych politycznych utarczek będą tylko Zuckerberg, Musk i reprezentowana przez nich kultura ustawki? Tylko zmiana zasad gry sprawi, że wygrywać zaczniemy my.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Rozwiązanie zagadki

Tydzień temu zostawiłam Państwa z brzmiącą dość enigmatycznie informacją, że przekleństwa zawarte w 28. rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa i przekleństwa z traktatów, które król Asarhaddon – władca Asyrii, Babilonii oraz Sumeru i Akadu – zawarł ze swoimi wasalami, są bardzo podobne. Chciałabym nie być gołosłowna – niech każdy ma szansę ocenić sam. O Zakład Starożytnego Bliskiego Wschodu UW otarłam się tylko kurtuazyjnie i nie jestem w stanie czytać tych traktatów w oryginale. Nie sądzę, żeby zostały przetłumaczone na polski, z konieczności więc częstuję Państwa własnym przekładem z przekładu. Cytaty biblijne – jak zazwyczaj – podaję za rabinem Izaakiem Cylkowem. Proszę ocenić:

„I będzie niebo, które nad głową twoją miedzią, a ziemia, która pod tobą, żelazem" (wers 23) / „Niech oni [bogowie] uczynią twoją ziemię jak z żelaza, aby nikt nie mógł jej zaorać [dosł. przeciąć]. Tak jak deszcz nie spada z miedzianego nieba..." (528-31). Kolejna para: „Porazi cię Wiekuisty obłędem i ślepotą, i stępieniem umysłu; I będziesz chodził omackiem w południu, jako chodzi omackiem ślepy w ciemności" (wersy 28-29) / „...niech [Szamasz – mezopotamski bóg słońca] pozbawi wzroku twoje oczy – będą błądziły w ciemności..." (422-4). I jeszcze jedna: „Żonę sobie narzeczesz, a kto inny położy się z nią" (wers 30) / „Niech Wenus, najjaśniejsza z gwiazd, sprawi, że twoje żony będą leżeć na łonie twojego wroga, podczas gdy twoje oczy będą patrzeć" (428-9). Powyższe trzy krótkie przykłady bynajmniej nie wyczerpują łatwo zauważalnych analogii między tymi tekstami.

Najstarszym zbiorem praw, zakończonym ustrukturyzowaną w obietnice i groźby zachętą do ich przestrzegania, nie jest nawet Kodeks Hammurabiego – znaleziono jeszcze starszy sumeryjski. Podobne elementy zawierają traktaty pomiędzy potężnymi władcami a zależnymi od nich pomniejszymi królami: wpierw wymienione są korzyści takiego układu dla wasala, następnie warunki umowy, a na koniec groźby – co się stanie, jeśli lennik te warunki złamie. Podbój Egiptu przez Asarhaddona sprawił, że jego państwo stało się ówczesnym największym imperium na świecie. Judea także była odeń zależna, nie dziwi więc, że znane w niej były jego dokumenty. W biblijnych błogosławieństwach i przekleństwach można odnaleźć echa nie tylko zawartych przez niego traktatów, ale i innych pism powstałych w ościennych kulturach. Mamy tu do czynienia nie z kopiowaniem, lecz z twórczą interakcją z tekstem, adaptacją jego elementów do własnego kontekstu, językowym nawiązaniem do innych fragmentów Tory. Dzieci Izraela są częścią Starożytnego Bliskiego Wschodu, tylko że dla nich suwerenem jest Najwyższy, a oni to jego wasale. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Konfesjonałowa sztuczka

„Przebacz zło twemu bliźniemu, a wtedy gdy będziesz prosił, Bóg tobie przebaczy. Czy ktoś, kto żywi gniew przeciw bliźniemu, może szukać uzdrowienia u Pana? Jeśli nie ma miłosierdzia dla podobnego sobie, jak może wznosić błaganie za swoje grzechy?", mówi Syrach. Wynika z tego, że człowiek wiążąc swój los z Bogiem, na własne życzenie stawia siebie w sytuacji bez wyjścia. Chcąc żyć z Bogiem w zgodzie, będzie musiał żyć w zgodzie z ludźmi, i to żyć na dobre i na złe, a wszelkie próby oddzielenia Boga od ludzi będą z góry skazane na niepowodzenie. Bóg nie pozwoli nikomu ani na zamknięcie Go w jednym określonym miejscu, ani na limitowanie czasu Jego obecności i działania. Czym takie więzienie Boga w świątyniach i obrzędach się kończy, na własnej skórze przekonali się żydzi i chrześcijanie. Biblia jest na to wystarczającym dowodem.

Taki oderwany od ludzi Bóg staje się po prostu bożkiem, i żeby zapewnić sobie jego życzliwość, trzeba go nieustannie chwalić, karmić i poić, wcale nie rzadko ludzką krwią. A że jest stworzony na miarę swoich stwórców, potrafi się wściec i dopiec ludziom do żywego. Wtedy trzeba znaleźć sposób, żeby go przebłagać, nakłonić do zmiany nastawienia, czyli żeby przestał karać. A że nie ma też jak sprawdzić, czy już otrzymaliśmy, czy jeszcze nie boże przebaczenie, stajemy się wiecznie żebrzącymi nieszczęśnikami powtarzającymi w kółko: przyjdź, zstąp, przebacz, zlituj się, daj, daj i daj! A przecież Bóg żydów i chrześcijan, podejrzewam, że nie tylko, nie potrzebuje przychodzić, gdyż Jest Tym, Który Jest. I to nie On ma zmieniać swoje nastawienie do nas, ale my do Niego, gdyż nie On się na nas zagniewał, ale my na Niego, nie On nas krzyżuje, ale my Jego krzyżujemy. Nie, nie symbolicznie, obrzędowo, liturgicznie, duchowo, lecz fizycznie, jak najbardziej realnie. Pamiętamy przecież, że to, co robimy ludziom, to samo robimy Bogu.

Wciąż ciężko nam w to uwierzyć, dlatego wymyśliliśmy sobie taką konfesjonałową sztuczkę, którą w trójkę rozgrywamy: ja, spowiednik, Bóg. Udzielając rozgrzeszenia i przyjmując je, sądzimy, że sprawę z Bogiem mamy załatwioną. Niekoniecznie. Za plecami skrzywdzonych ludzi stoi Bóg i pyta: a gdzie jest „zapłata, której odmówiliście robotnikom, choć skosili wasze pola"? „Kto zgrzeszył, stał się przez to winnym zadośćuczynienia, powinien oddać to, co ukradł, albo co wymusił, albo co wziął na przechowanie, albo rzecz zgubioną, którą znalazł, albo tę rzecz, co do której złożył fałszywą przysięgę – zwróci mianowicie całkowitą wartość tej rzeczy, dodając do niej jeszcze piątą część wartości. Powinien to oddać właścicielowi tego samego dnia, kiedy będzie składał ofiarę zadośćuczynienia". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Trzy postawy Piotra

Liturgia uczyniła nas ostatnio świadkami powołania Szymona Piotra (także Andrzeja, Jana i Jakuba, ale ich postawa w całym wydarzeniu opisana jest jedynie sygnalnie). Chciałbym z postawy przyszłego papieża wydobyć trzy elementy – niewątpliwie istotne dla każdego z nas.

Element pierwszy: zaufanie Słowu Jezusa: „Mistrzu, całą noc pracowaliśmy i nic nie ułowiliśmy. Lecz na Twoje słowo zarzucę sieci" (Łk 5, 5). W greckim tekście Ewangelii wypowiedź Szymona brzmi nawet mocniej, dosłownie: „w Twoim słowie zarzucę sieci...". Szymon Piotr wierzy w moc Słowa, i jakby wewnątrz tej mocy odważa się zrobić rzecz całkowicie sprzeczną z jego doświadczeniem i praktyką rybacką. Nie sprzeczną z rozumem, gdyż zaufanie Jezusowi jest postawą rozumną; niemniej polecenie wypłynięcia na połów w samo południe i zarzucenia sieci na głębię mógł rybakowi wydać jedynie... Cieśla. Rybak zaufał. A jego łódź (i łódź synów Zebedeusza) wypełniła się aż po brzegi złowionymi rybami. I wtedy...

Wtedy – i jest to drugi element postawy Szymona Piotra – upadł on do kolan Jezusa i powiedział: „Wyjdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiekiem grzesznym" (Łk 5, 8).

Czy tak reaguje człowiek „sukcesu"? Wtedy, gdy mamy „pełne sieci"; wtedy, gdy się udało: gdy nasza praca przyniosła obfity owoc; ogromne rezultaty – znacznie większe, niż się spodziewaliśmy czy zakładaliśmy – czy wtedy pierwszą naszą reakcją jest zobaczenie i uznanie w sobie grzesznika? Człowieka słabego?

Jak piękny jest ten Szymon brodzący po kolana w rybach, na środku Jeziora Galilejskiego – uznający z całą pokorą, że to nie jego mocą i nie z jego trudu dokonał się ów niesłychany połów. Że to moc i łaska Jezusa! A on pośród całego owego sukcesu pozostaje wewnątrz wielkim grzesznikiem, który wcześniej całą noc potykał się o swoją bezradność i bezowocność pracy.

I trzeci, równie piękny element postawy Szymona: „I wciągnąwszy łodzie na ląd, zostawili wszystko i poszli za Nim" (Łk 5, 11). Najpierw pracowali całą noc; później pracowali pośrodku upalnego dnia. Czy nie po to, by złowić ryby? Czy nie to było ich celem? I teraz co? Wyciągają na brzeg łodzie wypełnione rybami i... zostawiają je? Co kryje się za takim postępowaniem?

Dystans i wolność w odniesieniu do owoców własnego trudu? Radykalna dyspozycyjność, która zdolna jest porzucić miejsce stabilizacji i bezpieczeństwa oraz wypracowanych wielkich i pięknych owoców – na rzecz innej (wcale jeszcze nie dookreślonej) potrzeby?

Po trosze pewnie jedno i drugie. Ale tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego: „poszli za Nim". Chodzi o to, że w wierze, w apostolstwie, w ewangelizacji najważniejsza nie jest „robota". Ani nawet jej owoce. Najważniejsza jest najściślejsza relacja z Nim. Komunia. Miłość. Zażyłość. Bliskość. ©

Spokój należy do doskonałej duszy, a do niedoskonałej należy przygniatanie się troskami.

NIL Z ANCYRY

Jak z korzenia nienaruszonego ścięte drzewo znów odrasta, tak też z niewykorzenionych pragnień ból ciągle od nowa kiełkuje.

BUDDA

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 IX)

24. niedziela zwykła: Syr 27, 30 – 28, 7; Ps 103; Rz 14, 7-9; Mt 18, 21-35;
Poniedziałek: Mdr 4, 7-15 lub 1 J 2, 12-17; Ps 148; Łk 2, 41-52;
Wtorek: 1 Tm 3, 1-13; Ps 101; Łk 7, 11-17;
Środa: 1 Tm 3, 14-16; Ps 111; Łk 7, 31-35;
Czwartek: Iz 49, 1-6 lub Ef 4, 1-7. 11-13; Ps 19; Mt 9, 9-13;
Piątek: 1 Tm 6, 2c-12; Ps 49; Łk 8, 1-3;
Sobota: 1 Tm 6, 13-16; Ps 100; Łk 8, 4-15;
25. niedziela zwykła: Iz 55, 6-9; Ps 145; Flp 1, 20c-24. 27a; Mt 20, 1-16a.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

PARTIA WEŹMIE WSZYSTKO

Kolejne zwycięstwo wyborcze PiS może oznaczać trwałe zmiany w wielu kluczowych sferach życia publicznego, w tym likwidację idei samorządności. Czy czeka nas zupełny demontaż systemu demokratycznego?

MAŁGORZATA SOLECKA

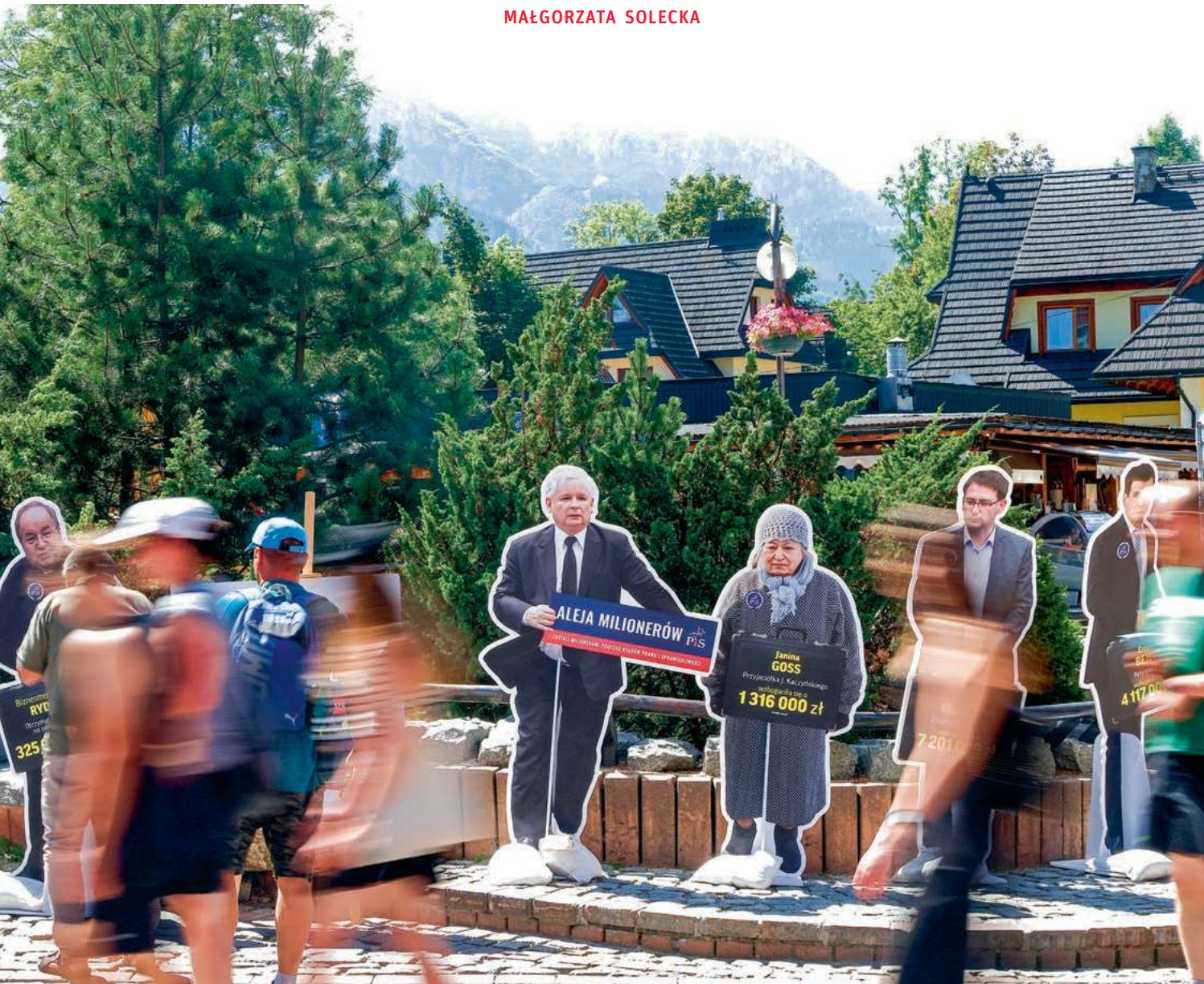

Utrzymanie się Prawa i Sprawiedliwości u władzy byłoby nową jakością w polskim życiu publicznym; po raz pierwszy to samo ugrupowanie wygrałoby wybory trzeci raz z rzędu. Skutki takiego zwycięstwa wpłyną na życie każdego z nas, a skala tego wpływu zależy od rozmiarów wygranej. Przede wszystkim od tego, czy Jarosławowi Kaczyńskiemu do rządzenia potrzebny będzie koalicjant.

Nieznaczne zwycięstwo może utrudnić, jeśli nie uniemożliwić, przeprowadzenie najdalej idących „reform", które opozycja określa mianem demontażu systemu demokratycznego w Polsce. Jednak nawet przy scenariuszu umiarkowanych zmian należy oczekiwać, że będą one wyraźnym krokiem w kierunku likwidacji w Polsce demokracji liberalnej, nawet jeśli z pozoru nie wydadzą się spektakularne.

Samorządy, adwokaci, lekarze

Opierając się tylko na tym, co liderzy PiS zapowiadają w mniej lub bardziej oficjalnych rozmowach, można się spodziewać, że w przypadku zwycięstwa PiS na pewno dojdzie do zmian w najbardziej kluczowych ośrodkach oporu przeciw hegemonii partii władzy, czyli w wymiarze sprawiedliwości i w mediach. Oprócz tego istotnych modyfikacji należy się spodziewać w edukacji i nauce. Przede wszystkim jednak PiS, z olbrzymim prawdopodobieństwem, przyspieszy i sformalizuje proces recentralizacji państwa.

Partia rządząca już w ostatniej kadencji poważnie osłabiła samorządy terytorialne poprzez zmiany podatkowe, które wpłynęły m.in. na gwałtowny spadek dochodów z PIT. Uzależniła je za to od redystrybucji środków z budżetu centralnego, choćby w postaci osławionych czeków dla gmin, naklejanych na wielkie arkusze z pianki. Pozbawiane pieniędzy samorządy są coraz mniej samodzielne, stając się w dużym stopniu klientami wzmacniającej się ich kosztem władzy centralnej. A to nie musi być koniec „reform". Likwidacja powiatów jako szczebla samorządu terytorialnego dysponującego realną władzą (niekoniecznie likwidacja powiatów w ogóle, gdyż jest tam sporo potencjalnych stanowisk do obsadzenia) oraz radykalne zwiększenie liczby województw – znacząco słabszych niż obecne – to pomysły, które w partii Jarosława Kaczyńskiego już nie raz pojawiały się w dyskusjach o kształcie państwa. I nic nie wskazuje na to, by zostały zapomniane.

Nie tylko samorządy terytorialne, ale i zawodowe są na celowniku Zjednoczonej Prawicy. Już w 2022 r. posłowie z otoczenia ministra sprawiedliwości złożyli w Trybunale Konstytucyjnym zapytanie o zgodność z konstytucją niektórych przepisów regulujących funkcjonowanie samorządów radców prawnych i adwokatów. Gdyby TK uznał je za nieodpowiednie, oznaczałoby to *de facto* koniec niezależności tych dwóch zawodów zaufania publicznego.

W kolejce czeka też samorząd lekarzy i stomatologów – w tej kadencji funkcjonowaniem izb lekarskich zajmował się zespół, w którym również niezwykle aktywni byli posłowie kojarzeni z ministrem sprawiedliwości, a przewodniczyła mu Anna Maria Siarkowska, która do Sejmu następnej kadencji chce wejść z list Konfederacji. Cel prac był ten sam – a jednym z wniosków zapowiedź przygotowania pytań do Trybunału, które zmierzają do podważenia legalności samorządu lekarskiego w jego obecnym kształcie, czyli jego faktyczna likwidacja.

Koniec trzeciej władzy?

Jednak to wojna z wymiarem sprawiedliwości stała się najbardziej charakterystyczną cechą rządów PiS – i tak pozostanie. Partii władzy nie wystarczył skok na Trybunał Konstytucyjny w pierwszej kadencji, powrót do unii personalnej między ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, a nawet rozprawa z Sądem Najwyższym, którą PiS musiał lekko złagodzić po wecie prezydenta i interwencji Komisji Europejskiej. Jarosławowi Kaczyńskiemu nie wystarczyło też uchwalenie ustawy umożliwiającej wyłonienie w 2018 r. (w dużym stopniu przez parlament, czyli w sposób wątpliwy konstytucyjnie) nowej Krajowej Rady Sądownictwa, nazywanej od tej pory neo-KRS. Przed wyborami w 2019 r. PiS przepchnął również tzw. ustawę kagańcową, karzącą tych sędziów, którzy odważyli się odwoływać do orzecznictwa europejskiego.

Druga kadencja PiS była pod względem zmian w wymiarze sprawiedliwości nieco mniej spektakularna, przede wszystkim dlatego, że w końcu 2020 r. wprowadzono unijny mechanizm warunkowości, pozwalający Komisji Europejskiej wnioskować o zawieszenie środków unijnych państwom, które nie przestrzegają prawa. Polska zaczęła mieć więc problem z wypłatami w ramach Krajowego Planu Odbudowy i władze musiały się wycofać z kolejnych przepisów ustawy o Sądzie Najwyższym, przede wszystkim tych, które zakładały istnienie Izby Dyscyplinarnej SN, zdelegalizowanej wyrokiem TSUE z kwietnia 2020 r. Wycofywanie się ze zmian w ustawie o SN na razie okazało się jednak nieskuteczne, bo prezydencka nowelizacja z lata 2022 była zdaniem KE niewystarczająca, a kolejna, tym razem poselska nowelizacja ze stycznia 2023 r., powierzająca dyscyplinowanie sędziów sądom administracyjnym, po decyzji prezydenta zalega w skłóconym Trybunale Konstytucyjnym.

Jeśli jednak PiS wygra wybory, zostanie to zapewne uznane za zgodę „suwerena" na twardą politykę wobec wymiaru sprawiedliwości – bez oglądania się na fochy UE. Nieprzypadkowo 26 sierpnia podczas spotkania wyborczego w Sokołowie Podlaskim Kaczyński po raz kolejny zaatakował sądy, przekonując, że „kpią sobie z praworządności". „My to zmienimy. Tym razem nikt nas nie zatrzyma" – zapowiedział i jego słowa nie powinny być traktowane wyłącznie jako wyborcza pogróżka. Projekty ustaw już są, przygotowane przez ministra sprawiedliwości, ale na razie nie było politycznego zielonego światła, by je wdrażać.

Propozycja Zbigniewa Ziobry zakłada m.in. likwidację obecnie istniejącej struktury sądów – sądu rejonowego, okręgowego i apelacyjnego – oraz powołanie w ich miejsce dwóch nowych szczebli: sądów okręgowych i regionalnych. Te ostatnie przejęłyby z Sądu Najwyższego skargi kasacyjne. Minister sprawiedliwości proponuje też mocne ograniczenie SN, w którym miałoby zasiadać tylko ok. 30 sędziów. Cała ta reforma będzie skutkować wymianą sędziów na stanowiskach, tyle że szanse awansu otrzymają zapewne przede wszystkim ludzie zaufani, czyli np. powołani na wniosek tzw. neo-KRS.

Nawet jeśli zmiany te kolejny raz zaburzą zasadę trójpodziału władzy, to zdaniem sędziego Piotra Gąciarka ze Stowarzyszenia Iustitia konstytucja daje ↦

Happening opozycji „Aleja Milionerów". Zakopane, 13 sierpnia 2023 r.

MAREK PODMOKLY / AGENCJA WYBORCZA.PL

tu pewną furtkę, bo pozwala na przenoszenie sędziów w stan spoczynku, jeśli zmianie ulega struktura sądów czy granica okręgów. – Jest to groźne, bo to może być pretekst do totalnej czystki. Może się okazać, że po takiej zmianie dla setek sędziów najbardziej zaangażowanych nie ma miejsca – mówi sędzia Gąciarek. Podkreśla zarazem, że po 1989 r. nie było tak daleko idącej rewolucji w strukturze sądów, jaką planuje Ziobro. – W filozofii tych, którzy rządzą, nie mieści się naprawdę niezależna władza sądownicza oraz to, że istnieje trójpodział władzy, a władza sądownicza jest równoprawna z ustawodawczą i wykonawczą. Dziś wszystko zależy już tylko od wyborców – przyznaje sędzia Gąciarek.

Ewentualne trzecie zwycięstwo PiS może też dokończyć proces wasalizowania Trybunału Konstytucyjnego. W odpowiedzi na pat, wywołany konfliktem o prezesurę Julii Przyłębskiej w obecnym Trybunale, politycy PiS przygotowali ustawę, która zmniejsza liczbę sędziów tworzących pełny skład Trybunału, i w efekcie ma zmusić TK do wydawania orzeczeń. Po ewentualnym zwycięstwie najprawdopodobniej wcielą ją w życie.

Zabójcze kary dla mediów

Utrzymanie się PiS u władzy oznaczać będzie również głębokie zmiany w strukturze mediów. Nie można wykluczyć dalszego podporządkowania publicznego radia i telewizji politykom, czyli likwidacji ostatnich enklaw względnej niezależności, choćby w kulturze. Należy zarazem oczekiwać wprowadzenia instrumentów ograniczających działalność mediów komercyjnych. Dotąd takie próby kończyły się niepowodzeniem, jak choćby pomysł podatku od reklam z początku 2021 r., nie mówiąc już o tzw. lex TVN, ale nie da się wykluczyć kolejnych pomysłów, jeśli suweren znowu odda PiS władzę.

Jeśli PiS wygra wybory, zostanie to uznane za zgodę „suwerena" na twardą politykę wobec sądów – bez oglądania się na fochy UE.

Zajmująca się mediami senator Barbara Zdrojewska z Koalicji Obywatelskiej uważa, że po ewentualnym zwycięstwie PiS pójdzie drogą wypróbowaną przez Viktora Orbána na Węgrzech i doprowadzi do przejęcia przez spółki Skarbu Państwa lub zaprzyjaźniony kapitał maksymalnej liczby prywatnych mediów, tak jak zrobiono (poprzez Orlen) z koncernem Polska Press, potentatem na rynku lokalnych gazet i portali internetowych.

W jeszcze większym stopniu z instrumentów nacisku na media komercyjne będzie korzystał przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Maciej Świrski. Zapowiedzią tego, co może czekać telewizje i stacje radiowe, jest jego decyzja z 11 sierpnia, kiedy to nałożył na Radio Zet karę finansową w wysokości 476 tys. zł za emisję treści rzekomo sprzecznych z prawem, polską racją stanu i dobrem społecznym.

Przewodniczący KRRiT uznał, że Radio Zet – podając informację, iż Amerykanie przewieźli prezydenta Ukrainy przez Polskę, nie zwracając się o pomoc do polskich służb – dopuściło się „przekazu dezinformującego opinię publiczną", który posłużył do „deprecjonowania państwa polskiego". Spółka Eurozet zapowiedziała skierowanie sprawy do sądu, argumentując, że przewodniczący KRRiT nie ma prawa wglądu w źródła chronione tajemnicą dziennikarską i nie może rozstrzygać, co było prawdą, a co nie. To może zrobić tylko niezawisły sąd.

Sytuacja z „Zetką" pokazuje nową praktykę władz politycznych. Jeśli ściśle powiązany z władzą szef KRRiT będzie stosował wysokie kary finansowe wobec mediów komercyjnych w każdym przypadku, gdy uzna, że media te podały nieprawdę, to nawet jeśli po jakimś czasie rozstrzygnięcie sądowe przyzna racje dziennikarzom, sytuacje takie mogą skłaniać właścicieli mediów do autocenzury. Ten sam skutek mogą mieć podpisane z końcem sierpnia przez prezydenta zmiany w kodeksie karnym, wprowadzające surowe kary za dezinformację, czyli pojęcie, które może być szeroko rozumiane i stosowane jako bat na media (nie tylko na radia i telewizje, ale też pisma i portale), podobny do tego użytego przeciwko Eurozetowi.

Zdaniem Piotra Adamowicza, posła KO z sejmowej komisji kultury i środków przekazu, Maciej Świrski dostał od politycznych dysponentów wolną rękę. – Z poprzednim przewodniczącym KRRiT Witoldem Kołodziejskim jeszcze jakoś można było współpracować, ale z Maciejem Świrskim nie ma żadnej rozmowy. Wystąpiłem kiedyś o ekspertyzy zamówione przez KRRiT w związku z rekoncesją dla TVN24, ale Świrski odmówił – twierdzi Adamowicz.

Do precedensu doszło też wtedy, gdy przewodniczący KRRiT wystąpił o karę dla TVN24 po emisji filmu „Siła kłamstwa", poświęconego podkomisji smoleńskiej. Wystąpienie było efektem skargi Antoniego Macierewicza. Adamowicz zwraca uwagę, że kiedyś w takich sytuacjach nikt nie angażował KRRiT, tylko ewentualnie występował na drogę sądową, jeśli czuł się zniesławiony. Droga przyjęta przez Macierewicza i Świrskiego to nowa, niebezpieczna jakość.

W przypadku mediów elektronicznych metodą nacisku jest również przeciąganie postępowań koncesyjnych, jak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Wybory parlamentarne 2023

Bieżące komentarze, rzetelne analizy i rozmowy z ekspertami.
Sprawdź, jak toczy się kampania wyborcza i co dzieje się w polskiej polityce.

TygodnikPowszechny.pl/wybory2023

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Protest w obronie wolnych mediów. Kraków, 19 grudnia 2021 r.

zrobiono w przypadku TVN24, a ostatnio Radia Tok FM. – To jest straszak według zasady: jak będziecie grzeczni, to może dostaniecie koncesję, a jak nie będziecie, może być różnie. A dodatkowo może damy wam jeszcze karę. To wywoła efekt mrożący – sądzi Adamowicz.

Szkoła tylko prawomyślna

Efekt mrożący w szkolnictwie już wywołały kolejne projekty ustawy zwanej „lex Czarnek". Choć prezydent Andrzej Duda zawetował dwa kolejne akty prawne z tej serii, pojawił się trzeci w formie projektu obywatelskiego i nie można wykluczyć, że prezydent w końcu ulegnie. Dyrektorzy szkół już dziś jednak wolą nie narażać się Ministerstwu Edukacji i Nauki oraz kuratorom takim jak Barbara Nowak, więc np. liczba „lewackich" organizacji pozarządowych zapraszanych do szkół znacznie spadła. Zwycięstwo PiS i pozostanie Przemysława Czarnka na dotychczasowym stanowisku tylko to zjawisko pogłębią. Jednak być może jeszcze ważniejsze jest to, że utrzymanie w edukacji politycznego *status quo* będzie oznaczać dalszy odpływ nauczycieli ze szkół. Według wielu ekspertów najważniejszym powodem odchodzenia nauczycieli z zawodu jest (obok problemu niskich płac i związanego z tym upadającego prestiżu zawodu nauczyciela) presja ideologiczna na szkoły, niespotykana od czasów PRL. W tej kwestii nie należy oczekiwać rewolucyjnych zmian, bo nauczyciele, zwłaszcza od strajku z wiosny 2019 r., traktowani są przez PiS jako wrogie środowisko, wymagające spacyfikowania.

To samo dotyczy świata polskiej nauki. Podczas Międzynarodowego Interdyscyplinarnego Seminarium Naukowego pod hasłem „Idee-Człowiek-Filozofia", które odbyło się na początku sierpnia w Starym Sączu, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek zapowiedział likwidację Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oraz Narodowego Centrum Nauki. W ich miejsce miałby zostać powołany całkiem nowy system grantowy pod pieczą resortu. O ile NCBiR obciążone jest aferą z wykorzystywaniem tej instytucji przez polityków związanych z Partią Republikańską i nie słynie z uczciwych procedur, o tyle NCN, które od swojego powstania przyznało już 28 tys. grantów, stosuje transparentne procedury oceny projektów i publikacji naukowych, a jednocześnie jest wyczulone na przypadki konfliktu interesów.

– Nie ma innych racjonalnych kryteriów, według których można by w nauce dystrybuować pieniądze publiczne, niż te, które stosuje NCN – uważa biolog molekularny prof. Marcin Nowotny. – Oczywiście w każdej dziedzinie życia ocena ekspercka zawiera element arbitralności. Wszędzie, gdzie jest czynnik ludzki, istnieje też ryzyko nietrafionych decyzji. Nie wydaje się jednak, by można było stworzyć coś lepszego – dodaje.

Nowy system, zapowiadany przez ministra Czarnka, nie jest jeszcze znany. Jak może wyglądać, pokazuje dotychczasowa praktyka MEiN, w ramach której do komisji oceniających wyrafinowane projekty naukowe powoływani bywali głównie bliscy ministrowi naukowcy z KUL, specjalizujący się np. w nauczaniu Jana Pawła II.

Minister Czarnek nadaje też z tylnego siedzenia kierunek zmianom w systemie ochrony zdrowia – i trudno sobie wyobrazić, jakie będą skutki, jeśli będzie on kontynuowany przez następne cztery lata. Nagłe rozmnożenie szkół wyższych, które mogą prowadzić studia na kierunku lekarskim, oznacza, że za kilka lat do zawodu lekarza wejdą zarówno absolwenci Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego czy Collegium Medicum UJ, ale też absolwenci wyższych szkół z kilku miast powiatowych, którym minister Czarnek uchylił przysłowiowego nieba, pozwalając pobierać niemałe opłaty za studia, bez gwarancji utrzymania jakości kształcenia. Rządzący liczą, że gdy lekarzy będzie więcej, uda się zmniejszyć kolejki, a pacjenci wreszcie przestaną narzekać. Zamiast tego możemy mieć jednak problem w postaci radykalnego obniżenia jakości wykształconych profesjonalistów i jeszcze większego podziału między dostępnością do medycyny na europejskim poziomie w wielkich aglomeracjach i w tzw. Polsce powiatowej.

■ ■ ■

Utrzymanie się PiS przy władzy oznacza jeszcze jedno: kontynuowanie obecnej polityki ideologicznej i kulturalnej firmowanej przez prof. Piotra Glińskiego. Polityki stawiającej na piedestał przykłady narodowej martyrologii, a wszelkie próby dyskusji na temat kontrowersyjnych momentów naszej historii – uznającej za „pedagogikę wstydu" i ojkofobię.

Taki sposób pojmowania polskiej historii, kultury i roli państwa w kształtowaniu głównych narracji zmierza do zmiany sposobu myślenia Polaków i całego systemu obowiązującego w Polsce, w ramach którego procedury i instytucje znaczą coraz mniej, coraz bardziej zaś liczą się ideologia i wola partii, a dokładnie wola rządzącego nią w sposób niekwestionowany prezesa.

Andrzej Celiński, były polityk Unii Demokratycznej, Unii Wolności i Lewicy uważa, że jeśli PiS wygra, coraz mocniej będzie się rozwijać system ręcznego sterowania państwem i przepływami pieniędzy. To jest właśnie model relacji władzy ze społeczeństwem, jaki zawsze chciał mieć Jarosław Kaczyński. Do tego natomiast potrzebna jest siła polityczna, która nie będzie grzęznąć w miazmatach murszejącej demokracji.

© MAŁGORZATA SOLECKA

Akwarium dla delfinów

MAREK RABIJ

Rząd PiS, który szczyci się dbałością o potrzeby Polaków, ustawą o fundacji rodzinnej stworzył podwaliny dla nowej polskiej oligarchii.

Powstały ich już 64, choć ustawa weszła w życie dopiero 22 maja. Blisko 300 kolejnych wniosków o zatwierdzenie statutu i wpisanie na listę czeka w sądzie na swoją kolej. Minimalny próg kapitału możliwy do wniesienia to 100 tysięcy złotych, ale koszty obsługi prawnej czynią tę grę wartą świeczki jedynie w przypadku wielomilionowych majątków.

Zainteresowanie powołaniem fundacji rodzinnych, jak przyznają anonimowo prawnicy zaangażowani w prace nad statutami, przerosło oczekiwania. – Spodziewaliśmy się na początek dwóch, trzech zapytań – mówi pracownik warszawskiej kancelarii. – Tymczasem już pod koniec czerwca mieliśmy jedenastu klientów, którzy zlecili nam przygotowanie dokumentacji potrzebnej do zarejestrowania takiej fundacji.

Zapytany o przyczyny, prawnik nie zastanawia się długo nad odpowiedzią. – Po raz pierwszy od końca II wojny światowej w Polsce naprawdę jest co dziedziczyć – kwituje.

Zmiana warty

Jan Kulczyk, Zygmunt Solorz, Jan Starak, Janusz Filipiak – te nazwiska zapisały się już na stałe w polskiej historii gospodarczej. Pionierzy nadwiślańskiego biznesu zgromadzili majątki, które w niektórych przypadkach czynią ich dolarowymi miliarderami i zapewniają miejsca w końcówce rankingów najzamożniejszych ludzi globu. Fortuna dziesięciu najbogatszych Polaków z tegorocznego rankingu magazynu „Forbes" (obejmującego sto nazwisk) warta jest 108 mld zł. Dziesięć lat temu cała setka wyceniana była na 94,5 mld zł.

Bez względu na branżę czy stan konta większość krajowych milionerów i miliarderów łączy jednak metryka. Generacja Polaków, którzy jako pierwsi z powodzeniem popłynęli na fali wolnego rynku, właśnie przechodzi – lub już przeszła – na emeryturę. Z danych Instytutu Biznesu Rodzinnego wynika, że w ciągu najbliższych czterech lat aż 57 proc. firm rodzinnych czeka zmiana kierownictwa wymuszona wiekiem założycieli. Jednocześnie tylko 8,1 proc. ich dzieci wyraża gotowość do przejęcia pałeczki po rodzicach. W roku rekordowej inflacji i gwałtownego skoku wskaźników ubóstwa nie jest to, rzecz jasna, najpilniejsze zadanie w katalogu zagadnień społecznych do szybkiego zaopiekowania, ale rząd PiS pochylił się nad nim w ekspresowym trybie. Od momentu, gdy projekt ustawy o fundacji rodzinnej trafił do Sejmu, do chwili, gdy podpisał ją prezydent, minęło 67 dni. Dla porównania: uchwalenie o wiele ważniejszej ustawy o pomocy państwa w oszczędzaniu na cele mieszkaniowe zajęło rządzącym 74 dni.

„Nie mamy (...) w polskim porządku prawnym wystarczających instrumentów zapewniających ochronę przed podziałem (rozdrobnieniem) majątku powstałego w związku z prowadzoną działalnością gospodarczą po przeprowadzeniu sukcesji ani za życia, ani po śmierci właściciela. (...) Brak rozwiązań w tym zakresie jest dostrzegalny przede wszystkim wśród osób, które chciałyby zadbać o przyszłość zgromadzonego majątku w perspektywie dłuższej niż dwóch pokoleń" – tymi słowami potrzebę pilnego uchwalenia ustawy o fundacji rodzinnej opisali jej autorzy, o dziwo, nie z resortu sprawiedliwości, lecz z Ministerstwa Rozwoju i Technologii.

Cytowany wyżej prawnik ze stołecznej kancelarii: – Tą ustawą państwo polskie niejako przyznaje się do bezradności. Rząd zdaje sobie sprawę, że fundacje rodzinne ułatwią najbogatszym obchodzenie polskich przepisów podatkowych, ale wie też, że polski miliarder może dziś zrobić właściwie to samo rejestrując identyczną fundację choćby w Wiedniu. Lepiej więc, żeby optymalizował sobie podatki w majestacie polskiego prawa.

Co zostaje w rodzinie

Jakie korzyści zapewnia fundacja rodzinna? Najprościej i zarazem najszczerzej ujmuje to na swojej stronie internetowej jedna z krakowskich kancelarii prawnych.

„Majątek wprowadzony do fundacji rodzinnej przez fundatora nie trafi do masy spadkowej, a spadkobiercy będą mogli z niego korzystać jako beneficjenci fundacji w sposób określony przez jej statut. Drugim zastosowaniem będzie używanie fundacji jako narzędzia optymalizacji podatkowej. Fundacja rodzinna co do zasady nie jest podatnikiem podatku CIT, więc uzyskiwane przez nią dochody nie będą opodatkowane. Trzecim zastosowaniem będzie wykorzystanie fundacji jako wehikułu inwestycyjnego. Fundacja rodzinna może inwestować w akcje, obligacje oraz udzielać pożyczek w sposób całkowicie zwolniony z podatku" – czytamy na stronie. Nic dziwnego, że prawnicy zastanawiają się, czy ustawodawca z premedytacją wybrał sąd w Piotrkowie Trybunalskim jako właściwy do rejestracji fundacji rodzinnych? Bo jeśli to przypadek, to wielce symboliczny: od 1578 r. obradował tutaj jesienią Trybunał Główny Koronny zajmujący się sprawami prawa

DINO STANIN / PIXSELL / FORUM

Jacht Phoenix 2, własność Sebastiana Kulczyka. Zadar, 22 sierpnia 2023 r.

ziemskiego regulującego stosunki między szlachtą, i właśnie tu zrodziło się wiele magnackich fortun. Specjaliści od polskiego prawa spadkowego dostrzegają zresztą w ustawie o fundacjach rodzinnych uderzające podobieństwo do ordynacji rodowej z czasów I Rzeczypospolitej, która upowszechniła się zwłaszcza w XVII w. W trosce o integralność wielkich majątków magnackich stworzono wówczas konstrukcję nie do końca zgodną z ówczesnym polskim systemem prawnym, za to broniącą stanu posiadania rodu.

Ordynacja nie mogła być sprzedana, darowana ani podzielona między kilku spadkobierców, ale zawsze przechodziła w drodze dziedziczenia w całości na określoną osobę, z reguły na najstarszego syna. Kobiety nie mogły być ordynatami. Na kierującym ordynacją spoczywał obowiązek utrzymywania członków najbliższej rodziny, nie miał za to prawa dysponować majątkiem według własnej woli, zwłaszcza uszczuplać go i wyprzedawać. W razie niewypełniania obowiązków statutowych mógł nawet zostać pozbawiony powiernictwa na rzecz następcy lub rodziny.

Fundacja rodzinna – jak podkreśla dr Wojciech Bańczyk, badacz polskiego prawa spadkowego z Uniwersytetu Jagiellońskiego – w zbliżony sposób narusza jedną z fundamentalnych zasad regulujących w polskim prawie dziedziczenie, jaką jest brak możliwości przekazania spadku na warunkach określonych przez donatora. Nie można – mówi ekspert – zapisać komuś majątku i jednocześnie zobowiązać go do gospodarowania nim na określonych zasadach, bo w polskim prawie z chwilą nabycia spadku nabywa się pełnię praw do zarządzania jego przedmiotem. Można za to wyobrazić sobie sytuację, że fundator w statucie uzależni prawo do bycia beneficjentem fundacji np. od wyznawanej religii albo zakaże spadkobiercom wchodzenia w związki małżeńskie z osobami określonych narodowości. To oczywiście przypadki skrajne i statut zawierający podobne zapisy nie powinien być przyjęty przez sąd rejestrowy jako niezgodny z konstytucją. Ale co zrobić z sytuacją, w której fundator uzależni dostęp do majątku fundacji od ukończonych studiów? W świetle przepisów ustawy o fundacji rodzinnej jej założyciel, będący np. wziętym prawnikiem lub znanym medykiem, może po wsze czasy zamknąć dostęp do jej zasobów potomkom niebędącym adwokatami lub lekarzami. Gdyby jednak swój majątek przekazał w formie testamentu, jego uwagi pod adresem ścieżki zawodowej przyszłych pokoleń miałyby ciężar pobożnych życzeń.

Polska odrzuca ogon

Specjaliści od prawa spadkowego nie wykluczają, że z biegiem czasu ustawa o fundacjach rodzinnych będzie musiała przejść nowelizacje, które dopasują ją lepiej do zasad polskiego prawa. Najważniejszego mankamentu nie da się jednak usunąć bez zmiany jej głównej funkcjonalności: w świecie rosnących nierówności dochodowych, zagrażających fundamentom państwa demokratycznego, fundacje rodzinne będą przyspieszać i tak szybko zachodzącą koncentrację majątku w rękach najbogatszych Polaków. Jak podają autorzy najnowszej edycji World Inequality Report 2022, średni dochód narodowy dorosłej populacji w Polsce wynosi 26,6 tys. euro rocznie. Dolne 50 proc. zarabiało jednak do 10,4 tys. euro, mając 19,5 proc. udziału we wszystkich dochodach. Tymczasem najbogatsze 10 proc., z dochodem na poziomie 100 tys. euro rocznie, miało aż 38 proc. udziału w sumie dochodów mieszkańców Polski.

Jesteśmy nadal społeczeństwem na dorobku. Tę oczywistą konstatację warto oprzeć na liczbach, choćby z ostatniego Global Wealth Report, przygotowanego w ubiegłym roku przez nieistniejący już szwajcarski bank Credit Suisse na podstawie danych na koniec grudnia 2021 r. Autorzy tego zestawienia łączną wartość majątku zgromadzonego przez wszystkich mieszkańców Polski oszacowali na 2 biliony dolarów. Taki wynik dał nam miejsce dopiero w trzeciej dziesiątce najzamożniejszych społeczeństw globu. Otwierający statystykę Amerykanie mieli w tym samym czasie zasoby podliczone w identyczny sposób na łącznie aż 126,3 bln dolarów. W przeliczeniu na mieszkańca dało to 380,5 tys. dolarów w przypadku USA – i tylko 52,9 tys. dolarów dla statystycznego Polaka. Niemal tyle samo, ile my, zgromadziło niespełna 9 mln Austriaków.

Szybko nadrabiamy te historyczne zaległości. Z danych izb skarbowych wynika, że w ubiegłym roku 43 776 podatników przekroczyło próg dochodu w wysokości miliona złotych. W ciągu 12 miesięcy przybyło ich 239, ale w trakcie dekady ich liczba uległa praktycznie podwojeniu. Rzecz jasna drogę do pierwszego miliona skróciła Polakom inflacja, ale choćby rzut oka na dynamikę PKB Polski pokazuje, że w ujęciu czysto statystycznym bogacimy się w tempie niespotykanym od stuleci.

Ale czy to naprawdę argument za tym, by ci, którzy mają najwięcej, oddawali biedniejszym jeszcze mniej niż dotychczas? ©℗

KUBA OCIEPA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Alternatywna szkoła dla uczniów podstawówki. Kraków, 11 maja 2016 r.

Koniec szkoły, jaką znamy

MIKOŁAJ MARCELA:

Musimy przemyśleć na nowo ideę troski o obywatela, by nie przechodziła ona w przemoc. Na początek znieśmy obowiązek edukacyjny rozumiany jako przymus uczenia się tego samego przez wszystkich w tym samym czasie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Jako uczeń też chciałeś burzyć system?

MIKOŁAJ MARCELA: W podstawówce nie bardzo było co burzyć: moja szkoła, zwłaszcza jak na tamte czasy, była postępowa i nietypowa. Zajęcia z native speakerem, lekcje w parku, gra w krykieta, treningi aktywności twórczej – tam działo się wiele rzeczy idących pod prąd naszych wyobrażeń o tym, czym szkoła „powinna być".

A liceum?

Tu było już trochę inaczej. Nauczyłem się testować granice tego systemu. Byłem tzw. klasowym błaznem, do pewnego momentu miałem też stosunkowo słabe oceny, włącznie z zagrożeniem z geografii. W ostatniej klasie założyłem się sam ze sobą, że – idąc po linii najmniejszego oporu – będę miał z przedmiotów humanistycznych średnią 6,0.

Udało się?

Osiągnąłem nie tylko tę średnią, ale też sukces na olimpiadzie filozoficznej. A wtedy „poprawiło się" też moje zachowanie – nauczycielom nie wypadało po prostu narzekać na „olimpijskiego finalistę". Ta olimpiada przyczyniła się też zresztą do rozwinięcia u mnie fascynacji filozofią. Zaczęło się od Nietzschego, potem kupiłem Tatarkiewicza – przez wakacje codziennie go studiowałem.

Czyli już wtedy stosowałeś przewrotną zasadę, którą dziś popularyzujesz: prawdziwa nauka kończy się 1 września.

Przewrotność tej zasady jest pozorna. Wystarczy sprawdzić, jaka jest grecka etymologia słowa „szkoła" – to odpoczynek i czas wolny przeznaczony na naukę i rozwój. Dla mnie właśnie wakacje były czasem najintensywniejszego rozwoju.

Teraz 1 września jest dla Ciebie początkiem kolejnego destrukcyjnego cyklu. Zgodnie z tytułem Twojej książki: „Selekcje. Jak szkoła niszczy ludzi, społeczeństwa i świat".

Niszczy, o ile uwierzymy, że szkoła to musi być dokładnie to, co sobie pod tym pojęciem zawsze wyobrażaliśmy: klasa, rzędy ławek, tablica, wykład nauczyciela i „nabywanie wiedzy", a po czterdziestu pięciu minutach dzwonek.

W jakim sensie niszczy?

Na tak wielu poziomach, że gdyby chcieć o tym wszystkim opowiedzieć, nie starczyłoby całego wydania „Tygodnika". Zacznijmy od najbardziej prozaicznego szczegółu, początku lekcji. Od lat wiadomo na podstawie badań neurobiologicznych, że dziecko – a już zwłaszcza nastolatka i nastolatek – nie jest w stanie uczyć się i w ogóle funkcjonować o ósmej rano. Tylko że szkoła nie bierze tego pod uwagę, więc niszczy na najbardziej elementarnym poziomie – fizycznym.

Nie tylko zresztą poprzez wczesny początek zajęć. Od lat psioczymy na młodych ludzi, że godzinami tkwią z nosami w smartfonach i tabletach. Ale jakoś nikt nie narzeka, że w podobnym, destrukcyjnym bezruchu ci sami ludzie tkwią osiem godzin w szkolnych ławkach, nie mogąc za wiele zrobić, słuchając nauczyciela i notując wszystko w zeszytach.

Szkoła niszczy psychicznie. Zrobiliśmy z niej przestrzeń, w której liczą się przede wszystkim wyniki, rankingi. Rywalizacja, a nie to, jak się kto czuje. Szkoła jest też destrukcyjna społecznie, zmuszając do przebywania godzinami w nienaturalnym środowisku.

Dlaczego nienaturalnym?

Nikt, poza twórcami edukacji, nie wpadł w historii świata na pomysł, by grupować ze sobą ludzi urodzonych np. w 1985 roku, bo też nie ma żadnych racji, by to czynić. Ci ludzie, wiemy to także z badań, są na różnych etapach rozwoju intelektualnego, emocjonalnego, mają zupełnie inne potrzeby, pomimo iż łączą ich cyferki z numeru PESEL. Np. mózg niektórych nastolatków nie pozwala im do pewnego wieku zrozumieć pewnych związków przyczynowo-skutkowych, poruszanych choćby na matematyce czy przyrodzie. A jednak szkoła zmusza nas do uczenia się wszystkiego w danym momencie – w dodatku te dzieci, które nie są jeszcze na to gotowe, etykietuje jako „zaburzone" albo „leniwe".

No właśnie: zmusza. Od lat postulujesz zniesienie obowiązku szkolnego, co byłoby – nie tylko w Polsce – końcem edukacji, jaką znamy.

W trzeciej dekadzie XXI wieku wiadomo już o człowieku więcej niż wtedy, gdy ten system powstawał. Wiemy np., że jak młody człowiek będzie musiał coś zrobić, to najprawdopodobniej albo tego nie zrobi, albo zrobi to słabo. Szkoła, będąca z założenia instytucją mającą nas nauczyć krytycznego myślenia, stała się miejscem wypierania wiedzy naukowej: motywacja wewnętrzna, o której wiemy, że jest najsilniejsza, schodzi tu na drugi plan, gdyż na pierwszym pozostaje właśnie przymus.

Szkoła jest jedną z tych instytucji, w których opieka i troska są nierozerwalnie związane z przemocą, co ma długą tradycję w kulturze zachodniej – piszą o tym David Graeber i David Wengrow. Zakładamy, że powinniśmy drugiego człowieka poddać przymusowi, bo wyjdzie mu to na dobre. Nie wyjdzie.

Paradoks polega na tym, że kilka dekad temu pozbyliśmy się ze szkoły przemocy w jej najbardziej spektakularnym wydaniu – fizycznym. Mówię o przemocy nauczyciel–uczeń.

Przemoc fizyczna jest o tyle „bezpieczniejszą" jej formą, że jest jawna – widać gołym okiem sprawcę i ofiarę. Przemoc symboliczna, systemowa jest trudniejsza do wychwycenia. Jeśli mamy dziecko z rodziny z problemem alkoholowym, które z powodu swoich przeżyć ma trudności emocjonalne, to system szkolny dość szybko zakwalifikuje to dziecko jako takie, z którym „coś jest nie tak". A jest tak dlatego, że ten sam system przyporządkował to dziecko do danego rocznika i nakazał uczyć się tego samego i w tym samym tempie, co inni, nie bacząc na jego potrzeby, możliwości, a także z jakiego domu pochodzi.

A Ty chcesz dodatkowo to dziecko ukarać. Bo znosząc obowiązek, zniesiesz też prawo do edukacji. Wystarczy, że rodzic nie uzna jej za wartość i zostawi dziecko w domu.

Byłoby wspaniale, gdyby faktycznie istniało w Polsce prawo do edukacji... Gdyby dziecko mogło przyjść do szkoły, spędzić w niej bezpiecznie czas, ale z prawa do nauki w tej czy innej dziedzinie skorzystać w momencie, gdy będzie na to gotowe.

A co do rodzica: teraz też może się znaleźć taki, który zostawi dziecko w domu i utrudni mu edukację.

Ale wtedy do domu zapuka policja.

Nie jestem przeciw szkole jako instytucji. Sprzeciwiam się tej instytucji w jej obecnym modelu, który stawia na „musisz", a nie na „możesz".

Ty argumentujesz, że obowiązek szkolny może stanowić ochronę przed zakusami np. przemocowej rodziny, ja staram się pokazać, że ten obowiązek sam w sobie w takiej formie – choćby przez narzucone, przesiąknięte ideologią treści programowe – jest przemocowy.

Nauka pisania, czytania i liczenia w klasach 1-3 nie jest ideologiczna.

A dlaczego w klasach 1-3?

To niech będzie wcześniej albo później. Chodzi mi o to, by nie uwalniać dzieci od umiejętności pisania i czytania.

Serio uważasz, że ludzie, którzy ukończyli nie tylko klasy 1-3, ale też całe podstawówki, a nawet licea i studia wyższe – umieją pisać i czytać?

Serio.

I nie mamy problemu z wtórnym analfabetyzmem? Ludzie czytają ze zrozumieniem?

Tak, mamy problem. Nie, nie czytają ze zrozumieniem. Ale to jeszcze nie powód, by do wtórnego analfabetyzmu dokładać ten podstawowy.

W dzisiejszym świecie nam to nie grozi. Dzisiaj bywa, że dzieci uczą się czytać i pisać, zanim zrobią to w szkole – bo np. jest im to potrzebne do gier. Żyjemy w innym świecie niż ten sprzed 200 lat. Jesteśmy bardziej indywidualistyczni niż wspólnotowi. Inaczej się też uczymy, a szkoła na pewno nie jest na pierwszej lokacie wśród miejsc, gdzie ta nauka się odbywa.

Nawet skrajni krytycy obecnego systemu mówią, że im szybciej wszystkie dzieci spotkają się razem w szkole, i im dłużej będą tam razem bez względu na status społeczny ich rodzin, tym większa szansa na zniwelowanie różnic, których w dzisiejszym świecie i tak nie da się do końca zasypać.

Nie jestem za całkowitym zniesieniem obowiązku szkolnego – niech dzieci będą w tej wspólnej przestrzeni na co dzień, tylko nie zmuszajmy ich wszystkich do robienia tego samego w tym samym miejscu i czasie. ↦

↦ A co do zrównywania szans, żyjemy moim zdaniem w pewnej iluzji: obecna szkoła pogłębia różnice, zamiast je niwelować.

W jaki sposób?

Mamy system oparty na egzaminach centralnych, od których zależy „awans" na wyższe szczeble edukacji. Wszystko się w polskiej edukacji wokół tego kręci, w efekcie czego promowani są ci, którzy i tak są już uprzywilejowani.

Malcolm Harris w książce „Kids These Days" pisze, że sprowadziliśmy współczesną szkołę do funkcji nadbudowywania kapitału ludzkiego. A młodego człowieka traktujemy jak zasób na rynku pracy. Już przedszkola działają w logice konkurencji: nauczymy twoje dziecko czytać, pisać – zdają się obiecywać – zrobimy jak najwięcej kart pracy, popędzimy z materiałem, a zabawą i uspołecznianiem niech się ktoś zajmie po godzinach. I tak już jest do końca. Współczesna szkoła wpaja tylko konkurencję, czyli najgorszy wzorzec relacji międzyludzkich.

To może trzeba zlikwidować mechanizmy konkurencji, a nie obowiązek szkolny?

Trzeba myśleć i o jednym, i o drugim. Ale obowiązek szkolny to wcale nie najważniejsza kwestia. Gdzie indziej jest problem.

OGŁOSZENIE

KLUB TP Zielona Góra
KLUBTYGODNIKA.PL

ZIELONA GÓRA: W Klubie w Zielonej Górze stawiamy na dialog prowadzony z szacunkiem dla wielobarwnego świata, taki który uczy i rozwija, otwarty na odmienności. Przyjdź, włącz się do rozmowy.

Koordynatorka
Bożena Ostrowska
zielonagora@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP" na **klubtygodnika.pl**

jt STOWARZYSZENIE **IM. JERZEGO TUROWICZA**

Od lat psioczymy na młodych ludzi, że godzinami tkwią z nosami w smartfonach, ale jakoś nikt nie narzeka, gdy siedzą osiem godzin niemal w bezruchu, w szkolnych ławkach.

Gdzie?

W tym, że nie chcemy korzystać nawet z tego wąskiego zakresu wolności, jaki mamy dzisiaj. Nasze szkoły są do siebie bardzo podobne, bo zrezygnowaliśmy z różnorodności. Albo inaczej: mamy szkoły tzw. alternatywne, jak te demokratyczne, autorskie, leśne, Montessori czy waldorfskie, które w odróżnieniu od tradycyjnych placówek podążają za uczniami, ich talentami i motywacją wewnętrzną, tyle że one – nie wiedzieć czemu – nie stały się częścią publicznego, dostępnego dla wszystkich systemu. Dostały łatkę „freaków", przedsięwzięć dla wybranych, które funkcjonują gdzieś na marginesie systemu edukacji.

Samorządy nie mają zakazu tworzenia takich szkół.

Tyle że jakoś nikt ich nie tworzy.

Może sami rodzice tego nie chcą? W społecznym odbiorze jakość edukacji równa się miejsce szkoły w rankingu edukacyjnym.

Musimy to myślenie odczarować. Dekadę temu za coś trudnego do pomyślenia uchodziła edukacja domowa. A dzisiaj uczy się w niej ponad 40 tysięcy dzieci. To samo powinniśmy zrobić ze szkołami – w sektorze publicznym powinna być dostępna pełna oferta placówek.

Tylko co to zmieni, skoro fundamenty systemu – egzaminy centralne, od których wszystko zależy – pozostają od lat nienaruszone?

Sama presja na wyniki to nie jedyny problem. Po tym, jak zlikwidowaliśmy egzaminy wstępne na studia, a ich rolę przejęła matura, dochodzi do dziwnych sytuacji. Uczeń X marzy o tym, by iść na psychologię, ale żeby to marzenie spełnić, przez cztery lata liceum przygotowuje się do tego, by jak najlepiej zdać maturę z przedmiotów, które z psychologią – biorąc pod uwagę podstawę programową i zakres egzaminów – niekoniecznie mają wiele wspólnego,

Zwolennicy tego systemu argumentują, że centralny egzamin maturalny to przejrzysty i sprawiedliwy sposób rekrutacji.

Gdyby tak faktycznie było! Przecież w tym roku masowo występowały sytuacje, w których uczniowie – ci czujący, że zostali na maturze skrzywdzeni – występowali o wgląd w swoje prace. Ale co z tego, że dostawali w wyniku odwołania większą liczbę punktów, skoro rozstrzygnięcie zapadało już po zamknięciu rekrutacji na studia? Sam jestem wicedyrektorem dwóch kierunków – rekrutację zamknęliśmy dwa tygodnie po ogłoszeniu wyników matur, nie było więc szans na to, by uwzględnić punktację tych, którzy się odwoływali.

Przydałoby się, by ktoś po tym wszystkim, co działo się w tym roku z rekrutacją, pomyślał o jakimś pozwie zbiorowym przeciw państwu: zwróciłby w ten sposób uwagę na coś, czego nie chcemy widzieć, powtarzając formułkę o jednolitych i sprawiedliwych egzaminach.

Może matura w ogóle nie jest nam do niczego potrzebna?

Na pewno należy ją znieść w takim kształcie, w jakim teraz funkcjonuje. Napędza kult rywalizacji, ale też robienia wszystkiego po łebkach – tak, by zdać maturę. Zabija też naszą kreatywność, bo uczniowie są w szkołach niemal tresowani „pod egzamin". Kilka razy byłem jurorem w rozmaitych konkursach literackich. Obserwowałem, jak umiejętność kreatywnego pisania... spada wraz z wiekiem. Jak uczniowie 13-, 14-letni potrafią jeszcze pisać z pomysłem, wyobraźnią, polotem – i jak umiejętności te ulatują w liceum.

To nie tylko polski problem.

Będąc na Uniwersytecie w Oslo zatrzymywałem się u pewnej dziewczyny z Singapuru, która studiowała wcześniej w Stanach Zjednoczonych, a w Norwegii robiła doktorat. Opowiadała, że Singapur to pod względem rywalizacji *hardcore*, ale to, co zobaczyła w USA – to było nie-

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

DR MIKOŁAJ MARCELA jest literaturoznawcą, pisarzem i nauczycielem akademickim. Pracuje na Uniwersytecie Śląskim. Autor książek nt. systemu edukacji oraz poradników dla młodzieży i rodziców. Ostatnio wydał „Wszystko, czego ci nie mówią, gdy jesteś nastolatkiem. Jak przygotować się na dorosłość" (Muza, 2023).

wiarygodne! Do tego stopnia, że ciężko było od kogoś uzyskać notatki albo informacje na temat wykładów – tak bardzo wszyscy zostali nastawieni na konkurencję.

Głosujesz?

Głosuję.

I bierzesz pod uwagę edukacyjne „oferty" partii?

Biorę, ale mam z tymi ofertami zasadniczy kłopot. Nie do końca wierzę w centralne rozwiązywanie problemów, nie tylko w edukacji.

To dobrze się składa, bo wszystkie partie – może poza rządzącą, która umocniła system centralnie sterowany – chcą zmniejszać rolę państwa w edukacji. Chcą decentralizować i odchudzać biurokrację, uszczuplać podstawy programowe.

I każdy z tych programów piszą mityczni eksperci, którzy później – gdy dana partia dojdzie do władzy – dziwnym trafem dopisują kolejne wymagania do podstaw programowych.

W ogóle przed wyborami bardzo łatwo jest podać hasła – „psycholog w każdej szkole", „tablet dla każdego ucznia" – tylko że te hasła odnoszą się zwykle do spraw trzeciorzędnych. Nowoczesna szkoła to nie tablety, tylko metody zgodne ze współczesną wiedzą o człowieku.

Jest jeden przedwyborczy konkret. Konfederacja chce rozdawać bony edukacyjno-opiekuńcze: każdy uczeń dostanie równowartość kwoty X, więc subwencje – dziś bardzo skomplikowane – będą szły za uczniem, nawet jeśli jego rodzice zdecydują się na nauczanie domowe. Powinno Ci się to podobać.

Dlaczego?

Bo Twoje wolnościowe hasło zniesienia obowiązku szkolnego może się kojarzyć z zestawem propozycji tej partii.

Chyba mam nieco inne cele niż to ugrupowanie: chcę, by państwo opiekowało się swoimi – zwłaszcza najsłabszymi – obywatelami, tylko nie wierzę, że obowiązek szkolny spełnia kryteria takiej mądrej opieki. Jestem też np., nawiasem mówiąc, zwolennikiem dochodu podstawowego.

Konfederacja deklaruje, że bon ma usprawnić konkurencję między szkołami. Niech placówki walczą o ucznia.

To nic innego jak prymitywnie pojmowany darwinizm społeczny przeniesiony na szkoły. Powinniśmy iść w odwrotnym kierunku: zrezygnować z idei konkurencji, a wzmocnić wzajemne wsparcie.

Nie musimy nawet, jak radzą niektórzy, likwidować tych nieszczęsnych kuratoriów oświaty, które spełniają teraz przede wszystkim rolę kontrolno-nadzorczą, i które za obecnej władzy zostały jeszcze wzmocnione. One mogą zostać zmienione w centra wsparcia, do których mógłby przyjść nauczyciel chcący coś w swojej pracy poprawić lub zmienić. Tak funkcjonuje to w Finlandii.

Polska 2050 chce w miejsce tych upolitycznionych kuratoriów powołać niezależną Komisję Edukacji Narodowej.

To słuszny postulat, głoszony przez wielu edukacyjnych ekspertów od dawna.

Ale przyznam, że mam z tymi wszystkimi obietnicami jeszcze inny zasadniczy problem.

Jaki?

Są za mało radykalne. W tym sensie, że nawet po ich wprowadzenia będziemy nadal funkcjonowali w tym samym paradygmacie konkurencji i centralnego nadzoru. W ogóle edukacja jest dziś dla polityków przede wszystkim problemem, tak jak każda instytucja, która się zestarzała, i nie bardzo wiadomo, co z nią dalej zrobić. Trudno jest nam sobie wyobrazić inny szpital, inne więzienie, inny sąd. Boimy się, że jak coś zmienimy, to upadnie nasz świat.

Co proponujesz w zamian?

Przemyślenie na nowo idei troski o obywatela – tak, by ta troska nie przechodziła w przemoc.

Na początek znieśmy obowiązek edukacyjny rozumiany jako przymus uczenia się tego samego przez wszystkich w tym samym czasie. Bo ta koncepcja stała się przez dekady czymś na kształt starożytnego „pharmakonu" – czegoś, co jest równocześnie lekarstwem, ale i trucizną.

I myślmy o tzw. alternatywnych szkołach jako o czymś, co mogłoby stanowić zasób dla wszystkich, a nie tylko dla wybranych. W Izraelu widać, że to możliwe.

Wierzę, że zmiana jest realna. Ale nie bardzo wierzę, że wyjdzie ona od polityków.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 150/23 toczy się postępowanie z wniosku Powszechnej Kasy Oszczędności Bank Polski Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Dawidzie Przemysławie Klusku, s. Czesława i Danuty z domu Fluda, ur. 11 września 1986 r. w Świdnicy, a zm. jako kawaler 8 kwietnia 2021 r. w Stalowej Woli, ostatnio zamieszkałym w Stalowej Woli, przy ulicy Poniatowskiego 12/70.

Wzywa się wszystkich spadkobierców po Dawidzie Przemysławie Klusku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod rygorem pominięcia w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Rzeszowie Wydział I Cywilny pod sygn. I Ns 96/23 toczy się sprawa z wniosku Ireny Jurek o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Jurek s. Jana i Rozalii zm. 8 sierpnia 1974 r., ostatnio zamieszkałym w Piątkowej, gm. Błażowa.

Wzywa się do wzięcia w nim udziału wszystkich spadkobierców (ich następców prawnych) w terminie trzech miesięcy od daty publikacji ogłoszenia pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 1339/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Elżbiecie Stefańskiej, zm. 16 marca 2013 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 532/22 toczy się postępowanie z wniosku Kazimierza Czesława Przepiórki o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Przepiórce, s. Józefa i Agnieszki, ur. 10 lipca 1920 r. w Kłodnicy, zm. 22 lipca 2017 r. w Kłodnicy, ostatnio stale zamieszkałym w Kłodnicy, oraz po Irenie Przepiórce, c. Feliksa i Ludwiki z domu Pietras, ur. 11 października 1928 r. w Lesie Dębowym, zm. 22 września 2017 r. w Poniatowej, ostatnio stale zamieszkałej w Kłodnicy.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców po Władysławie Przepiórce i Irenie Przepiórce, do zgłoszenia się i udowodnienia nabycia spadku w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny ogłasza o toczącym się pod sygn. akt I Ns 558/22 postępowaniu o zasiedzenie nieruchomości położonej w Wielkich Oczach, oznaczonej jako działka nr 685 o pow. 0,1759 ha (nieruchomość nie posiada księgi wieczystej), z wniosku Darii Możdżan, wzywając zainteresowanych do zgłoszenia swego udziału w sprawie w terminie trzech miesięcy od opublikowania ogłoszenia, po którym sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 84/23 toczy się postępowanie z wniosku Krzysztofa Bogumiła Małeckiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Opole Lubelskie, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 277, o powierzchni 0,0289 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 389/22 postępowanie z wniosku wierzyciela AS INBANK o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Stanisławie Jankowskim, zm. 15 kwietnia 2020 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Bielsku-Białej Wydziale I Cywilnym (przy ul. Mickiewicza 22) toczy się sprawa o sygn. akt I Ns 275/23 z wniosku Teresy Pietrzyk i Bronisławy Panek o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Landeku, obręb ewidencyjny Landek, stanowiącej działki o numerach ewidencyjnych: 70/2, 93/1, 95/2 i 624/1, o łącznej pow. 0,5899 ha, obj. liczbą wykazu hipotecznego nr 128, obręb ewidencyjny Landek.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym wypadku postępowanie może toczyć się bez ich udziału, zaś Sąd może stwierdzić zasiedzenie prawa własności nieruchomości, o ile zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 216/23 toczy się postępowanie z wniosku Anny Pyrki i Marka Pyrki – małżonków ,o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności zabudowanej nieruchomości położonej w mieście Przysucha, powiat przysuski, woj. mazowieckie, złożonej z działek o nr. ewidencyjnych: 756/1 o pow. 0,1703 ha i 758/1 o pow. 0,1439 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego na nr. kancelaryjnym GK.I.6621.1437.2023, niemającej ustalonego właściciela.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 271/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Grzegorzu Bęben, zm. 1 sierpnia 2016 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie, a zameldowanym w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 38/2023

NAGRODA POLIN 2023

za ochronę pamięci o historii polskich Żydów

Finał konkursu Nagroda POLIN jest jednym z najważniejszych wydarzeń w naszym muzealnym kalendarzu. Co roku przyznajemy wyróżnienia osobom lub organizacjom, których działania przyczyniają się do ochrony pamięci o historii polskich Żydów, a tym samym budują zrozumienie i szacunek w naszym społeczeństwie.

Wyzwania współczesności – wojna w Ukrainie, kryzys uchodźczy na granicy czy niedawna pandemia – sprawiają, że idea i sens naszego konkursu nabierają szczególnego znaczenia. Spotykamy ludzką solidarność, troskę i szacunek wobec osób z innych krajów i kręgów kulturowych oraz bezprzykładne wsparcie, nierzadko z narażeniem swojego bezpieczeństwa. Z drugiej strony czają się szowinizm, nienawiść i obojętność na krzywdę innych. W tych wszystkich zjawiskach pobrzmiewają echa naszej przeszłości, także tej tragicznej. Głęboko wierzymy, że zrozumienie różnorodności, będącej przecież także historycznym doświadczeniem naszej ojczyzny, jest kluczem do rozwoju zdrowego, pozbawionego kompleksów i silnego społeczeństwa. Bo różnorodność jest właśnie siłą, a nie słabością.

Z tym większą radością obserwuję, że setki nowych osób angażują się w projekty, które służą pokazaniu i pielęgnacji tego najszlachetniejszego dziedzictwa Polski. Polscy Żydzi są nieodłączną częścią historii naszego kraju, a wraz z innymi mniejszościami – dawnymi i tymi, które obecnie i w niedalekiej przyszłości będą się integrować z polskim społeczeństwem – tworzą kalejdoskop kulturowy, który na przestrzeni wieków czynił Rzeczpospolitą miejscem lepszym, ciekawszym i zasobniejszym.

Postawy kandydatów zgłaszanych w konkursie Nagroda POLIN uczą, że mimo wyzwań i barier, jakie tworzą inne języki, religie czy sposoby bycia, porozumienie jest możliwe, a ich pokonywanie przynosi zdumiewające i wspaniałe rezultaty. Finaliści konkursu nie tylko uczą o historii, ale także sami ją tworzą – dzięki swojemu zaangażowaniu, pasji i empatii. Ich działalność, w czasach pełnych mroku, świeci pełnym blaskiem. Są naszymi przewodnikami.

MACIEJ JAŹWIECKI / / MATERIAŁY PRASOWE POLIN

ZYGMUNT STĘPIŃSKI
Dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN

Bogactwo pamięci

RADOSŁAW WÓJCIK, KIEROWNIK KONKURSU NAGRODA POLIN: Skąd pomysł na stworzenie Programu?

JOANNA FIKUS, WICEPRZEWODNICZĄCA STOWARZYSZENIA ŻIH: W Polsce jest mnóstwo ludzi, którzy działają w mniejszych miejscowościach, odkrywając tam czasem zapomnianą, a czasem wręcz wypartą historię żydowską. Często działają sami, w bardzo trudnych warunkach. To są ludzie, którzy potrzebują nie tylko pieniędzy na swoje pomysły i działania, ale także wsparcia, żeby wiedzieli, że stoi za nimi większa instytucja. Wydaje mi się, że taka synergia, czyli to, że Stowarzyszenie wspiera ich w ramach Komisji Grantowej im. Jana Jagielskiego, a Muzeum POLIN ich wyróżnia i nagradza, to jest coś, co my, jako duże instytucje, jesteśmy im po prostu winni.

Co udało się osiągnąć przez ostatnie 10 lat trwania Programu?

Po pierwsze to, że lokalni działacze dowiedzieli się, że jest taka organizacja jak Stowarzyszenie i że dajemy granty na ich działania, wspieramy ich, ale też oferujemy *know-how* np. jak składać wnioski. Po drugie, zmienił się trochę profil naszego wsparcia, ponieważ początkowo działaliśmy dosyć szeroko, a w tej chwili zależy nam przede wszystkim na wspieraniu działań lokalnych, które angażują lokalne społeczności. Naszym największym sukcesem jest to, że wypracowaliśmy taką strategię działania.

Jak Pani widzi przyszłość Programu?

Bardzo zależy mi na długofalowym wsparciu tych lokalnych działaczy, którzy tworzą projekty nie tylko jednorazowe, ale pracują na to, żeby efekt zmiany był długotrwały w świadomości mieszkańców ich miejscowości. Ta zmiana byłaby dla mnie czymś najcenniejszym ze względu na dwa czynniki. Po pierwsze, mija coraz więcej czasu, odkąd w tych miejscowościach nie ma Żydów i zanika pamięć o nich. Po drugie, zależałoby mi na tym, żeby historię żydowską traktować szerzej, jako opowieść o tym, jaką wartością jest różnorodność, że jest ona czymś wspaniałym i że kiedyś świat tak wyglądał w tych miejscowościach, nawet jeśli nie zawsze było różowo. Chciałabym, żeby dzisiaj w małych miasteczkach postrzegano różnorodność jako bogactwo, a nie problem.

JOANNA FIKUS jest wiceprzewodniczącą Stowarzyszenia, przewodniczącą Komisji Grantowej im. Jana Jagielskiego.

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE jest partnerem konkursu Nagroda POLIN od samego początku jej istnienia. Organizacja, która jest jednym ze współzałożycieli Muzeum, wspiera również lokalnych działaczy dbających o żydowskie dziedzictwo, w tym wielu laureatów Nagrody POLIN, poprzez Program Grantowy. Przez 10 lat swojego istnienia wsparło ono niemal 250 projektów w całej Polsce. Zapraszamy do składania wniosków w jesiennej edycji Programu Grantowego Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny w Polsce. Nabór wniosków trwa do 22 września. Więcej szczegółów dostępnych jest na stronie **www.szih.org.pl/program-grantowy**

Mecenasem konkursu **Nagroda POLIN 2023** oraz uroczystego finału jest Jankilevitsch Foundation. Nagrody pieniężne ufundowali Znamienici Darczyńcy Muzeum POLIN – Tomek Ulatowski, Jankilevitsch Foundation oraz Odette and Nimrod S. Ariav Foundation, a także Ewa Masny-Askanas i Wiktor Askanas oraz anonimowy darczyńca.

ORGANIZATORZY:

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Konkurs realizowany jest w ramach projektu „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe" i współfinansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy.

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy.

Iceland Liechtenstein Norway grants

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POLIN Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej.

Laureaci i nominowani Nagrody POLIN 2022

MAGDA STAROWIEYSKA / MUZEUM POLIN

KATARZYNA ŁAZIUK

KATARZYNA ŁAZIUK, LAUREATKA KONKURSU NAGRODA POLIN 2022

Katarzyna Łaziuk działa na rzecz pamięci o wielokulturowej przeszłości Mińska Mazowieckiego. Zajmuje się edukacją młodzieży, dorosłych i nauczycieli, animacją życia lokalnego i utrwalaniem materialnego dziedzictwa żydowskiego. Pielęgnuje kontakty z potomkami mińskich Żydów i udało się jej zgromadzić grupę ludzi działających na rzecz pamięci o lokalnej historii.

Współpracowała przy organizacji dni pamięci, wyjazdów edukacyjnych, pobytów młodzieży izraelskiej w szkole, w której do niedawna uczyła. Sama bierze udział w ogólnopolskich akcjach społecznych, jak np. Żonkile, ale i inspiruje innych do udziału w nich.

Katarzyna Łaziuk jest również organizatorką seminariów dla nauczycieli, autorką programu wychowawczego opartego na ideach antydyskryminacyjnych, scenariuszy zajęć i materiałów edukacyjnych. Od 2015 r. w Mińsku Mazowieckim organizuje Dni Kultury Żydowskiej oraz pracuje przy upamiętnianiu rocznicy likwidacji getta mińskiego; odbywają się wtedy obchody na cmentarzu żydowskim, koncerty, spacery historyczne, spektakle teatralne, spotkania z potomkami.

W roku 80. rocznicy likwidacji getta organizowała dwudniowe obchody z udziałem potomków mińskich Żydów z kilku krajów Europy. Wydarzenie obejmowało m.in. fotograficzne wystawy plenerowe, koncert, spacer historyczny i performatywne czytanie wspomnień Żydów mińskich z pokazem fotografii.

SĄDECKI SZTETL WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE NAGRODA POLIN 2022

Sądecki Sztetl od 12 lat propaguje ideę dialogu polsko-żydowskiego i pamięci o ofiarach Holokaustu wśród mieszkańców Nowego Sącza oraz na Sądecczyźnie. Jest jedyną tego typu organizacją w regionie, działającą na dużą skalę na rzecz budowy relacji polsko-żydowskich, upamiętnienia miejsc związanych z ludnością żydowską i rocznic oraz popularyzowania wiedzy o historii sądeckich Żydów.

Sądecki Sztetl podejmuje współpracę ze środowiskami żydowskimi w kraju i za granicą, organizacjami pozarządowymi, lokalnymi ośrodkami kultury, parafiami i władzami samorządowymi. Prowadzi także działania edukacyjne, organizując m.in. spotkania z młodzieżą, spacery historyczne po miejscach pamięci, apele na cmentarzach żydowskich i miejscach kaźni oraz wystawy plenerowe.

Działacze Sądeckiego Sztetla zajmują się zbieraniem relacji ocalonych z Holokaustu i utrzymują kontakty z ich potomkami rozsianymi po całym świecie. Pomagają rodzinom odszukać informacje o krewnych w zachowanych archiwaliach, tworząc własne archiwum społeczne świadectw i pamiątek po ocalonych i ofiarach. Od kilku lat rejestrują wspomnienia starszych sądeczan, szczególnie wojenne. Obecnie organizacja posiada największe archiwum historii mówionej w regionie. Członkowie Sądeckiego Sztetla przyjmują także wycieczki zorganizowane i indywidualne z Izraela, oferując oprowadzanie po miejscach pamięci i pomoc organizacyjną.

W 2022 r., wspólnie z Fundacją Rodziny Popielów „Centrum" i partnerami, Sądecki Sztetl zorganizował obchody 80. rocznicy likwidacji getta w Nowym Sączu. Spotkania upamiętniające odbyły się na cmentarzach żydowskich w Piwnicznej, Łabowej, Krynicy, Bobowej, apele i spotkania – w Gorlicach i Starym Sączu, a na terenie dawnego getta w Limanowej został odsłonięty pomnik Ofiar Holokaustu. Punktem kulminacyjnym obchodów było otwarcie miejsca pamięci na terenie byłego getta w Nowym Sączu – owoc pracy w ramach projektu „Ludzie, nie Liczby". Członkowie Sądeckiego Sztetla odpowiadali w projekcie m.in. za przygotowanie imiennej listy niemal 12 000 ofiar Holokaustu z Sądecczyzny.

IZABELA SEKULSKA FINALISTKA KONKURSU NAGRODA POLIN 2022

Izabela Sekulska przywraca pamięć o żydowskich mieszkańcach Mielca – miasta, w którym przed II wojną światową żyło 11 000 mieszkańców, z czego ponad połowę stanowili Żydzi. Działać zaczęła w 2019 r., głównie w rodzinnym Mielcu, ale również w Tarnowie, w którym mieszka, i okazjonalnie w innych miejscowościach Polski południowej. ↦

MACIEK JAZWIECKI / MATERIAŁY PRASOWE

SĄDECKI SZTETL: Łukasz Połomski, Przemysław Jaskierski, Edyta Danielska, Artur Franczak

Jest założycielką grupy na Facebooku Mayn Shtetele Mielec. Prowadzi blog o tej samej nazwie, w którym opublikowała kilkadziesiąt tekstów o żydowskiej historii miasta i jego mieszkańcach. Jak mówi: „Blog jest pomnikiem ku czci mieleckich Żydów budowanym ze słów". Jest członkinią Komitetu Opieki nad Zabytkami Kultury Żydowskiej w Tarnowie, a także liderką ogólnopolskiej sieci Liderów i Liderek Dialogu przy Forum Dialogu.

Wspólnie ze społecznością skupioną wokół grupy Mayn Shtetele Mielec zajmuje się porządkowaniem cmentarzy i miejsc pamięci, organizuje uroczystości mające na celu upamiętnienie ważnych wydarzeń, takich jak rocznica spalenia mieleckiej synagogi czy deportacji mieleckich Żydów. Przybliża też mieszkańcom wiedzę o historii, religii i kulturze Żydów. Prowadzi poszukiwania archiwalne – ich efektem jest między innymi opisanie losów osób spoczywających na jednym z mieleckich cmentarzy.

W 2021 r. zaczęła tworzyć Mielecką Listę Ofiar Holokaustu. Pozwoliło jej to nawiązać kontakty z potomkami mieleckich Żydów, którzy włączają się w tworzenie przestrzeni pamięci, jaką jest grupa Mayn Shtetele Mielec.

MAGDALENA SMOCZYŃSKA
FINALISTKA KONKURSU NAGRODA POLIN 2022

Magdalena Smoczyńska, psycholożka i językoznawczyni, emerytowana profesorka Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także Instytutu Badań Edukacyjnych i Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, od 5 lat prowadzi badania nad losami około setki dzieci ocalałych z Zagłady, które latem 1945 r. trafiły do dwóch żydowskich domów dziecka – w Rabce i Zakopanem.

Od góry: **IZABELA SEKULSKA, MAGDALENA SMOCZYŃSKA** oraz **MICHAŁ SZAFLARSKI**

Domy te, zorganizowane przez psycholożkę Lenę Kichler, musiały zostać zamknięte wskutek powtarzających się zbrojnych ataków ze strony członków antysemickiego podziemia. Po zamknięciu domu w Rabce 30 dzieci przewieziono do Zakopanego, a po kilku miesiącach Lena Kichler potajemnie wywiozła wszystkie do Francji, skąd po 3 latach trafiły do Izraela. Badania Magdaleny Smoczyńskiej obejmują kwerendy w licznych archiwach i bazach danych, próby dotarcia do żyjących podopiecznych Leny Kichler, obecnie w wieku 80-95 lat, wielokrotne pobyty w Izraelu, w Stanach Zjednoczonych i Francji. W efekcie tych działań badaczka dotarła już do ponad 40 osób, z którymi przeprowadziła rozmowy. Obecnie pracuje nad książką „Lena Kichler i jej Dzieci".

MICHAŁ SZAFLARSKI
FINALISTA KONKURSU NAGRODA POLIN 2022

Michał Szaflarski zaangażowany jest w działania upamiętniające Żydów z Czarnego Dunajca. Kilka lat temu rozpoczął akcję porządkowania tamtejszego cmentarza.

W 2020 r. dołączył do projektu „Ludzie, nie Liczby", prowadzonego przez Dariusza Popielę. W Czarnym Dunajcu stanął pomnik ofiar Zagłady z miejscowości i okolic. Dziś miejsce to stanowi ważny punkt dla rodzin i potomków ocalałych. Ogrodzony i uporządkowany cmentarz jest terenem, przy którym zatrzymują się wycieczki, a turyści mogą poznać tragiczną historię Żydów z Podhala.

Michał Szaflarski nawiązuje kontakty z potomkami Żydów zamieszkujących niegdyś region Czarnego Dunajca. W 2022 r. współorganizował obchody 80. rocznicy zagłady Żydów z tych terenów. Zajmuje się także zbieraniem i archiwizowaniem historii rodzin żydowskich.

ZESPÓŁ SZKÓŁ W KRZEPICACH
WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE NAGRODA POLIN 2022

Zespół Szkół w Krzepicach w 2008 r. zainicjował projekt „Krzepice – dwie kultury – wspólna pamięć", w ramach którego zaopiekowano się pochodzącym z XVIII w. cmentarzem żydowskim, mieszczącym się przy ulicy Nadrzecznej. Od tamtej pory młodzież pod opieką Jolanty Drab,

POŻEGNANIE

W tym roku odszedł

Nimrod S. Ariav

wieloletni darczyńca konkursu Nagroda POLIN.

Dyrekcja Muzeum POLIN, Stowarzyszenie ŻIH i Kapituła Nagrody POLIN pozostaną na zawsze wdzięczni za wsparcie, które Fundacja Odette i Nimroda S. Ariava udzieliła laureatom i finalistom konkursu.

MACIEK JAŹWIECKI / MATERIAŁY PRASOWE POLIN X6

ANDRZEJ JEZIOROWSKI / MATERIAŁY PRASOWE POLIN

Od góry: **UCZNIOWIE ZESPOŁU SZKÓŁ W KRZEPICACH** oraz nauczycielka **JOLANTA DRAB** (po lewej)
Po prawej: **ZESPÓŁ FUNDACJI BRAMA CUKERMANA**

nauczycielki języka polskiego, oraz innych pracowników szkoły, corocznie wykonuje tam prace porządkowe.

Jolanta Drab wraz z innymi nauczycielami od lat inicjuje projekty edukacyjne dotyczące polsko-żydowskiej historii i żydowskich mieszkańców Krzepic, angażując przy tym władze lokalne i społeczność miasteczka.

W czerwcu 2022 r. uczniowie Zespołu Szkół w Krzepicach działali na cmentarzu z wolontariuszami z amerykańskiej The Matzevah Foundation, z którą pracują już od 8 lat. Współpracowali również ze studentami z wydziału archeologicznego Staffordshire University, którzy badali teren, poszukując zbiorowej mogiły. Prawdopodobnie pochowano w niej około 50 żydowskich mężczyzn zamordowanych w czasie II wojny światowej.

Cmentarz żydowski w Krzepicach to jedno z największych skupisk żeliwnych macew w Europie. Znajduje się na nim ok. 400 wyjątkowych nagrobków, które były odlewane w niedalekiej Kuźni Starej i są namacalnym świadectwem świetności gminy żydowskiej w tamtych czasach.

FUNDACJA BRAMA CUKERMANA
NAGRODA SPECJALNA POLIN 2022

„Jest czas pracy, czas odpoczynku i czas zadumy. Jest też czas radości, w którym otrzymuje się nagrodę za to, co robiło się przez lata z potrzeby serca, ludzkiej przyzwoitości i szacunku do przeszłości".

Tak 30 listopada 2022 r. mówili członkowie Fundacji Brama Cukermana po otrzymaniu Nagrody Specjalnej Muzeum POLIN. Doceniono ich za ratowanie „pamięci pogranicza z czasów mroku", czyli przede wszystkim zachowanie prywatnego domu modlitwy Nuchima Cukermana, a także za realizowaną od 14 lat działalność edukacyjną i wydawniczą – podtrzymywanie pamięci o społeczności żydowskiej z Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska.

Nie byłoby tego wyróżnienia, gdyby nie założyciele Fundacji – Karolina i Piotr Jakoweńko, którzy z potrzeby „zachowania tego, co z dawnego bytu pochodzi", postanowili uratować historyczny żydowski dom modlitwy, wynajmując go jako mieszkanie. Dalej historia toczyła się raz pod górkę, raz z górki. Dziś Fundację Brama Cukermana tworzy zgrany zespół: Karolina i Piotr Jakoweńko, Grzegorz Onyszko, Andrzej-Anszel Ciepiał, dr Aleksandra Namysło, Tomek Grząślewicz oraz Dariusz Walerjański.

© Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI

Nagroda POLIN

Przyznawaną od 2015 roku Nagrodę otrzymało dotychczas 8 laureatów, a w finale konkursu znalazło się ponad 50 osób. 5 grudnia po raz kolejny trafi ona do osoby lub organizacji aktywnie działającej na rzecz ochrony pamięci o historii polskich Żydów. Wszyscy finaliści konkursu otrzymają nagrody finansowe.

Spośród zgłoszonych kandydatur kapituła konkursu każdego roku nominuje, nagradza i wyróżnia osoby lub organizacje, które w ostatnich latach wykazały się ważnym działaniem, postawą czy wystąpieniem o istotnym wpływie na społeczną świadomość historii polskich Żydów oraz na budowanie relacji polsko-żydowskich.

Aby zgłosić swojego kandydata, należy do 30 września wypełnić formularz elektroniczny znajdujący się na stronie internetowej WWW.POLIN.PL/NAGRODA Ogłoszenie laureatów konkursu odbędzie się 5 grudnia podczas uroczystego finału w Muzeum POLIN. Wydarzenie będzie transmitowane w mediach społecznościowych.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 38/2023
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
GRAFIKA NA OKŁADCE: Piotr Matosek / Muzeum POLIN

WIARA

PAPIEŻ NADAL CHCE REFORM

Po wypowiedziach o Rosji i Mongolii autorytet Franciszka został znacznie nadszarpnięty. Wciąż jednak może on przeprowadzić w Kościele ważne doktrynalne zmiany.

PIOTR SIKORA

REMO CASILLI / AP / EAST NEWS

„Chmury przemijają, niebo zostaje" – brzmi mongolskie powiedzenie. Większość z nas nie wiedziałaby zapewne o jego istnieniu, gdyby nie zacytował go papież Franciszek podczas podróży do Mongolii. A może i o tej podróży byśmy nie wiedzieli, gdyby nie inna, kontrowersyjna wypowiedź papieża, w której – próbując docenić kulturowe dziedzictwo ludzi, do których przyjechał – pochwalił Czyngis-chana za tworzenie *pax mongolica* na ogromnym obszarze zamieszkałym przez liczne ludy.

Trwonienie autorytetu

Jak to możliwe, że papież w tych samych przemowach, w których nawołuje do ustania konfliktów i wojen, do prowadzenia dialogu i wprowadzania pokoju, pozytywnymi bohaterami czyni ludzi działających wbrew zarysowanemu wcześniej ideałowi: mongolskiego wodza podbijającego i wyrzynającego całe miasta albo Piotra i Katarzynę – imperialnych władców Rosji niewolących własnych poddanych i ościenne narody? Polityczno-historyczne wypowiedzi Franciszka w ostatnich miesiącach sugerują, że nie zna wielu faktów, kluczowych dla poruszanego przezeń tematu. Nie dziwi więc, że trwoni on resztki swojego autorytetu, nadwyrężonego już znacznie przez zachowanie wobec rosyjskiego najazdu na Ukrainę.

Wspominam te wypowiedzi na polityczne i historyczne tematy, bo przyzwyczailiśmy się, że papież jest postacią, która ma istotne społeczne znaczenie – a przecież wcale tak być nie musi. Do istoty roli biskupa Rzymu należy zupełnie coś innego – jeśli gdzieś jest autorytetem, to nie w interpretacji historii i nie w polityce, lecz w sferze religijnej. I tutaj Franciszek również mówi i robi rzeczy kontrowersyjne, przez jednych witane z radością i nadzieją, przez innych – z lękiem i zgorszeniem. O ile jednak papieskie interpretacje historycznych procesów i postaci można bez żadnych zastrzeżeń krytykować, uznawać za błędne, szkodliwe lub warte jak najszybszego zapomnienia, to tego, co biskup Rzymu mówi na tematy religijne, katolicy lekceważyć nie mogą.

Potępiany – cytowany

W tej samej Mongolii Franciszek przywołał postać XX-wiecznego jezuity, Pierre'a Teilharda de Chardin, i z aprobatą cytował jego myśli. Fakt o tyle znamienny, że filozoficzno-teologiczne koncepcje Teilharda de Chardin były przez niemal cały poprzedni wiek uznawane przez kościelne władze za niebezpieczne lub wręcz heretyckie: jezuicie zabraniano nauczania, zakazywano wydawania jego książek, a gdy te mimo zakazów zostały opublikowane – wielokrotnie (ostatni raz na polecenie Jana Pawła II) ostrzegano przed ich czytaniem.

Czy Franciszek – można zapytać – wykazuje się tu podobną niekompetencją, co w przypadku carów i Czyngis-chana, tj. nie zna kościelnej oceny myśli Teilharda, którego cytuje? Czy też świadomie próbuje rehabilitować myśliciela potępianego przez swoich poprzedników? Jak katolicy mają się odnieść do tego postępowania biskupa Rzymu?

Spotkanie papieża Franciszka z Uchnaagijnem Chürelsüchem, prezydentem Mongolii. Ułan Bator, 2 września 2023 r.

Powoływanie się przez Franciszka na wcześniej potępianego teologa jest faktem o tyle nie bez znaczenia, że wpisuje się w szerszy wzorzec. Pytanie o możliwość i zakres zmiany kościelnego nauczania wydaje się – z teologicznego punktu widzenia – najważniejszą kwestią tego pontyfikatu. Zaciekłe debaty rozgorzały wokół adhortacji „Amoris laetita" i dopuszczenia do komunii rozwodników żyjących w nowych związkach. Dyskusję wzbudziła poprawka Katechizmu uznająca karę śmierci za niedopuszczalną. W trakcie światowych konsultacji synodalnych wróciły postulaty udzielania święceń diakonatu i prezbiteratu kobietom. Jeszcze dalej idące postulaty pojawiły się podczas obrad niemieckiej Drogi Synodalnej.

Uwolnienie doktryny

Staje się coraz bardziej jasne, że tu właśnie leży najważniejsza różnica pomiędzy czasami Jana Pawła II i Benedykta XVI a chwilą obecną. W polskim Kościele wiele środowisk nie może się z tym pogodzić. Duszpasterze i teologowie mieli spore trudności z akceptacją rozwiązań sugerowanych w „Amoris laetita", a niemiecka Droga Synodalna stała się swego rodzaju straszakiem – przykładem postępującego rozkładu Kościoła na Zachodzie.

Można jednak przypuszczać, że doktrynalne „otwarcie" zagości na dłużej we wspólnocie Kościoła. Fakt, że to akurat ↦

↦ Teilhard de Chardin był teologicznym bohaterem papieskiej wypowiedzi, jest ważny nie tylko ze względu na jego niełatwe relacje z kościelnym magisterium, lecz także ze względu na treść teologicznej wizji jezuity. Fundamentem bowiem tej wizji jest idea rozwoju, który obejmuje nieustanny wzrost religijnej świadomości człowieka – i jako jednostki, i jako poszczególnych ludzkich wspólnot, i jako całego gatunku *Homo sapiens*.

Franciszkowa „rehabilitacja" Teilharda de Chardin wpisuje się harmonijnie we wcześniejsze działania obecnego papieża w dziedzinie doktryny Kościoła. Zauważmy tu tylko dwa wydarzenia z ostatnich miesięcy.

W liście do mianowanego w lipcu tego roku nowego prefekta Dykasterii Nauki Wiary, abp. Victora Manuela Fernándeza, Franciszek napisał: „Dykasteria, której będziesz przewodniczył, w innych czasach stosowała niemoralne metody. Były to czasy, w których zamiast promować wiedzę teologiczną, ścigano ewentualne błędy doktrynalne. Oczekuję od ciebie z pewnością czegoś zupełnie innego". Warto zauważyć, że „ściganie ewentualnych błędów doktrynalnych" i związane z tym (uznane przez Franciszka za niemoralne) szykanowanie teologów o takie błędy oskarżanych było szeroko rozpowszechnioną praktyką za czasów Jana Pawła II, gdy prefektem Kongregacji Nauki Wiary był kard. Ratzinger, a także później, gdy prefekt sam został papieżem.

Warto też zwrócić uwagę na fragment dialogu papieża z portugalskimi jezuitami podczas ostatnich Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie. Jeden z zakonników zapytał Franciszka o ocenę krytyki, z jaką ten spotyka się w Kościele w Stanach Zjednoczonych. Odpowiadając, papież najpierw zaznaczył, że „sytuacja w USA jest niełatwa; mamy tam do czynienia z mocną postawą reakcyjną. Jest zorganizowana i kształtuje sposób przynależności, nawet emocjonalnie". Papieska diagnoza sytuacji Kościoła północnoamerykańskiego jest o tyle znamienna, że sytuacja ta jest w dużej mierze rezultatem polityki personalnej Watykanu z czasów Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Ważniejsza jednak jest ta część odpowiedzi Franciszka, która odnosi się do kwestii niezmienności i rozwoju doktryny. Papież stwierdził, że doktryna i nauka moralna może, a nawet powinna się rozwijać, zachowując trzy kryteria sformułowane w V wieku przez Wincentego z Lerynu: „*ut annis consolidetur, dilatetur tempore, sublimetur aetate*" – „z latami wzmacniając się, z czasem rozprzestrzeniając, z wiekiem wznosząc".

Pytanie o możliwość i zakres zmiany kościelnego nauczania staje się najważniejszą kwestią tego pontyfikatu – zwłaszcza przed październikowym synodem. **W czasach Jana Pawła II doktryna była zamrożona.**

Starożytna zmienność

W kontekście dyskusji – zarówno nad kwestią zmienności chrześcijańskiej doktryny czy nauki moralnej, jak i nad autorytetem obecnego papieża – warto zauważyć, że Franciszek powołuje się na tradycję istniejącą od starożytności. Tu akurat zgadzał się z faktami, gdy mówił portugalskim jezuitom, że wizja doktryny jako niezmiennego monolitu jest fałszywa.

Taka statyczna wizja katolickiej doktryny, choć rozpowszechniona w kręgach określanych jako „tradycjonalistyczne", nie wytrzymuje konfrontacji z historią biblijnego objawienia i jego późniejszej kościelnej wykładni. Uważna lektura ksiąg, które weszły do kanonu świętych pism chrześcijaństwa, pokazuje, że – zapisana na biblijnych zwojach i kodeksach – świadomość religijna Izraela ewoluowała, i że nie była jednorodna, lecz pełna napięć. Takie zmiany i tarcia można odnaleźć nawet w pismach Nowego Testamentu.

Podobnie zmieniała się – wśród napięć i sporów – kościelna interpretacja tego, co chrześcijańskie wspólnoty uznały za Boże objawienie. Od początku byli też chrześcijańscy teologowie, którzy zachowywali jasną świadomość tej ewolucji i próbowali sformułować zasady, jakimi zmiany te powinny podlegać. Jedną z najwcześniejszych takich prób jest właśnie teologia Wincentego z Lerynu, do którego ostatnio odwołał się Franciszek.

Kryteria autentycznego rozwoju

Cytowane przez papieża sformułowania są raczej metaforyczne i nie za bardzo precyzyjne. Wincenty uzupełnił je przyrównaniem rozwoju doktryny do wzrostu żywego organizmu – a obraz ten był używany także później, np. w XIX wieku przez kard. Newmana, który pisał, że słowa Ewangelii „są podatne do rozwoju, zawierają same w sobie życie objawiające się w każdym naprzód zrobionym kroku (...), rzeczywistość płodną w źródła możliwości".

Newman określił także bardziej szczegółowe kryteria rozwoju doktryny: jest on autentyczny, jeśli zachowuje typy i ciągłość zasad, jeśli rozwijająca się doktryna nie traci zdolności asymilacji do nowych warunków kulturowych i także w nowej postaci posiada „niewyczerpaną energię", jeśli to, co nowe, jest logicznym następstwem tego, co było wcześniej, jeśli we wcześniejszej postaci widać pewne zalążki tego, co rozwija się później, postać zaś, która pojawia się później, zachowuje to, co było wcześniej.

Kryteria sformułowane przez Newmana (podobnie jak wszelkie inne, które istnieją) nie stanowią jednoznacznego algorytmu – pozostawiają znaczną przestrzeń na różnice interpretacji. Jeśli jednak wiara ma być czymś żywym – nie powinno nas to zaskakiwać. Rozwój żywego organizmu dokonuje się także przez zmiany, które są porzucaniem pewnych starych elementów. Larwa odrzuca kokon i staje się motylem. Zęby mleczne muszą wypaść.

Jeszcze wyraźniej tego typu procesy widać na poziomie rozwoju psychicznego i duchowego. Nie tylko jest tak, że całkowita zależność niemowlęcia zmienia się w niezależność dorosłego. Są etapy rozwoju, na których konieczna jest „dezintegracja pozytywna" – proces, który wygląda jak rozpad duchowego kształtu osoby, konieczny, by mógł pojawić się kształt nowy.

Uznając powyższy obraz za właściwą metaforę rozwoju chrześcijańskiego rozumienia wiary, musimy dopuścić, że doktrynalna ewolucja obejmuje także porzucanie pewnych sfomułowań czy teorii. Powstaje zatem pytanie: czy są ja-

kieś elementy tradycji, których odrzucić nie wolno?

Poszukiwania rdzenia

Poszukując rozwiązania tej kwestii, teologowie odwołują się do zasady, której krótką formułę zawdzięczamy też Wincentemu z Lerynu. Napisał on, że w Kościele „trzymać się trzeba silnie tego, w co wszędzie, w co zawsze, w co wszyscy wierzyli". Jeśli jakiś element tradycji był przyjmowany przez wszystkich wierzących i zawsze – jest on nienaruszalny.

Zasada powszechności ma głębokie teologiczne uzasadnienie: to, co najistotniejsze, powinno być dane przez Boga wszystkim. Problem polega jednak na tym, że gdy uważnie zbadamy dzieje recepcji doktryny w chrześcijańskich wspólnotach, nie znajdziemy właściwie żadnego elementu, który spełniałby powyższe kryterium.

Niewiele pomaga jego zawężenie i uznanie, że nienaruszalne jest to, co np. zawsze za takie uznawały sobory albo papieże. Zawiłość historii papiestwa i soborowych zgromadzeń uniemożliwia właściwie odnalezienie „rdzenia", który wszyscy i zawsze przyjmowali i rozumieli tak samo.

Kto chce chrześcijaństwa z niezmienną, pewną doktryną – zawsze będzie miał kłopot. Dlatego lepiej przyjąć postawę, którą (w dość zachowawczy sposób) wyraził Sobór Watykański II w konstytucji o Objawieniu: „Wzrasta bowiem zrozumienie tak rzeczy, jak słów przekazywanych, już to dzięki kontemplacji oraz dociekaniu wiernych, którzy je rozważają w sercu swoim (por. Łk 2, 19 i 51), już też dzięki głębokiemu, doświadczalnemu pojmowaniu spraw duchowych, już znowu dzięki nauczaniu tych, którzy wraz z sukcesją biskupią otrzymali niezawodny charyzmat prawdy. Albowiem Kościół z biegiem wieków dąży stale do pełni prawdy Bożej, aż wypełnią się w nim słowa Boże" (DV 8).

To, co przemijalne, i co niezmienne

Kwestie religijne to kwestie najbardziej fundamentalnej orientacji życia i jego ostatecznego sensu. Nic dziwnego, że wiele osób może czuć się zaniepokojonych, odkrywszy, że tradycja, w której trwają, jest w procesie nieustannej ewolucji i nie sposób znaleźć w niej niezmiennych doktrynalnych punktów oparcia. Warto wówczas pamiętać, że to nie doktryna jest fundamentem naszej wiary. Przez objawienie, jak mówi cytowana już soborowa konstytucja „Bóg niewidzialny (por. Kol 1, 15; 1 Tm 1, 17) w nadmiarze swej miłości zwraca się do ludzi jak do przyjaciół (por. Wj 33, 11; J 15, 14-15) i obcuje z nimi (por. Bar 3, 38), aby ich zaprosić do wspólnoty z sobą i przyjąć ich do niej". W objawieniu i w wierze nie chodzi zatem o doktrynę. Chodzi o samego Boga.

Zmienność doktrynalna byłaby rzeczywistym problemem wówczas, gdyby to od doktryny zależał nasz los ostateczny. Ale – jak wiedziało wielu ojców Kościoła i późniejszych teologów i świętych – wszelkie doktrynalne formuły są tylko niedoskonałymi znakami wskazującymi na Rzeczywistość, która nieskończenie im się wymyka. Przywiązanie się do jakiegokolwiek obrazu, dogmatu albo formuły byłoby – by użyć słów św. Grzegorza z Nyssy – zrobieniem z niego idola. Rozwój naszego rozumienia wiary – czyli rozwój naszego rozumienia boskiej Obecności w naszym życiu – ze swej natury musi być nieustanny.

Jak pisze ów ojciec Kościoła: „Skoro jednak, jak mówi Biblia, bóstwo jest niewyrażalne i niepojęte, i przekracza wszelką myśl i poznanie, natchnieni przez Ducha Świętego prorocy i apostołowie musieli z konieczności używać wielu słów i pojęć, by prowadzić nas ku rozumieniu nieskazitelnej natury: przy czym jedno pojęcie godne Boga kieruje nas do następnego". A zatem „jeden jest tylko sposób postrzegania przewyższającej wszelki umysł mocy [tj. Boga – PS], to znaczy nie skupianie się na tym, co już zostało zrozumiane, ale nieustanne szukanie czegoś więcej od tego, co się rozumie, i niezatrzymywanie się nigdy".

W tej kwestii możemy także wykorzystać obraz bliski mongolskiej, ludowej mądrości o uniwersalnym znaczeniu. Albowiem Bóg jest jak niebo – przestronne, świetliste i bezgraniczne. Doktryny są jak chmury, na których możemy na chwilę skupić swoją uwagę. Chmury przemijają, Niebo zostaje.

©℗ PIOTR SIKORA

REKLAMA

Po to jestem biskupem, żeby się nie bać.

biskup Tadeusz Pieronek

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej
29-30.09.2023
KONSEKWENCJE WOJNY – JAKA BĘDZIE EUROPA? JAKA BĘDZIE POLSKA?

Już po raz dwudziesty trzeci zapraszamy do uczestnictwa w krakowskiej debacie „o Kościele i Europie". Jak co roku poruszymy aktualne tematy dotykające każdego z nas. Grono ekspertów, akademików, polityków i przedstawicieli kościołów spróbuje odpowiedzieć na pytania o konsekwencje wojny – jak zmieniają one funkcjonowanie Unii Europejskiej, jak kształtują postawy pojedynczych ludzi i całych wspólnot i jak wpływają na język komunikacji w przestrzeni publicznej.

Stałym punktem programu konferencji jest Gala Nagrody IN VERITATE, przyznawanej przez Fundację im. biskupa Tadeusza Pieronka, głównego organizatora konferencji. W bieżącym roku „za wybitne postawy i osiągnięcia w łączeniu wartości chrześcijańskich i europejskich" uhonorowani zostali: Roberta Metsola – przewodnicząca Parlamentu Europejskiego i ks. Adam Boniecki MIC – Redaktor Senior „Tygodnika Powszechnego".

PROGRAM I REJESTRACJA NA
www.fundacjapieronek.eu

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Uroczystość wyświęcenia na księży diakonek Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Warszawa, 7 maja 2022 r.

Luterański Kraków

ŁUKASZ OSTRUSZKA

Po raz pierwszy Polska będzie gospodarzem najważniejszego zgromadzenia ogólnoświatowego luteran.

O tym wydarzeniu raczej nie przeczytasz na czołówkach portali internetowych. Telewizje nie wyślą ekip pod centrum kongresowe w Krakowie, pięknie położony obiekt z widokiem na Wisłę i Wawel. Jednak rozproszonym po świecie luteranom taki zjazd organizowany co kilka lat wyznacza kierunek ich religijnego życia.

Zgromadzenie Ogólne to najwyższy organ decyzyjny Światowej Federacji Luterańskiej, organizacji powołanej tuż po II wojnie światowej, która zrzesza 148 Kościołów luterańskich z 99 krajów i reprezentuje ok. 77 mln wiernych. Każdy z tych Kościołów, w zależności od liczby członków, wysyła na zgromadzenie określoną liczbę delegatów. Podczas tygodniowych obrad wyznaczane są cele federacji na kolejne lata – dotyczy to nie tylko zagadnień teologicznych, ale także pracy humanitarnej prowadzonej przez tzw. World Service, czyli Służbę dla Świata.

Pierwsze zgromadzenie odbyło się w szwedzkim Lund w 1947 r. Później, kolejno co 5-7 lat organizowano je w Hanowerze, Minneapolis, Helsinkach, Évian, Dar es Salaam, Budapeszcie, Kurytybie, Hongkongu, Winnipeg i Stuttgarcie. Ostatnie, w Windhuk, było wielkim ogólnonarodowym wydarzeniem z finałowym nabożeństwem na stadionie – luteranie są największym wyznaniem w Namibii.

Temat przewodni krakowskiego zgromadzenia brzmi: „Jedno Ciało, jeden Duch, jedna nadzieja", a trzy tematy szczegółowe – „Duch Święty Stwórca", „Pojednawca" i „Odnowiciel". Temat zaczerpnięty został z Listu do Efezjan (4, 4): „Jedno ciało i jeden Duch, jak też powołani jesteście do jednej nadziei, która należy do waszego powołania". Nie jest to wybór przypadkowy. Choć mamy dostęp do wspaniałych technologii, a nauka jest na niespotykanym dotąd poziomie poznania, to podziały pomiędzy narodami i w poszczególnych społeczeństwach wydają się coraz głębsze.

Zgromadzenie ma być próbą poszukiwania drogi do porozumienia. Bliskość Auschwitz (delegaci pojadą do byłego obozu w piątek) przypomina, że począt-

kiem niewyobrażalnego zła mogą być nawet drobne podziały.

Powszechne kapłaństwo

Po co luteranom takie wydarzenie? Jednym z filarów teologii luterańskiej jest tzw. powszechne kapłaństwo ochrzczonych, które zakłada, że każda osoba należąca do Kościoła ma dostęp do Boga przez Jezusa Chrystusa bez konieczności odwoływania się do innych pośredników. Jest to oczywiście związane z odrzuceniem kultu świętych, co oprócz skoncentrowania na Piśmie Świętym i łasce Boga stanowiło główny temat postulatów reformacyjnych w XV wieku. Inaczej mówiąc, luteranie uważają, że przez chrzest święty wszyscy powołani jesteśmy do odpowiedzialności za Kościół.

Taka koncepcja zmienia zasadniczo rolę osób duchownych, które nie są już kapłanami, pośrednikami i łącznikami, ale raczej nauczycielami, towarzyszami czy – używając bardziej duchowego języka – sługami Słowa Bożego. Powołani więc są do głoszenia kazań, sprawowania sakramentów i służby duszpasterskiej, ale ciężarem odpowiedzialności za Kościół dzielą się ze świeckimi. Ma to przełożenie na życie lokalnych wspólnot zarządzanych przez rady i zgromadzenia parafialne oraz na cały Kościół – decyzje zapadają gremialnie w Konsystorzu (rodzaj rządu) i na Synodzie (rodzaj parlamentu). Proporcje udziału świeckich i duchownych wszędzie są zachowane.

Nie inaczej jest podczas Zgromadzenia Ogólnego ŚFL, choć tutaj dochodzą jeszcze parytety mające zapewnić udział w decydowaniu różnym grupom wiernych. Każdy region musi być reprezentowany przez co najmniej 40 proc. kobiet, 40 proc. mężczyzn i 20 proc. młodzieży. Dodatkowo konieczne jest zachowanie balansu pomiędzy osobami świeckimi i duchownymi. Delegaci mają prawo zabierać głos i brać udział w głosowaniach, ale w każdym zgromadzeniu bierze udział również wielu innych uczestników. Oni mają tylko prawo do zabrania głosu – to doradcy, eksperci, przedstawiciele organizacji międzynarodowych, goście ekumeniczni itd. Przed właściwym zgromadzeniem w Krakowie, które będzie trwało od 13 do 19 września, odbyły się tzw. przedzgromadzenia poszczególnych regionów, a także przedzgromadzenia kobiet, które spotkały się we Wrocławiu, oraz młodzieży – zorganizowane w Wiśle-Malince. Każde spotkanie to nie tylko dysputy teologiczne, ale także decyzje administracyjne i sprawozdawczość, bo choć wszyscy jesteśmy siostrami i braćmi, to mamy wspierać siebie nawzajem również poprzez kontrolę współodpowiedzialności.

Regiony są ważne

Ks. dr Ireneusz Lukas, kiedyś dyrektor biura Polskiej Rady Ekumenicznej, a obecnie sekretarz Światowej Federacji Luterańskiej ds. Europy, tłumaczy: – Delegaci będą dyskutowali o sprawozdaniach sekretarz generalnej, prezydenta czy skarbnika za miniony okres sprawozdawczy, który zapoczątkowało poprzednie zgromadzenie ŚFL w Namibii w 2017 r.

Zgromadzenie wybierze prezydenta i podejmie inne decyzje personalne, które siłą rzeczy będą kształtowały kierunek teologiczny. Wybór właściwych osób na stanowiska poprzedzony jest modlitwą, ale także konsultacjami i wypracowanymi w kuluarach ustaleniami. Tak, to czysta polityka, ale chodzi o to, żeby każdy region miał wpływ na podejmowane decyzje i uzyskał platformę do prezentowania swoich perspektyw. Aktualnym prezydentem jest arcybiskup z Nigerii – Musa Panti Filibus, natomiast sekretarz generalną ks. Anne Burghardt z Estonii.

Z analizy spotkań przygotowawczych wynika, że głównym tematem będzie poszukiwanie teologicznych i praktycznych odpowiedzi na pytanie o to, jak być jednością w różnorodności. Teologia musi odpowiadać na wyzwania związane ze współczesnością, czyli katastrofą klimatyczną i podziałami w społeczeństwach. Do ŚFL należą zarówno Kościoły bardziej konserwatywne (m.in. Łotwa, Węgry, kraje afrykańskie), jak i liberalne (m.in. Szwecja, USA i Niemcy). Istotne są też pytania o tożsamość luterańską. Z perspektywy krajów zachodnich są one ważne ze względu na spadającą liczbę wiernych uczestniczących w życiu kościelnym, a co za tym idzie konieczność znalezienia nowej roli dla Kościoła. W przypadku zaś wielu Kościołów afrykańskich stawianie pytań o tożsamość jest ważne z powodu chęci ochrony ludzi przed sektami wykorzystującymi biedę w regionie.

Jeśli chodzi o problem wykorzystania seksualnego nieletnich w Kościołach luterańskich, nie ma on charakteru systemowego, jak w Kościele rzymskokatolickim – tzn. nie występuje mechanizm tuszowania, który jest taki sam w każdym miejscu. Zdarzają się lokalnie przypadki nadużyć, a wtedy środki zaradcze wprowadzają Kościoły regionalne. ŚFL już zastosowała mechanizmy przeciwdziałające wykorzystywaniu. Na krakowskim zgromadzeniu będzie obecny rzecznik, do którego można się zgłaszać, gdyby działo się coś niepokojącego.

ŚFL to także działalność humanitarna – pomoc m.in. w Angoli, Kolumbii, Wenezueli, Iraku czy ostatnio w Ukrainie. Federacja zarządza budżetem 170 mln euro, na który składają się nie tylko środki pozyskane z Kościołów członkowskich, ale także przekazywane przez inne organizacje, jak ONZ.

Duży uczy się od małego

ŚFL sporo pracy poświęca temu, żeby duże – i nie ma co ukrywać: również bogate – Kościoły uczyły się od tych małych, ale i odwrotnie. Rolę gospodarza tegorocznego zgromadzenia powierzono Kościołowi Ewangelicko-Augsburskiemu w Polsce, co prawda największemu Kościołowi protestanckiemu w kraju, jednak i tak niezwykle małemu – w księgach parafialnych jest ponad 60 tys. wiernych.

– Pracowałem w kilku federacyjnych grupach roboczych i zawsze to, co wychodzi z tej pracy, jest dużo ciekawsze, niż byłem sobie w stanie wyobrazić z mojej polskiej perspektywy – mówi prof. Jerzy Sojka z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, członek Rady ŚFL. – Przykładem niech będzie moja rozmowa o temacie przewodnim zgromadzenia z teolożkami z Surinamu i Indii. Szybko pojawił się temat dla Polaka raczej obcy: kolonializm. Koleżanka z Surinamu, której przodkowie byli niewolnikami, krytycznie oceniała udział własnego Kościoła w kolonizacji Surinamu. Koleżanka z Indii w odpowiedzi podzieliła się zupełnie innym doświadczeniem. Pochodziła z kasty niedotykalnych i gdyby nie Kościół i jego działalność misyjna, nie miałaby szansy na uznanie jej za równą innym, nie mogłaby marzyć o edukacji i emancypacji.

W porządku obrad w Krakowie pojawią się konkrety. Luterański świat ↦

↦ powoli zaczyna dostrzegać, że w tematach związanych z reformacją niekoniecznie najwięcej do powiedzenia mają osoby z Europy, w tym z kolebki ruchu odnowy Kościoła, czyli z Niemiec, Szwecji czy Danii. Największym Kościołem wspólnoty jest dziś Etiopski Kościół Ewangelicki Mekane Yesus, który ma ok. 10,5 mln wiernych, kolejny Ewangelicko-Luterański Kościół Tanzanii (8 mln), a trzeci Kościół Szwecji (6 mln). Skandynawowie mają jednak na ogół problem z uczestnictwem wiernych w nabożeństwach, natomiast afrykańskie kościoły pękają w szwach. Trzeba zaznaczyć, że na liście brakuje niemieckich luteran. Choć sumarycznie jest ich również w granicach 10 mln, to Kościoły w poszczególnych landach są niezależne, więc w zestawieniu występują osobno.

Liczby mają konkretne przełożenie na działalność kościelną, rozwój myśli teologicznej, programy misyjne. Reprezentanci afrykańskich Kościołów czasem półżartem mówią, że niedługo dojdzie do tego, że to oni będą wysyłać świetnie wyedukowanych misjonarzy na Zachód.

Centrum Misji i Ewangelizacji Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce od dziesięcioleci organizuje Tydzień Ewangelizacyjny we wsi Dzięgielów na Śląsku Cieszyńskim. Pod ogromnym namiotem przez tydzień spotyka się tam kilkaset osób. Kaznodziejami do tej pory byli mówcy z Niemiec, USA i Polski, ale w tym roku zaproszono duchownego z Mekane Yesus w Etiopii.

– Kościoły na globalnym Południu rosną, a na globalnej Północy maleją. ŚFL musi sprostać wyzwaniu, jakim jest wzmacnianie udziału przedstawicieli tych dynamicznych Kościołów w pracach wspólnoty – mówi prof. Sojka.

Kraków przejdzie do historii

Organizacja Zgromadzenia Ogólnego Światowej Federacji Luterańskiej poza wszystkimi kwestiami teologicznymi i wspólnotowymi jest też trudnym przedsięwzięciem logistycznym. Największy ciężar w tym względzie spoczywa oczywiście na biurze ŚFL zlokalizowanym w Genewie, ale rola lokalnego Kościoła jako gospodarza również jest istotna. Anna Wrzesińska, szefowa komitetu krajowego ds. organizacji wydarzenia, zdradza, że pomysł wyboru Polski pojawił się już w 2014 r.

Z wizytą w naszym kraju przebywał wtedy ówczesny sekretarz generalny ŚFL – ks. dr Martin Junge. Zachwycił się organizacją spotkania chrześcijan z regionu i rzucił pomysł, żeby zorganizować zgromadzenie ogólne w Polsce. Propozycja pasowała też do klucza – ŚFL rozdziela zgromadzenia pomiędzy poszczególne regiony. Ostatnie w naszym było w Budapeszcie w 1984 r.

Rolę podmiotu wspierającego podjęła również parafia ewangelicka w Krakowie. Spora część obrad w centrum kongresowym ICE będzie zamknięta dla publiczności, na niektóre – w tym wykład czeskiego teologa rzymskokatolickiego ks. prof. Tomaša Halíka – wstęp będą miały tylko osoby, które w odpowiednim terminie wysłały formularz rejestracyjny, ale dyskusje i przebieg zgromadzenia będą dostępne w streamingu w kościele św. Marcina na ul. Grodzkiej w Krakowie. Tutejszy zbór zaplanował również wystawę na pl. Studzińskiego pod Wawelem, nabożeństwa niedzielne z udziałem delegatów, koncert z przesłaniem i dwie debaty, w których udział wezmą m.in. twórca „Gazety Wyborczej" Adam Michnik, były rzecznik praw obywatelskich prof. Adam Bodnar, szefowa Wydawnictwa Znak Dominika Kozłowska oraz prezes Klubu Chrześcijan i Żydów Przymierze prof. Piotr Nawrocki.

– Kraków na pewno zostanie zapamiętany przez globalną wspólnotę luteran, mówiąc bowiem o historii ŚFL, często posługujemy się skrótami, przywołując tylko nazwy miejsc, w których odbyły się dotychczasowe zgromadzenia i gdzie podejmowano konkretne, doniosłe decyzje. Mówimy więc o Lund, Helsinkach, Dar es Salaam czy Windhuk. Odtąd będziemy się odwoływali również do Krakowa. A z czym i z jakimi tematami konkretnie będzie nam się kojarzył? To się okaże dopiero w trakcie zgromadzenia – mówi ks. dr Ireneusz Lukas.

© ŁUKASZ OSTRUSZKA

Autor jest proboszczem parafii ewangelickiej w Krakowie.

Przyzwolenie na nienawiść

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU (IZRAEL)

W Jerozolimie skala ataków werbalnych i fizycznych na chrześcijan ze strony ortodoksyjnych żydów zaskoczyła ostatnio wszystkich.

Lipiec, Jerozolima: w publicznej przychodni pielęgniarka odmawia pobrania krwi zakonnicy. Kobieta musi czekać na pojawienie się innej pielęgniarki. Góra Błogosławieństw, Galilea: symbol krzyża i kościoła zostaje wymazany przez nieznanych sprawców z oficjalnego znaku na drodze prowadzącej do miejsca kultu. Góra Syjon, Jerozolima: żydowski mężczyzna pluje na grupę chrześcijańskich pielgrzymów i grozi, że zaatakuje ich nożem. Brama wejściowa Patriarchatu Ormiańskiego, Jerozolima: jedna z przechodzących obok dziewcząt spluwa na budynek. Zapytana, dlaczego to zrobiła, odpowiada: „Jerozolima jest żydowska i powinna być nasza".

To tylko kilka przykładów z listy 20 udokumentowanych przypadków ataków fizycznych i nękania chrześcijan w Izraelu w lipcu tego roku. Lista jest częścią obszernego raportu przygotowanego przez Centrum Danych o Wolności Religijnej w Jerozolimie (Religious Freedom Data Center), który trafił do izraelskich ministerstw. Od początku tego roku w Jerozolimie i innych miejscach Ziemi Świętej wzmaga się liczba ataków na chrześcijan, głównie ze strony członków ortodoksyjnej społeczności żydowskiej. Choć problem takich zachowań nie jest w Ziemi Świętej nowy, do niedawna nie był aż tak powszechny, a dokładne statystyki tych wydarzeń nie były znane, bo znaczna większość nie była zgłaszana na policję.

Centrum Danych o Wolności Religijnej w Jerozolimie monitoruje sytuację od czerwca. Jego działalność opiera się na pracy wolontariuszy i jest finansowana

AHMAD GHARABLI / AFP / EAST NEWS

Siły izraelskie blokują prawosławnym chrześcijanom przejście do Bazyliki Grobu Świętego w Wielką Sobotę. Jerozolima, 15 kwietnia 2023 r.

z prywatnych środków. Uruchomiono infolinię, na którą można zgłaszać tego typu przypadki. To obecnie najszersze źródło informacji na ich temat w Izraelu. W perspektywie miesięcy daje szansę na zrozumienie, jaka jest realna sytuacja tutejszych chrześcijan.

Niechęć do działania

Inicjatorką Centrum i infolinii jest Yisca Harani – izraelska badaczka, wykładowczyni, ekspertka i aktywistka na rzecz dialogu z chrześcijaństwem. Od 30 lat współpracuje m.in. ze szkołami, izraelskimi dyplomatami i ministerstwami, edukując i doradzając w kwestiach związanych z obecnością chrześcijan w Ziemi Świętej. W ostatnim czasie wraz z wolontariuszami swojej organizacji wypełnia zgłoszenia na policję przypadków antychrześcijańskich ataków. Robi to w imieniu sióstr zakonnych i księży, którzy nie zawsze chcą je zgłaszać. – Przekonuję ich: róbcie to, bo inaczej nic się nie zmieni. Pomożemy wam, opowiedzcie nam tylko, co się przydarzyło – mówi „Tygodnikowi" Harani.

Szczególną opieką jej organizacja otoczyła Dom Polski w Jerozolimie. Między 7 i 15 lipca prowadzące go siostry elżbietanki padały ofiarą ataków niemal codziennie. Do ich ogrodu wrzucano śmieci, zgniłe jabłka i butelki, mury budynku obrzucano kamieniami, uszkadzając drzwi wejściowe. Spluwano na wchodzących do środka i rozbijano donice stojące w ogrodzie.

Yisca Harani pomogła zakonnicom zgłosić sprawę na policję, a dwóch z czterech sprawców zostało zatrzymanych. W sprawę zaangażowała się też polska ambasada, która interweniowała w izraelskim MSZ. Ambasada organizuje teraz spotkanie dla przedstawicieli świata chrześcijańskiego w Ziemi Świętej, by omówić skalę zjawiska. Na spotkanie zostało zaproszone Centrum Danych o Wolności Religijnej. Harani cieszy się, że ktoś chce podjąć próby nacisku na wyższym szczeblu ministerialnym.

– Jako katolicy języka hebrajskiego nie doświadczamy takich bezpośrednich ataków – mówi ks. Piotr Żelazko, wikariusz patriarchalny katolików języka hebrajskiego w Izraelu. – Ale od innych chrześcijańskich liderów słyszę skargi na wzrost tych incydentów w ostatnim czasie. Skarżą się, że nie mają z kim o tym porozmawiać, że nie czują woli ze strony organów ścigania, by chwytać i karać sprawców. Byli przekonani, że policja i tak ich zbagatelizuje. Kiedyś czuli, że ich głos w Jerozolimie był jakoś słyszany.

Choć, jak mówi, wspólnota nie czuje zagrożenia, niektóre parafie podejmują środki ostrożności. W jerozolimskiej wspólnocie rada parafialna dyskutowała ostatnio o możliwości zatrudnienia ochrony na czas niedzielnych mszy. Ostatecznie z pomysłu zrezygnowano, a księża ograniczyli się do decyzji o zamknięciu głównych drzwi do kościoła po rozpoczęciu modlitwy.

– Z przykrością muszę zauważyć, że mimo podejmowania regularnych prób kontaktu z ministerstwami nie są one zainteresowane współpracą – mówi z kolei Yisca Harani. – W rozmowach pracownicy przyznają, że jedynym źródłem były dla nich dotychczas raporty policji. Tymczasem na podstawie naszych badań mogę stwierdzić, że 95 procent zdarzeń w ogóle do policji nie dociera, a zakładam, że zgłoszenia, które sami otrzymujemy, i tak nie obrazują pełnej skali problemu. Ta ignorancja boli mnie osobiście, bo przez lata współpracowałam z ministerstwami jako doradca – mówi aktywistka.

Zmiana atmosfery

Sprawa stała się w Izraelu tematem publicznej dyskusji, gdy podjęły ją mainstreamowe media. W reportażu głównego programu informacyjnego Kanału 13 izraelskiej telewizji dziennikarz Yossi Eli postanawia sprawdzić, jak żyje się duchownym w Jerozolimie. W przebraniu franciszkanina z ukrytą kamerą towarzyszy zakonnikowi w jego drodze ulicami jerozolimskiego Starego Miasta. Na własnej skórze doświadcza opluwania, słownych i fizycznych zaczepek – głównie ze strony ultraortodoksów, ale także żołnierza izraelskiej armii. Dziennikarze pokazują również nagrania z ulicznych kamer: ortodoksi plują, sikają pod klasztorami, chuligani na cmentarzu przewracają nagrobki. Na innym ujęciu widać zdewastowany kościół. Reportaż wyemitowano w lipcu w głównym wydaniu wiadomości.

Dziennikarzowi towarzyszył franciszkanin o. Alberto J. Pari, odpowiadający dziś w Kustodii za dialog międzyreligijny. – Po emisji wyraźnie wzrosła świadomość problemu. Odzywa się do nas mnóstwo ludzi ze słowami wsparcia, otrzymujemy wiele przeprosin od Izraelczyków, raczej tych zsekularyzowanych. Docierają do mnie sygnały, że w niektórych miejscach ortodoksyjnego świata zaczyna się o tym problemie mówić. To jednak nie sprawia, że nasza sytuacja się zmienia. Nadal jestem opluwany, gdy poruszam się po mieście w habicie. Wydaje mi się, że choć w ostatnim czasie wykonaliśmy mnóstwo pracy, żeby poinformować o problemie, to wciąż informacja nie dotarła do tych kręgów, do których najbardziej powinna – mówi franciszkanin „Tygodnikowi". ↦

↦ Wszyscy, z którymi rozmawiam w Izraelu o problemie, dostrzegają bezpośredni związek między wzrostem ataków i radykalną zmianą polityczną. Gdy na początku roku władzę objął prawicowy rząd premiera Netanjahu z istotnym udziałem przedstawicieli środowisk ortodoksyjnych, nacjonalistycznych i związanych z osadnikami, gwałtownie zmieniła się dyskusja publiczna. W studiach telewizyjnych zaczęli gościć politycy, którzy regularnie głoszą tam teraz treści ksenofobiczne, rasistowskie i antyarabskie.

– Do publicznego dyskursu weszły zdania, które były wcześniej nie do pomyślenia. Jeśli ludzie słyszą rasistowskie wypowiedzi z ust urzędującego ministra, to przekonują się, że postawa nietolerancji jest możliwa. Kiedyś takie wyrażenia były wstydliwe, dziś już nie. Trzeba przy tym zauważyć, że w tych medialnych wystąpieniach nie ma ataków na chrześcijan. To przede wszystkim wypowiedzi antyarabskie, co z kolei uderza w nas rykoszetem – mówi ks. Piotr Żelazko.

Bo rodzimi chrześcijanie w Ziemi Świętej to głównie Arabowie – można dopowiedzieć.

Strona rządząca nie komentuje doniesień o rosnących atakach na chrześcijan. Mało tego: nie brakuje sytuacji, w których wysocy rangą urzędnicy głośno stają po stronie napastników. Tak jest w przypadku zastępcy burmistrza Jerozolimy, Arieha Kinga, który nie kryje się ze swoimi ultraprawicowymi przekonaniami. W maju tego roku wziął udział w proteście przy Davidson Center w Jerozolimie, gdzie modlili się ewangeliczni chrześcijanie. Zakończyło się przepychankami z policją: uczestnicy protestu lżyli, opluwali i wybijali okna Centrum. „Obowiązkiem każdego Żyda jest chronić współbraci przed kultem chrześcijańskim" – grzmiał wówczas.

W opozycji do takich zachowań najsilniej wybrzmiały w mediach słowa prezydenta Isaaca Herzoga, który w sierpniu udał się do Hajfy, gdzie w klasztorze Stella Maris spotkał się z chrześcijańskimi liderami. W lipcu doszło tam do przepychanek zainicjowanych przez grupę studentów jesziwy. „To całkowicie niedopuszczalne pod każdym względem. Musimy wykorzenić to zjawisko" – mówił. Prezydentowi towarzyszył szef izraelskiej policji, Kobi Shabtai. Publicznie zapewniał, że policja zrobi wszystko, by zapewnić chrześcijanom bezpieczeństwo.

> Wielu zwraca uwagę na związek między wzrostem **ataków na chrześcijan** i objęciem władzy przez prawicowy rząd premiera Netanjahu.

Religijne chuligaństwo

Na razie realnym środkiem nacisku na rządzących pozostaje medialny szum. Przykładem takiej sytuacji była ostatnio awantura na placu przed Ścianą Płaczu z udziałem ministerialnej delegacji z Niemiec. Opat benedyktyński z opactwa Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny i klasztoru w Tabdze o. Nikodemus Schnabel, prowadzący niemiecką minister Bettinę Stark-Watzinger przez plac przed żydowskim miejscem kultu, został zatrzymany i poproszony o usunięcie krzyża ze swojej piersi. Pracownicy zarządzającej miejscem, finansowanej przez państwo Fundacji Dziedzictwa argumentowali prośbę tym, że jego krzyż jest „zbyt duży i nieodpowiedni dla tego miejsca".

Jak mówi „Tygodnikowi" o. Schnabel, ta słowna utarczka, która zakończyła się ostatecznie przepuszczeniem delegacji, była niczym w porównaniu z religijnym chuligaństwem, którego jako zakonnik doświadcza na co dzień. Ale sprawa zyskała rangę międzynarodową z prostej przyczyny: minister Stark-Watzinger towarzyszyły niemieckie media, których nagrania z zajścia szybko rozeszły się po sieci. Rozpętała się burza, a niemiecka ambasada interweniowała w izraelskim MSZ – w końcu chodziło o delegację państwową. Izraelczycy tłumaczyli później, że doszło do nieporozumienia.

– Odczytuję tę sprawę inaczej. W sytuacji radykalnej zmiany politycznej atmosfery, której jesteśmy świadkami, ludzie stwierdzili nagle, że można spróbować wprowadzić nowe zasady, jeszcze kilka lat temu nieakceptowalne – mówi o. Nikodemus Schnabel.

Yisca Harani zwraca uwagę na jeszcze jeden problem: niechęć do chrześcijan i poczucie wyższości względem nich, przekonania trwale zakorzenione głównie w społeczności ortodoksyjnej. – Teraz wychodzi to na światło dzienne, bo ludzie czują, że są chronieni przez rząd. Ale to zaczęło się wcześniej, narastało przez 30 lat rządów prawicy, która coraz bardziej pobłażała religijnym instytucjom i liderom na wspieranie przekonania o żydowskiej wyższości na wielu szczeblach. Z czasem chrześcijaństwo urosło w tych środowiskach do archetypu głównego wroga, podsycanego przypominaniem historii chrześcijańskiego antysemityzmu. Nie wiem, jak to szaleństwo odwrócić – mówi aktywistka.

A jednak zdaje się, że wie najlepiej spośród wszystkich, bo inaczej jako przestrzegająca zasad judaizmu Żydówka nie robiłaby tego, co robi.

– Uważam, że jest to obrzydliwe, gdy jedna wierząca osoba pluje na drugą. To mi się nie mieści w głowie. Wyrosłam w domu, w którym było jasne, że jako Żydzi szanujemy ludzi innych wyznań. Gdy jako dorosła osoba opuściłam rodzinny dom, zrozumiałam, że rzeczywistość jest inna. Dotarło do mnie szaleństwo nienawiści i chęci upokarzania innych. Obierając taki kierunek mojej działalności 30 lat temu, chciałam w pewnym sensie wrócić do raju mojego rodzinnego domu, w którym szacunek należał się wszystkim.

Jednocześnie Harani stanowczo podkreśla, że nienawiść do chrześcijan – choć ostatnio rośnie – dla większości znanych jej Żydów, także tych wierzących, jest czymś niewyobrażalnym. Wielu nie wie nawet, że w ich kraju opluwa się chrześcijan. – Nie brakuje i takich, którzy jak ja codziennie walczą o zmianę. Nie wolno o nich zapominać. Chcę podkreślić, że w ostatnim czasie moja religia i moje społeczeństwo zostały porwane przez fanatycznych, ultraradykalnych nacjonalistów – mówi Harani. – Nie chcę, by judaizm stał się prymitywną, agresywną religią. I nie chcę, by Izrael był jednobarwny. Czasem ludzie zarzucają mi, że rozmawiając o tych sprawach z mediami zagranicznymi, pomagam mówić źle o Izraelu. A ja odpowiadam: nie, robię tylko to, co do mnie należy.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Przypadki ataków w Ziemi Świętej można zgłaszać – także w języku polskim – pod jerozolimskim numerem Centrum Danych o Wolności Religijnej (+972) 052-5554008 oraz mailowo: report.hotline.jlm@gmail.com

WOJCIECH

Bonowicz: *My, ludzie zmęczeni*

„Mobilizacja". Sam się dziwię, że w ostatnich latach to słowo tak często pojawia się na ustach kogoś takiego jak ja. „Takiego" – czyli zaangażowanego społecznie i wycofanego politycznie. Nie wycofanego zupełnie, nie odwróconego plecami czy ograniczającego się do roli obserwatora. Ale jednak wycofanego, mającego uraz na punkcie tego, jak dziś uprawiana jest polityka i jakim celom na ogół służy.

Jest nas takich całkiem sporo, może nawet większość. Niektórzy potrafią wznieść się ponad swoje urazy i zmobilizować przy kolejnych wyborach, inni konsekwentnie zostają w domach. Społeczeństwo moje jawi mi się przede wszystkim jako społeczeństwo ludzi zmęczonych, często nieuświadamiających sobie do końca przyczyn własnego zmęczenia.

Przyczyny są zarówno obiektywne, jak i subiektywne. Obiektywna jest wojna w Ukrainie oraz związane z nią wyzwania i lęki. Jest to zresztą wojna „na zmęczenie", która w pierwszej kolejności ma zmęczyć napadniętych, ale w drugiej – także tych, którzy z nimi sympatyzują i im pomagają. Obiektywne są procesy zachodzące w świecie, w tym zmiany klimatyczne i ich konsekwencje, które także są źródłem coraz większego niepokoju. Męczy nas przekonanie, że jako jednostki mamy na nie niewielki wpływ, choć podlegamy bolesnym skutkom tych zmian. Obiektywne jest wreszcie to, w jaki sposób prowadzona jest dzisiejsza polityka, nie tylko zresztą w Polsce. Bazuje ona również raczej na zmęczeniu niż na entuzjazmie. Chodzi o to, żeby wyborczynie i wyborcy raczej „nie chcieli", niż „chcieli", raczej „nie wierzyli", niż „wierzyli", słowem: raczej bali się, niż zaufali. Głosowanie w wyborach przede wszystkim „przeciw", a nie „za", jest smutną konsekwencją prowadzenia „polityki zmęczenia".

Inną konsekwencją jest nieobecność. Przy urnach wyborczych nie zjawiają się nie tylko tacy, którym jest „wszystko jedno", ale i tacy, którzy czują się zniechęceni teatrem, jaki oglądają. Nie ma w tym nic dziwnego – wysokie temperatury męczą. Polityka staje się coraz gorętsza, w każdym razie w warstwie werbalno-obrazowej. Teatr polityczny radykalizuje się i eliminuje wszystko, co „średnie", choć dla życia właśnie średnie temperatury są najlepsze. W połączeniu ze wspomnianym negatywizmem taka radykalizacja jest dla wielu z nas trudna do zniesienia. Wiemy, że innych mobilizuje, ale na takich jak my działa odstręczająco. Nawet jeśli nas ekscytuje, to nie sprawi, że się zaangażujemy. „Nie chcę mieć z tym nic wspólnego", mówimy. Choć oczywiście zostając w domu w dzień wyborów także mamy „coś z tym wspólnego".

W poprzednich wyborach parlamentarnych nie wzięło udziału prawie czterdzieści procent uprawnionych. Frekwencja była i tak wysoka – na ogół trudno jest przekroczyć próg pięćdziesięcioprocentowy. Połączenie wyborów z referendum na pewno nie zachęci zniechęconych. Być może zresztą o to chodzi rządzącym; istnieje duże prawdopodobieństwo, że zniechęceni zagłosowaliby przeciwko tym, którzy są u władzy. W kampanii wyciszane są tematy z punktu widzenia codziennego życia najważniejsze, a dylematy moralne (jak problem aborcji czy kwestia pozostawiania bez pomocy ludzi na granicy) stają się przedmiotem „szantażu". To również na zmęczonych i zniechęconych działa demobilizująco.

A jednak – będę wzywał do mobilizacji. Przede wszystkim będę wzywał samego siebie. Ostatecznie na listach wyborczych znajdą się przecież ludzie, którym mogę zaufać. Nie wejdą do parlamentu, lecz „wepchną" do niego umieszczonych wyżej? Wszystko zależy od tego, ile głosów dostaną. Od lat zresztą apeluję, żeby nie patrzeć na góry list, tylko na doły. No, może w tych konkretnie wyborach: tak bardziej pośrodku. Na pewno znajdzie się tam ktoś, kto jest równie zmęczony jak my – a mimo to próbuje coś zmienić. Kto wierzy, że „polityka zmęczenia" to nie jedyny sposób uprawiania polityki. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

TRÓJMIASTO, czwartek 14 września
Spotkanie ze Stefanem Chwinem,
„Gdańsk w oczach Stefana Chwina" / stacjonarne /

ZIELONA GÓRA, sobota 16 września
Spotkanie winobraniowe
/ stacjonarne /

KRAKÓW, niedziela 17 września
Wieczór turystyczny w Piwnicy Powszechnej,
„W krainie św. Franciszka z Asyżu"
/ stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ROK KOBIECEJ REWOLUCJI

„Ciężko mi opowiadać znajomym z Iranu o szczęśliwym życiu, które mam tutaj, bo wiem, co tam przeżywają" – mówi Sayna. Jak Iranki żyjące w Polsce odbierają to, co od roku dzieje się w ich ojczyźnie?

KRZYSZTOF STORY

Sara patrzy prosto w obiektyw. Kadr jest pozbawiony kolorów, w delikatnym półświetle widać tylko połowę twarzy, reszta tonie w czerniach i szarościach. „To dla nas początek czegoś wielkiego – mówi. – Od 44 lat kobiety w Iranie nie miały takiej władzy. Nigdy nie miałyśmy tyle nadziei. Dla nas to początek rewolucji".

Scena pochodzi z filmu „Jina" w reżyserii Emilii Pluskoty, intymnego dokumentu, którego bohaterkami są mieszkające w Polsce Iranki. Gdy w listopadzie 2022 r. siadały przed kamerą, było już miejsce na nadzieję. Na irańskich ulicach demonstrowały codziennie setki tysięcy ludzi, palono portrety ajatollaha Alego Chamaneiego, najwyższego przywódcy islamskiej republiki, a kobiety zdejmowały hidżaby, nakrycia głowy obowiązujące w miejscach publicznych.

– Ale pierwszego dnia był tylko wkurw i smutek – mówi mi Sayna, także bohaterka filmu, która cztery lata temu wyjechała z Teheranu do Polski. – Pamiętam dużo łez. I dużo strachu.

Wszystko zaczęło się 16 września 2022 r., gdy w szpitalu w Teheranie zmarła 22-letnia Mahsa Jina Amini. Trzy dni wcześniej Kurdyjkę aresztowała policja obyczajowa, prawdopodobnie za źle założony hidżab, odsłaniający trochę włosów, i zbyt obcisłe spodnie. Władze twierdziły, że przyczyną śmierci był zawał. Dzięki relacjom świadków i pracy dziennikarek, Niloofar Hamedi i Elaheh Mohammad, wiemy, że prawda jest inna: Mahsa została zakatowana. Jej śmierć była katalizatorem dla największych protestów od rewolucji islamskiej z 1979 r. Hasło brzmiało teraz: „*Zan. Zendegi. Azadi*". „Kobieta. Życie. Wolność".

Co stało się z tym hasłem i Iranem przez rok od tamtych wydarzeń?

STRACH I REPRESJE | Farsi jest jednym z niewielu języków, który nie rozróżnia płci. Nie można tego powiedzieć o państwie, gdzie mówi się w farsi.

Sara i Sayna naprawdę noszą inne imiona. Pozostałe bohaterki „Jiny" też są anonimowe, w filmie nie pokazują twarzy, a jednej zmieniono głos. Choć żyją w Polsce, zbyt otwarta krytyka władz Iranu to ryzyko dla nich i ich najbliższych. Niebezpieczna może być choćby wizyta w ambasadzie. – Rok temu przedawniło się moje prawo jazdy – mówi Sayna. – Boję się tam pójść, by wyrobić nowe.

Ich powrót do ojczyzny mógłby się skończyć fatalnie. Wielu Irańczyków, którzy byli na „radarze" władz, wprost z lotniska w Teheranie trafiło do aresztu. W innych przypadkach władze groziły ich bliskim. Telefony, które uprzejmie doradzały ostrożność i informowały: „Wiemy, gdzie mieszka i pracuje twoja rodzina".

Reżim próbuje paraliżować protesty nie tylko strachem, także gołą siłą. Brat Sary został aresztowany za udział w nich, miał pokazowy proces. Dziś jest wolny, ale pod warunkiem, że nie będzie się wychylał; nie może też opuścić kraju.

Inni nie mieli tego szczęścia. Przez pięć miesięcy od śmierci Mahsy aresztowano ponad 20 tys. ludzi. W roku 2022 wykonano 582 egzekucje, o 75 proc. więcej niż rok wcześniej. Nie wiadomo, ilu ludzi zginęło na ulicach – organizacje praw człowieka mają ograniczony dostęp do danych. Według ONZ zabito co najmniej 44 dzieci.

KOBIETY KOBIETOM | Narzędziem kontroli jest też formacja odpowiedzialna za śmierć Mahsy Amini: Gašt-e Eršād, policja obyczajowa. Patrole (w dużej mierze złożone z kobiet) pilnują zgodnego z zasadami islamskiej republiki ubioru i zachowania.

Sara dorastała w Isfahanie, trzecim największym mieście. Wspomina: – Miałam kiedyś gości z Francji, dwóch mężczyzn. Po zwiedzaniu miasta usiedliśmy w parku, by zapalić. Rozmawialiśmy o „Persepolis", animacji pokazującej irań-

MORTEZA NIKOUBAZL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Mieszkanka Teheranu zwiedza XV-wieczny pałac Golestan w irańskiej stolicy, wrzesień 2023 r.

ski reżim. Nie spodziewałam się, że zaraz zobaczę scenę jak z tego filmu. Nadchodziły cztery kobiety. Taki patrol rozpoznaję z daleka po chodzie i ubiorze. Wszystkie mamy wbudowany „radar". Ostrzegłam kolegów. Uśmiechnęli się tylko i pewnie pomyśleli, że mam paranoję.

Dalej było tak: – Otoczyły nas, mnie wyzywały od kurew i zaczęły przesłuchiwać na miejscu. Wezwały wsparcie przez radio, przyjechało dziesięciu mężczyzn na motorach. To wyglądało jak operacja antyterrorystyczna. Kolegom kazałam uciekać. Byli przerażeni. Wiedziałam, że lepiej poradzę sobie bez myśli o ich bezpieczeństwie z tyłu głowy.

Ciąg dalszy miał miejsce na posterunku, gdzie trafiła Sara: – Był pokój z lampą i krzesłem. Masz tu dwie opcje: jeśli zaczniesz się kłócić i mówić, co myślisz, możesz skończyć jak Mahsa. Druga opcja zwykle gwarantuje bezpieczeństwo: zaczynasz przepraszać za to, że żyjesz, jak się ubrałaś i co robiłaś. Obiecujesz poprawę. Wtedy zwykle puszczają. A ty wracasz do domu i masz koszmary.

KIJ I MARCHEWKA | Patrole Gašt-e Eršād są bezkarne. Mogą obrażać, bić, zastraszać. Zarzut się znajdzie: rozpięty guzik, wystający kosmyk, zbyt jasne spodnie. W trakcie przesłuchań padają obelgi, groźby gwałtu, sprośne żarty.

– Kiedyś w Teheranie wracałam z uniwersytetu – mówi mi Sayna. – Miałam hidżab, spodnie, na to jeszcze krótkie manto, to typ tradycyjnej sukni. Widziałam, że patrol idzie za mną. Spanikowałam. Uciekłam w boczną uliczkę, zadzwoniłam do pierwszych drzwi, które zobaczyłam. Otworzył starszy mężczyzna i wpuścił do przedpokoju na parę minut. Stałam tam, trzęsąc się ze strachu. Wolałam wejść do domu obcego faceta, ↦

niż spotkać się z nimi. Choć przecież nie zrobiłam nic złego.

Przez ostatni rok władze to łagodziły działania policji obyczajowej i wycofywały patrole z ulic, to znów pozwalały im na wszystko, urządzając pokazy siły. Kij i marchewka.

– To nasza codzienność – mówi Sara. – Nie ma dziewczyny w Iranie, która tego nie przeżyła. Mahsa nie była pierwszą ani ostatnią, dla której skończyło się to tragicznie. Tylko że w większości przypadków o śmierci dowiaduje się jedynie rodzina i znajomi, a wszyscy boją się mówić. Tutaj było inaczej.

W czerwcu za zamkniętymi drzwiami zaczął się proces Niloofar Hamedi i Elaheh Mohammad, które nagłośniły los Amini, co wywołało protesty. Zarzuca się im m.in. „spisek z obcymi siłami przeciw bezpieczeństwu państwa".

CHCIAŁAM NORMALNOŚCI | Protesty w Iranie to nie tylko walka o zdjęcie hidżabów. Lista naruszeń praw człowieka jest długa. 15 sierpnia 2022 r., miesiąc przed śmiercią Mahsy, prezydent Ebrahim Raisi podpisał dekret pozwalający wykorzystywać technologię rozpoznawania twarzy do tropienia i karania nieobyczajnie ubranych kobiet. Za homoseksualny związek mężczyznom grozi kara śmierci, a kobietom więzienie. Nie ma mowy o wolności mediów. Od roku władza coraz mocniej dokręca tu śrubę.

Ale jest też drugi aspekt: ekonomiczny. Bogaty w surowce Iran jest krajem biednych ludzi, bo zyski pożera gigantyczny aparat państwowy. W ostatnim roku sytuacja się pogorszyła. W dodatku państwo jest największym pracodawcą, więc niepokornych łatwo zastraszyć utratą posady.

Ci, którym się to uda, wyjeżdżają.

Sara opuściła Iran, mając 21 lat. Mieszkała w Malezji, po czym za miłością (jej partner to Polak) przyjechała do Warszawy: – Emigracja jest przywilejem. Musisz znać język, ale też mieć pokaźną sumę na koncie i zabezpieczenie finansowe, bez tego nie dostaniesz wizy. Znam ludzi, którzy 10 lat młodości poświęcili, by odłożyć pieniądze. Moi rodzice są nauczycielami, nie jesteśmy bogaci, więc pracowałam od 16. roku życia. Ale tak naprawdę nie wyjeżdżamy po pieniądze. Zrozum, ja chciałam zostać pilotką. Chciałam wielu rzeczy. Normalnego życia. Na nic z tego w Iranie nie mamy szans.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu **JINA**, reż. Emilia Pluskota, prod. RATS Agency, 2023. Film można będzie zobaczyć w ramach HER Docs Forum 16 września, w rocznicę śmierci Mahsy Amini, w warszawskiej Kinotece o godz. 14. Tego samego dnia o godz. 16 pod Kinoteką odbędzie się demonstracja upamiętniająca Mahsę i solidaryzująca się z Irankami i Irańczykami walczącymi o swoje prawa.

PRZEPAŚĆ | Sayna jest lesbijką. W Iranie musiała żyć w ukryciu. Do Polski przyleciała cztery lata temu na wymianę podczas studiów doktoranckich. Została. – Paradoksalnie czasem jest nam, lesbijkom, łatwiej – opowiada. – Dwie dziewczyny mogą udawać koleżanki, zamieszkać razem. Dziewczyna z chłopakiem bez ślubu nie mają na to szans. Nie zmienia to faktu, że za to, kim jestem, mogę w Iranie spędzić pół życia w więzieniu. Na szczęście późno odkryłam moją orientację. I bez tego byłam załamana, że ciągle muszę zamykać oczy na moje marzenia, przekonania i żyć w jakiejś okropnej fikcji.

Po roku studiów znalazła w Polsce pracę. – Udało się tylko dlatego, że zapieprzałam na tych studiach, to był mój paszport – mówi. W 2019 r. wróciła na chwilę do Iranu i przez pandemię utknęła tam na rok. – Po powrocie do Polski musiałam iść na terapię – wspomina.

Na terapię chodziło też wielu jej znajomych po traumatycznych przeżyciach z ostatniego roku. Kilku musiało ją przerwać, nie było ich stać.

– Ciężko rozmawia się z bliskimi z Iranu – mówi Sayna. – Nie chodzi tylko o to, że internet jest bez przerwy blokowany i nie wszystko można powiedzieć, gdy nie wiadomo, kto jeszcze słucha. Ciężko mi opowiadać znajomym z Iranu o szczęśliwym życiu, które mam tu w Polsce, bo wiem, co oni tam przeżywają. Jest między nami przepaść.

Przez ostatni rok Iranki mieszkające w Polsce żyły tym, co działo się na ulicach Teheranu, Isfahanu i innych miast. Miały poczucie winy, że obserwują to z oddali.

SZARZY LUDZIE | Dziś może się wydać, że z buntu, który wybuchł rok temu, niewiele zostało. Ajatollahowie jak rządzili, tak rządzą, reżim nie ugiął się przed demonstrantami. Rewolucyjny nastrój osłabł.

– Nie da się wiecznie żyć na barykadach – mówi Sayna. – Ale zmiana jest widoczna. Na zdjęciach widzę moje koleżanki w ciuchach, w których jeszcze rok temu nie wyszłyby na ulice. Raisi i Chamanei mogą mieć wojsko i policję, ale nie aresztują wszystkich. A młode pokolenie ma dosyć życia przez nich urządzonego.

Poprzednie masowe protesty w Iranie miały miejsce po wyborach prezydenckich w 2009 r. Władza posłała paramilitarne bojówki do pacyfikacji uniwersytetu w Teheranie. Sayna była wtedy studentką, przeżyła to na własnej skórze. – Dziś jest inaczej niż wtedy. Protestuje nie tylko bogaty Teheran, ale cały Iran, nawet małe miasteczka. Mamy takie określenie: „szarzy ludzie". Oznacza tych, którzy nie angażują się ani po jednej, ani po drugiej stronie. Dziś jest ich coraz mniej.

– Wtedy wiele osób chciało zmian, ale nadal w ramach republiki islamskiej – dodaje Sara. – Dziś już wiemy, że ten reżim musi upaść. Oni też zaczęli się bać. Kamery okazują się naszą silną bronią. Patrole Gašt-e Eršād zaczęły się bać nagrań. Znajomi donoszą mi, że przestali zaczepiać nastolatki, które nie mają nic do stracenia, a smartfony zawsze przy sobie.

NADZIEJE | Kolejna zmiana: nigdy w Iranie tak wielu mężczyzn nie wspierało walki o prawa kobiet. – Mój kuzyn, choć nie jest przesadnie religijny, przez 20 lat kazał żonie nosić hidżab. Dla jej bezpieczeństwa, tak twierdził – mówi Sayna. – Ostatnio widzę ją na zdjęciach z odkrytą

głową. Władza jest ta sama, ale w ludziach zmieniło się wszystko.

– Od początku wiedziałam, że republika islamska nie upadnie w jeden dzień – mówi Sayna. Uważam, że nie obalimy jej przemocą, bo w tym oni są lepsi niż my. Widzę, że po prostu coraz więcej ludzi zaczyna ich lekceważyć. Na co dzień, małymi gestami. A żadna dyktatura, którą można otwarcie lekceważyć i obśmiać, nie przetrwa.

Jednym z problemów ruchu protestu jest brak liderów. Jednym z niewielu kandydatów do poprowadzenia transformacji Iranu jest Reza Pahlavi, syn ostatniego szacha, obalonego podczas rewolucji islamskiej. Tyle że żyje na emigracji.

Kolejnym wyzwaniem jest to, jak posklejać pęknięty kraj. – Stałam kiedyś z siostrą na ulicy – wspomina Sara. – Miałam beżową chustę, ona niebieską. Podeszła do nas nieznajoma w czadorze. Nazwała nas diablicami, bo nosimy kolory zamiast czerni. Odparłam, że jest gorąco, to był upalny dzień. Usłyszałam, że gorąco będzie mi dopiero w ogniu piekielnym. Ta dyktatura poszczuła nas na siebie nawzajem. Miną dekady, zanim to przepracujemy.

ROK PÓŹNIEJ | 16 września mija rok od śmierci Mahsy Amini. W Iranie zapewne odbędą się demonstracje. W Warszawie będzie protest połączony z pokazem filmu „Jina".

– Serce chciałoby, by wszyscy wyszli na ulice, a władza runęła w jeden dzień – uważa Sayna. – Ale rozum podpowiada: to będzie maraton, nie sprint. Musimy go przetrwać. Odwrotu od zmian w Iranie już nie ma.

Sara była u rodziny w Iranie, gdy zabito Mahsę, i gdy wszystko się zaczęło. Nie poszła na ulice, by walczyć. Wyjechała do Polski. Ze strachu, z poczucia odpowiedzialności, z troski o rodziców? 70-letni ojciec błagał ją, by nie ryzykowała.

Wspomina to w filmie. Kruczowłosa dziewczyna siedzi przed kamerą, płacze i mówi: „Ile możemy uciekać z naszego domu przed tym, co nam przeszkadza? Całe życie słyszałyśmy: nie podoba ci się? Wyjedź. Nie chcesz nosić hidżabu? Wyjedź. Idź sobie. Nie! To oni niech sobie idą".

©℗ KRZYSZTOF STORY

AFP / EAST NEWS

Poniszczone plakaty obalonego prezydenta Gabonu Alego Bongo Ondimby. Libreville, 7 września 2023 r.

Czas puczystów

WOJCIECH JAGIELSKI I ALEXIO RASHIRAI Z HARARE (ZIMBABWE)

Wojskowe przewroty – kiedyś plaga afrykańskiej polityki – wracają do mody i znów nękają kontynent. Do kolejnego doszło właśnie w Gabonie.

Zawsze odbywa się to podobnie. Niedługo przed północą – albo rankiem, jak kilkanaście dni temu w Gabonie – lokalna telewizja przerywa program i na ekranie pojawiają się żołnierze w mundurach polowych. Jeden z nich odczytuje z kartki komunikat, z którego mieszkańcy dowiadują się, że panujący dotąd prezydent nie sprawuje już władzy, lecz zostanie osądzony za występki, jakich się dopuścił. Słyszą też, że nowym przywódcą, przez rok, dwa albo trzy, będzie jeden z wojskowych, którzy wzięli na siebie trud obalenia złego władcy i zaprowadzenia po nim porządku.

W tym czasie przed najważniejszymi urzędami oraz na głównych placach i skrzyżowaniach pojawiają się wojskowe patrole na wozach bojowych. Ale strzały padają rzadko. Zwykle wszystko przebiega spokojnie, szybko i sprawnie.

WIWAT UZURPATORZY! | Cisza i spokój ośmielają mieszkańców, którzy zrazu ostrożnie, ale z czasem coraz ufniej podchodzą do żołnierzy, pozdrawiają ich. Kiedy po gabońskiej stolicy Libreville rozniosła się wieść o przewrocie, na jej ulice wiwatujące tłumy wyległy niemal natychmiast. „Niech żyje nasze wojsko!" – niosło się po bulwarach przy ujściu rzeki, od której imienia nazwę wziął cały kraj.

Tłumy świętowały przewroty w malijskim Bamako w sierpniu 2020 r. oraz w maju 2021 r. I jednym, i drugim dowodził niespełna 40-letni pułkownik Assimi Goita. Po pierwszym puczu ustąpił miejsca innym, starszym. Ale gdy zawiedli, dokonał zamachu stanu ponownie i sam ogłosił się prezydentem.

Radowano się też w sąsiedniej Burkina Faso, gdy w styczniu 2022 r. równie ↦

↦ młody podpułkownik Paul-Henri Sandaogo Damiba obalał cywilnego prezydenta. I potem we wrześniu tegoż roku, gdy jeszcze młodszy kapitan Ibrahim Traore odsunął od władzy podpułkownika. Euforia zapanowała w Gwinei, gdy we wrześniu 2021 r. pułkownik Mamady Doumbouya odbierał władzę Alphiemu Condé, ludowemu bohaterowi, który jako prezydent wyrodził się w dyktatora.

I cieszono się też w Nigrze, gdy niedawno, pod koniec lipca, generał Abdurrahman Tchiani odsunął pierwszego w dziejach tego kraju prezydenta, który, wybrany na ten urząd, przejął go od poprzednika, również wybranego w wolnej i uczciwej elekcji.

EPIDEMIA TYRANII | W Gabonie radującym się tłumom zrzedła jednak mina, gdy rozeszło się, że przewodzący zamachowcom generał Brice Oligui Nguema jest kuzynem obalonego prezydenta Alego Bongo. I że wcale nie musi chodzić mu o to, by położyć kres rządom panującej od ponad pół wieku dynastii (przed Alim, który panował 14 lat, przez ponad 40 lat rządził Gabonem jego ojciec Omar), lecz o sukcesję tronu.

Ali Bongo twierdził, że nigdy nie chciał być politykiem, i że zawsze chciał być muzykiem, co nie przeszkodziło mu trzy razy wygrywać wybory (jego ojciec wygrywał je sześć razy). Dziś schorowany i mający 64 lata na karku, chciał ustąpić tron synowi Nuruddinowi. To nie podobało się jego braciom i siostrom (Omar spłodził z różnymi kobietami pół setki dzieci), a zwłaszcza najstarszej z rodzeństwa, Pascaline, która sama widziała się w roli królowej.

Trwoga, a nie radość, zapanowała natomiast po puczach w Czadzie i Sudanie. W tym pierwszym kraju, w kwietniu 2021 r., po śmierci prezydenta Idrissa Déby'ego (zginął od partyzanckiej kuli pod koniec czwartej dekady swych rządów) władzę przejął jego syn Mahamat, nie zważając na konstytucję. W Sudanie zaś, dwa lata wcześniej, generałowie, którzy rządzą tym krajem bez przerwy i przejęli go niemal na własność, obalili urzędującego od 1989 r. marszałka polnego Omara al-Baszira. W ten sposób chcieli uprzedzić uliczną rewolucję, która zagroziła jego panowaniu. Rzucili towarzysza tłumowi na pożarcie, by utrzymać władzę, majątki i przywileje – słowem, aby nic się nie zmieniło.

Od przewrotu sudańskiego w kwietniu 2019 r. do tego gabońskiego z końca sierpnia w Afryce doszło aż do dziesięciu puczów. Dziś uzurpatorzy rządzą prawie w całym Sahelu – pasie krajów ciągnących się u południowych brzegów Sahary. „Jeśli tego nie przerwiemy, znów będziemy zmagać się z epidemią tyranii" – przestrzega Ahmed Bola Tinubu, dzisiejszy prezydent Nigerii, a wczorajszy więzień wojskowych dyktatorów, którzy rządzili tym krajem przez ponad ćwierć wieku.

Dodajmy, że ci, którzy wiwatowali po puczach w Mali i Burkina Faso, już się przekonali, ile warte są obietnice puczystów. W Nigrze i Gabonie przekonają się o tym wkrótce.

PŁONNE NADZIEJE | Kilka dni przed puczem w Gabonie prezydencką elekcję urządzono w południowoafrykańskim Zimbabwe, a wróble ćwierkały, że jeśli jej wynik nie przypadnie tamtejszym generałom do gustu, oni też dokonają puczu.

Gdy sięgali po władzę po raz pierwszy, w listopadzie 2017 r., mieszkańcy Zimbabwe też wynosili ich pod niebiosa jako wybawców. Puczyści obalili przecież satrapę Roberta Mugabe, jedynego władcę tego niepodległego od 1980 r. kraju. Za młodu uważano go za nadzieję całej Afryki, jednak z wiekiem przemienił się z dobrego gospodarza w tyrana. Doprowadził kraj do bankructwa i choć miał 93 lata, szykował się do kolejnej elekcji.

Tak naprawdę był już wtedy marionetką w rękach młodszej o 40 lat żony Grace, której zamarzyło się, by po mężu stanąć na czele państwa. Nie chcieli do tego dopuścić starzy towarzysze Mugabego, na czele z wiceprezydentem Emmersonem Mnangagwą. Ten 80-latek był kiedyś prawą ręką Mugabego i jego człowiekiem od „brudnej roboty" (ministrem bezpieczeństwa, sprawiedliwości, finansów i obrony); znał wszystkie sekrety i słabości starego prezydenta.

W wojnie o zimbabweński tron najpierw górę wzięła Grace i jej koteria, a Mnangagwa, obawiając się o życie (twierdził, że Grace próbowała go otruć), uciekł do RPA. I skończyłby pewnie życie na wygnaniu, gdyby nie generałowie: to oni postanowili przerwać bratobójczą wojnę, zagrażającą tak korzystnym dla nich porządkom. Dokonali puczu (zjawisko równie rzadkie na południu Afryki, co powszechne na jej zachodzie i w Sahelu), ale przejętą władzę postanowili oddać Mnangagwie. Znali go i mu ufali, dzięki niemu doszli do majątków.

Ten wrócił więc z wygnania, a rok później wygrał wybory, w których pokonał (stosunkiem 51,5 proc. do 45 proc.) kandydata opozycji, młodego i wygadanego pastora Nelsona Chamisę. Choć Mnangagwa wygrał jako przywódca wciąż tej samej co za Mugabego partii rządzącej, ludzie czekali na jego rządy z nadzieją. Wierzyli, że może być tylko lepiej, bo gorzej niż za Mugabego być nie mogło.

NIESPEŁNIONE OBIETNICE | Nie było gorzej, choć lepiej też nie. Tyrania jakby zelżała, ale całą władzę po staremu dzierżyli dygnitarze rządzącej partii. W ich rękach wciąż była cała gospodarka i państwo z jego urzędami i służbami, sądami, policją i telewizją. Tylko oni, dygnitarze, wciąż żyli jak królowie, a reszta kraju po staremu klepała biedę. Jedno, co się zwiększyło, to korupcja w urzędach i poczucie beznadziei wśród 20- i 30-latków, stanowiących – podobnie jak w całej Afryce – trzy czwarte ludności (dla porównania: średnia wieku afrykańskich przywódców to ponad 60 lat).

Gdy w ostatnim tygodniu sierpnia Mnangagwa znów stawał do wyborów, by ponownie zmierzyć się z Chamisą, mówiono, że skoro nie spełnił żadnej obietnicy i ludziom nie żyje się lepiej, niechybnie przegra. Tym bardziej że złamał ponoć także słowo dane żołnierzom, którzy powierzyli mu władzę: miał obiecać, że będzie panował tylko pięć lat, a potem ustąpi temu, którego generałowie wybiorą spośród siebie. Tego nie dotrzymał i mówiono, że jeśli przegra głosowanie, tym razem wojsko mu nie pomoże.

Ale wygrał – choć znów minimalnie (53 proc. do 44 proc.) – a na jego zwycięstwo zapracowała tym razem tajna policja, której wiele lat szefował. Wygrał, będzie rządził dalej i nic się nie zmieni. I nic na to nie można poradzić. Ile by urządzić wyborów, póki rządzić będą ci, którzy rządzą, nie ma co liczyć na zmiany. Mugabe też pilnował, aby co pięć lat odprawiać rytuał głosowania – i aby jeszcze bardziej w każdym zwyciężać.

Tym razem nawet sąsiedzi Zimbabwe, zawsze życzliwi rządzącym, orzekli, że Mnangagwa nie wygrał uczciwie. Obwią-

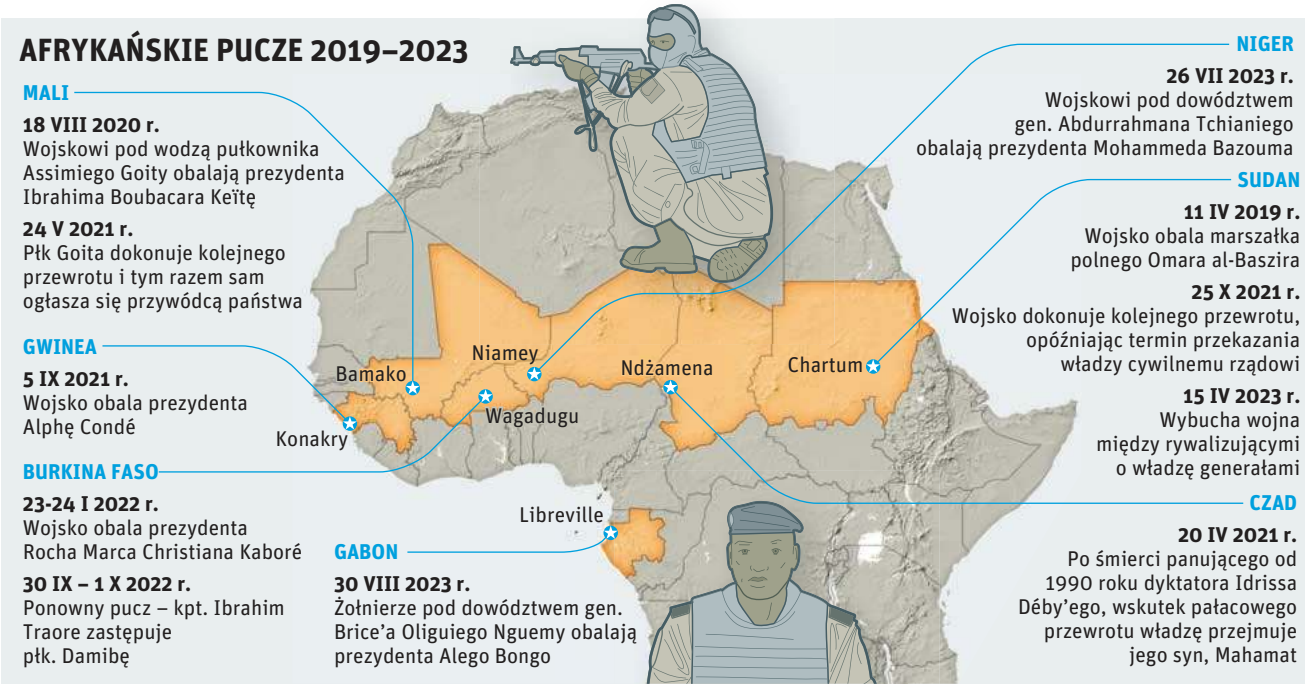

LECH MAZURCZYK

zany jak zwykle szarfą w narodowych barwach, odparł im, żeby się nie wtrącali, bo to nie ich sprawa („Jesteśmy suwerennym krajem i domagamy się szacunku"). Opozycji poradził, by ze skargami nie biegła za granicę, ale do sądu. Za Mugabego zimbabweńską demokrację nazywano ludową, a za Mnangagwy – suwerenną, narodową. Poza tym nie zmieniło się nic więcej.

Chamisa odgrażał się, że zaskarży wynik do sądu, ale w końcu machnął ręką. Uznał, że wyjdzie na durnia, jeśli prawa i sprawiedliwości dochodzić będzie w trybunałach, które służą już tylko rządzącym.

DEMOKRACJA DRUGIEJ PRÓBY | Ilekroć w afrykańskich stolicach wiwatami przyjmowane są kolejne zbrojne przewroty, na Zachodzie nauczyciele demokracji uderzają w lament, że ta forma rządów, ponoć najlepsza, jaką wymyślił człowiek, na tym kontynencie się nie udaje.

Po raz pierwszy demokrację próbowano zaszczepić w Afryce na początku lat 60. XX wieku, jako podarek na pożegnanie epoki kolonialnej i na nową drogę niepodległego życia. W sztucznie utworzonych państwach, z których żadne nie powstałoby w obecnym kształcie, gdyby nie kolonialne zabory, demokracja wyrodziła się szybko w jednopartyjne dyktatury, uznane za najlepsze zabezpieczenie przed narodowościowymi i religijnymi wojnami.

Jednopartyjnym satrapiom sprzyjały też czasy zimnej wojny, w której Wschód i Zachód wspierały tyranów według zasady: „Może to i sukinsyn, ale nasz sukinsyn". Zwieńczeniem tamtej epoki stały się wojskowe pucze i dyktatury, które jeszcze w latach 80. panowały w niemal całej Afryce.

Drugą próbę przeszczepu demokracji podjęto po zwycięskim dla Zachodu końcu zimnej wojny. Tym razem eksperyment powiódł się lepiej. Demokratyczne porządki przyjęły się nawet w Nigerii, Ghanie i Beninie, które uchodziły dotąd za wylęgarnię wojskowych tyranów. W Zambii, Kenii, Botswanie, Malawi i Senegalu jednopartyjne dyktatury odeszły do przeszłości, a rządzący godzą się z przegraną w wyborach i oddają władzę opozycji. Gdzie indziej jednak, zwłaszcza na Sahelu, demokracja nie przyjęła się tak dobrze – i sprawy w ogóle mają się tam źle.

DWIE TRZECIE | Do wojskowych przewrotów dochodzi zwykle tam, gdzie satrapia wcale nie przepoczwarzyła się w demokrację, a jedynie się na nią upudrowała, i gdzie wymiana rządzących elit jest niemożliwa (np. Gabon czy Zimbabwe). A także w państwach biednych (Sahel to najbiedniejszy zakątek świata), słabych i wstrząsanych konfliktami.

Nie przypadkiem właśnie na Sahelu panoszą się dżihadyści, nawołujący do utworzenia kalifatu, państwa Bożego na ziemi. Tak samo dobrze radzili sobie w upadłych Somalii i Afganistanie. Nie przypadkiem też na Sahelu największe sukcesy odnotowują rosyjscy najemnicy z Grupy Wagnera – awangarda Kremla, śniącego o afrykańskich podbojach.

Ale nawet tu poparcie dla puczów nie bierze się z niechęci do demokracji, lecz z jej niedostatku. Sondaże pokazują, że Afrykanie opowiadają się za demokracją – dziś ponad dwie trzecie (choć 10 lat temu popierało ją aż trzy czwarte Afrykanów). Narzekają natomiast, że za demokracji nie żyje im się lepiej, a ich demokratycznie wybierani przywódcy nie okazują się takimi demokratami, za jakich się podawali.

Narzekają tak zwłaszcza młodzi, którzy nie mogą pamiętać dawnych tyranii, a za swoje zawiedzione nadzieje i brak widoków na przyszłość winią nowe porządki, w jakich dorastali – z nazwy demokratyczne. Winią też Zachód, nauczyciela i mecenasa demokracji w Afryce, który dla świętego spokoju i obietnicy zysków przymykał oko, gdy promowani przez niego politycy, objąwszy władzę, okazywali się głupcami, łajdakami lub kandydatami na tyranów.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI, ALEXIO RASHIRAI

Zanim wrócimy

TEKST I ZDJĘCIA
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ZAPOROŻA

Po rosyjskiej inwazji wielu ukraińskich samorządowców musiało opuścić swoje miejscowości. Teraz wspierają uchodźców i armię. I szykują się do powrotu.

Kilkanaście osób siedzi w kole. Omawiają sprawy podczas cotygodniowego podsumowania. Głos zabierają starostowie, deputowani, dział rozwoju, edukacji, zdrowia. Urzędnicy po kolei informują: „Rosjanie przygotowują wybory, wydają paszporty i wsadzają. Jednej kobiecie dali 20 lat. Ma dwoje dzieci. Będziemy chcieli, żeby dodano ją do listy jeńców na wymianę". „Przywieźli agregat, pięć kilowatów, dla przedszkola". „Będziemy kontynuować spotkania dla mieszkańców w sprawie utraconego majątku". „Napisaliśmy prośbę do UNICEF-u o pomoc humanitarną".

– Jest o nią coraz ciężej, więc proszę, szukajcie partnerów, którzy będą mogli nam pomóc – mówi do zebranych Serhij Kaliman.

Charyzmatyczny i gadatliwy, jest przewodniczącym wasyliwskiej hromady (to odpowiednik gminy) oraz rady miejskiej Wasyliwki w obwodzie zaporoskim. Jest też rolnikiem, ma sporo ziemi. Podobnie jak niemal całe zarządzane przez niego terytorium, jego dom jest pod okupacją, prawie od pierwszych dni rosyjskiej inwazji z lutego 2022 r.

Dlatego spotykają się w użyczonym biurze na obrzeżach Zaporoża. Biuro wciąż nie jest ogarnięte, sporo rzeczy zostało po poprzednich najemcach. Jak choćby fototapeta z wyspą, palmą i morzem w pokoju, gdzie urzęduje Kaliman. W tym biurze urzędnicy z wasyliwskiej hromady omawiają sprawy, spotykają się z mieszkańcami i organizują, co trzeba.

Od ponad roku tylko dwie wsie z tej jednostki terytorialnej są pod kontrolą Ukrainy, tuż przy linii frontu. Mimo to urzędnicy mają ręce pełne roboty. Pomagają mieszkańcom, którzy zostali w tych dwóch wsiach, a także tym zmuszonym do opuszczenia domów. Regularnie dostarczają wsparcie wojskowym. A przede wszystkim: planują i organizują, by po powrocie do domów – w co mocno wierzą – od razu wziąć się do roboty.

Z lekami przez front

Wasyliwka to 13-tysięczne kiedyś miasto, ok. 60 km na południe od Zaporoża, w południowo-wschodniej Ukrainie. W ręce Rosjan wpadło na początku marca 2022 r. Kaliman, który pozostawał tam do kwietnia, podkreśla, że dopóki tam był, wisiały dwie flagi: Ukrainy i Unii Europejskiej. Za to Rosjanie wyprowadzili go na pozorowaną egzekucję. Przyłożyli mu lufę do głowy, ale żołnierz wystrzelił obok. Kaliman stracił przytomność. Ocknął się, gdy chlusnęli w niego wodą z wiadra. Flag jednak nie zdjął.

Gdy w połowie kwietnia 2022 r. wyjechał spod okupacji – Gdy w połowie kwietnia 2022 r. wyjechał spod okupacji – na tym odcinku frontu było to wówczas możliwe – najpierw pojechał do Włoch, by leczyć syna. Potem sam trafił do szpitala na Zakarpaciu. Latem 2022 r. wrócił do Zaporoża. Wciąż nie było wiele wiadomo, jak mógłby działać.

Kaliman obdzwonił wszystkich, sprawdził, kto jest w Zaporożu, i umówili się w kawiarni. Od razu wpadli w wir pracy. Do jesieni była przejezdna droga łącząca Wasyliwkę z Zaporożem. Front stał tam w miejscu, a rosyjskie posterunki czasem przepuszczały cywilów (tędy w pierwszych miesiącach inwazji ewakuowali się mieszkańcy obleganego Mariupola). Tą drogą urzędnicy Kalimana wozili nawet do Wasiliwki pomoc humanitarną, zwłaszcza leki.

Kadry decydują

Potrzebne było pomieszczenie. Tu przydały się liczne kontakty Kalimana. Znajomi mieli biuro, które mogli użyczyć. Wprowadzili się, ale nie mieli choćby jednego komputera. Nie mówiąc o setkach tabletów dla dzieci z rodzin uchodźców, które uczą się zdalnie. Szybko się dokształcali, jak pozyskiwać środki od organizacji pomocowych. Stopniowo w biurze zaczął pojawiać się sprzęt: ktoś przywiózł krzesła, ktoś inny stoły.

Kalimanowi zależało, by jak najwięcej urzędników zostało przy nim. Ściągał ich z całej Ukrainy, obiecując, że mają zagwarantowaną pracę. – Kadry decydują o wszystkim – powtarza dziś znaną maksymę Stalina. – Jestem pewien, że gdy wrócimy do siebie, będzie straszny głód na specjalistów.

Chwali się, że spośród pracowników rady miejskiej tylko dwie osoby podjęły się współpracy z władzą okupacyjną. Dodaje, że to jedna z nielicznych okupowa-

Od lewej: Wiktoria Halicyna, Ołeksandr Czub. Po prawej: Serhij Kaliman (za stołem – pierwszy od lewej). Zaporoże, sierpień 2023 r.

nych hromad, gdzie odbywają się – na wygnaniu – sesje rady miejskiej, bo jest kworum. Tym samym nie było potrzeby wprowadzania administracji wojskowej, gdzie mer rządzi w pojedynkę.

– Część naszych deputowanych jest na okupowanych terytoriach, bo nie wszyscy wyjechali. Posiedzenia odbywają się online, dzięki temu mogą dołączyć także ci rozrzuceni po całym kraju, a nawet za granicą – mówi Kaliman. Nie proszą o uczestnictwo tych, którzy są pod okupacją. To ze względu na ich bezpieczeństwo, bo częstsze są teraz przeszukania. Na terenach okupowanych Rosjanie przygotowują właśnie swoje wybory samorządowe – przez Ukrainę i większość świata nieuznawane.

Wróciło Robotyne

Choć niewiele było wskazówek, jak postępować, gdy Kaliman odtwarzał w Zaporożu samorząd Wasiliwki, to mógł liczyć na pewne wzorce. Wcześniej, na początku maja 2022 r., Ołeksandr Czub został pierwszym w obwodzie zaporoskim nominowanym przez prezydenta Zełenskiego szefem administracji wojskowej. Obaj musieli przecierać szlaki i przełamywać utarte biurokratyczne schematy.

Przed nominacją Czub był sekretarzem rady miejskiej Tokmaku, kiedyś 36-tysięcznego miasta oddalonego o 100 km na południowy wschód od Zaporoża. Rosjanie zajęli je trzeciego dnia inwazji. – To nieduże miasteczko, pełne róż. Mało kto o nim słyszał. A teraz mówią o nim wszyscy – zaznacza Czub.

Tokmak jest dziś jednym z celów ukraińskiej kontrofensywy na południu, która od trzech miesięcy powoli posuwa się naprzód. Miasto jest węzłem logistycznym. Jego utrata utrudniłaby Rosjanom transport wojsk i sprzętu, osłabiając ich zaplecze.

Podczas kontrofensywy ukraińska armia odzyskała kontrolę nad wsią Robotyne, która należy do hromady tokmackiej. Teraz to jedyna nieokupowana miejscowość z tej hromady. Czub przekazywał informacje wojskowym, gdzie przebywa jedenaścioro ostatnich mieszkańców, którzy zostali we wsi, gdy trwały o nią walki. Z niektórymi udawało się czasem skontaktować, stąd urzędnicy byli na bieżąco.

Dzięki temu, gdy do wsi weszła ukraińska 47. Brygada Zmechanizowana, udało się ewakuować ośmioro – zostali wywiezieni w bojowych wozach piechoty. Jeden mężczyzna, ranny odłamkiem w szyję, trafił do szpitala na okupowanych terytoriach. Z dwójką nie ma kontaktu. W chwili naszej rozmowy żołnierze szukali ich w ruinach wsi.

Ewakuowanych przywieziono do Zaporoża. Tu mogli odpocząć, umyć się i najeść do syta. – Kiedy daliśmy im chleb, rozpłakali się – mówi Czub.

Musimy mieć z kim wracać

Na biurku Ołeksandra Czuba leży ustawa o prawie stanu wojennego. Zawiera też wytyczne dotyczące działania samorządów. Jedno to teoria, a drugie praktyka.

Czub obdzwonił wszystkich i stworzył swój zespół – najpierw na papierze. Wiedział, kto jest w Zaporożu, a kto pojechał dalej. Tych drugich zapewniał, że jak wrócą do Zaporoża, otrzymają swoje pensje. Na razie jednak musieli wierzyć mu na słowo, bo na przeszkodzie stała biurokracja. Nikt nie mógł zwolnić ich z funkcji w cywilnej administracji, a przez to nie dało się ich zatrudnić w nowej pracy. To jeden z dysonansów między teorią a praktyką. Mimo to ludzie wracali, choć oficjalnie przez kilka miesięcy nie byli zatrudnieni, a przez to nie dostawali wypłat. Ostatecznie administracja składa się z 12 osób.

Podobnie jak w przypadku hromady wasyliwskiej, znaczna część pracy zespołu Czuba to pomoc uchodźcom wewnętrznym. Tylko w Zaporożu jest ich zarejestrowanych ponad 3,6 tysiąca. Pomoc wysyłają też do tych mieszkańców hromady, którzy przebywają w Dnieprze, sąsiedniej metropolii.

– Naszym celem jest rewitalizacja naszej ziemi. A z kim tam wrócimy? Do domu pojedziemy z naszymi ludźmi. Musimy więc ich wspierać teraz, żeby potem oni wspierali nas podczas odbudowy – wyjaśnia Czub.

Szuka też miast partnerskich dla Tokmaku za granicą, w tym w Polsce.

Jeśli nas nie wyzwolą...

Wiktoria Halicyna jest w polityce dopiero od paru lat. Tak jak Kaliman przyszła do niej z rolnictwa, a także z biznesu turystycznego. W 2019 r., podczas wyborów, dołączyła w Berdiańsku do sztabu Wołodymyra Zełenskiego i jego partii Sługa Narodu. Dwa lata później została deputowaną rady miejskiej z tego ugrupowania.

Berdiańsk, przed inwazją 112-tysięczny, to kurort nad Morzem Azowskim. Został zajęty czwartego dnia inwazji. Halicyna wyjechała miesiąc później, gdy Rosjanie zaczęli rewizje. Jechała wraz z przyjaciółmi. Niemal na każdym rosyjskim posterunku coś im zabierano: a to komputer, a to pieniądze. Wreszcie żołnierz kazał jej oddać kurtkę. Pytali, dlaczego wiezie tak dużo bielizny. Dzisiaj z tego się śmieje, ale wtedy było strasznie.

Już w Zaporożu, początkowo zajmowała się wolontariatem w lokalnym ↦

↦ sztabie Sługi Narodu, który rozwoził pomoc humanitarną. 18 sierpnia 2022 r. została powołana decyzją prezydenta na funkcję szefowej administracji wojskowej Berdiańska (na wygnaniu).

– Zaczęła się ciężka praca i dużo nauki – przyznaje Halicyna. – Zawsze myślałam, że urzędnicy nic nie robią, tylko przekładają papiery. Bardzo za to przepraszam, bo to trudna praca, której nikt nie widzi. Wszyscy myślą, że skoro jakieś miasto jest okupowane, to jego władze nic nie robią.

Jak twierdzi, obowiązków jest równie wiele co w zwyczajnych czasach. Tworzą budżety, wypłacają pensje pracownikom, choćby nauczycielom, którzy uczą zdalnie. Są programy wsparcia uchodźców wewnętrznych. A także wsparcia wojskowych, co też wymaga różnych działań, w tym przygotowania licznych dokumentów i dostarczania potem pomocy na tereny przyfrontowe.

– Uważam, że środki powinny być przeznaczone zwłaszcza dla żołnierzy. Jeśli oni nas nie wyzwolą, to nie będzie czego odbudowywać – mówi Halicyna.

Plany na deokupację

Halicyna ma na myśli zadania, które postawiły przed nią władze obwodu zaporoskiego: każda jednostka terytorialna ma być przygotowana do natychmiastowego powrotu do swojego miasta czy wsi po ich wyzwoleniu. Ludzie Kalimana już rozpisali cały plan. Wszystkie hromady robią zapasy leków i wyposażenia dla szpitali, pozyskują karetki, a także wozy strażackie, pompy do wodociągów oraz żywność.

Szykują się na najgorszy scenariusz: że po powrocie zastaną wszystko zniszczone lub rozkradzione. Muszą mieć wszystko, by zapewnić wracającym mieszkańcom bezpieczeństwo, dostęp do prądu i wody, do służby zdrowia, a dzieciom do edukacji.

Ołeksandr Czub wierzy, że plan będzie można wkrótce wcielić w życie. Wydrukowany trzyma w teczce na biurku. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Malarz Efren Cortes przygotowuje prace na wystawę z okazji 50. rocznicy puczu i obalenia prezydenta Allende (na obrazie). Santiago, 31 sierpnia 2023 r.

Najdłuższa sprawa Nelsona Caucoto

MAGDALENA BARTCZAK

50 lat temu zamach stanu w Chile dał początek dyktaturze wojskowej. Dziś pamięć tych wydarzeń jest nadal żywa, a społeczeństwo – głęboko podzielone w ich ocenie.

Jest wrzesień 1973 r. Pedro Barrientos Núñez ma 26 lat, kruczoczarne włosy i pewne siebie spojrzenie. Jest porucznikiem w chilijskiej armii. Służy w pułku, który w połowie miesiąca zostaje skierowany na Stadion Narodowy, by pilnować aresztowanych.

Gdy pewnego dnia w tłumie więźniów rozpoznaje charakterystyczną twarz, krzyczy do towarzyszy: „Przyprowadźcie tego bydlaka do mnie!". „Bydlak" to 40-letni Víctor Jara – piosenkarz i poeta, członek Komunistycznej Partii Chile. Bard socjalistycznej rewolucji, na której czele od 1970 r. stał prezydent Salvador Allende. Na widok sławnego artysty Núñez wyciąga broń i strzela – raz, drugi, kolejny... łącznie padają 44 strzały.

Tamten wrzesień

„Doświadczanie historii w Ameryce Łacińskiej jest doświadczaniem fragmentacji, kataklizmów i geograficznego szaleństwa" – mówił w 1967 r. gwatemalski pisarz Miguel Asturias w mowie noblowskiej. To adekwatne porównanie do realiów Chile, raz na jakiś czas gwałtownie przełamującego się na pół. Albo raczej: rozpadającego się na wiele niepasujących do siebie kawałków. Jeden z takich momentów nadszedł 11 września 1973 r., gdy pucz przerwał rządy demokratycznie wybranego prezydenta Allende.

Zaczął się w portowym Valparaíso. O 6.30 rano marynarze opuścili swoją bazę i zajęli ulice. Do nich zaczęły przyłączać się kolejne formacje. O ósmej wojsko otoczyło centrum Santiago, nad stolicą pojawiły się myśliwce. Kluczowy moment nastąpił parę minut przed południem: na pałac prezydencki spadło blisko 20 rakiet, budynek stanął w ogniu. Allende odmówił podania się do dymisji i opuszczenia kraju. Wkrótce popełnił samobójstwo.

Zaczęły się aresztowania. Wojsko przejęło media. O godzinie 22 radio i telewizja wyemitowały komunikat. Na nagraniu widać twarze członków junty, którzy podjęli decyzję o przewrocie. Przy stole siedzą admirał José Toribio Merino, szef sztabu lotnictwa Gustavo Leigh i komendant policji César Mendoza. Miejsce po-

ESTEBAN FELIX / AP / EAST NEWS

środku należy do 58-letniego Augusta Pinocheta, który do spisku przeciwko Salvadorowi Allende dołączył niemal w ostatniej chwili. Dwa tygodnie wcześniej prezydent awansował go na komendanta głównego armii.

Ten wieczór jest ostatecznym końcem dawnego świata i początkiem nowego: Pinochet składa przysięgę i przejmuje władzę na następne 17 lat.

Choć w marcu 1990 r. odda ją – po demokratycznych wyborach z końca 1989 r., poprzedzonych wcześniejszym o dwa lata plebiscytem – jego rządy nieodwracalnie zmienią Chile. Były dyktator umrze w 2006 r., ale na swój sposób pozostanie nieśmiertelny.

Całym życiem

Nieśmiertelny stał się też Víctor Jara, który zginął w tym samym miejscu, gdzie parę lat wcześniej, we wrześniu 1969 r., dał jeden ze swych legendarnych koncertów. Jego śmierć stała się symbolem zbrodni popełnionych w czasie dyktatury Pinocheta.

W dniu puczu był wśród pierwszych aresztowanych, którzy trafili na stadion zamieniony w centrum zatrzymań. Zanim zginął, przez cztery dni był torturowany. Obcięto mu język, aby nie mógł śpiewać, oraz palce u dłoni, by nie mógł grać na gitarze.

W lipcu 2023 r. historia ta wróciła – w związku z finałowym etapem wieloletniego procesu dotyczącego jego zabójstwa. Sprawę prowadził Nelson Caucoto: prawnik, który całe zawodowe życie poświęcił obronie praw człowieka i pomaganiu ofiarom reżimu. Zaczął to robić ponad 40 lat temu, działając w Wikariacie Solidarności, instytucji kościelnej powołanej w 1976 r. przez arcybiskupa Raúla Silvę Henríqueza dla prześladowanych.

Dziś Caucoto przyznaje, że przypadek Jary należy do najdłuższych, przy których przyszło mu pracować. – Ta sprawa trafiła do mnie w 1999 r, gdy do mojego biura przyszły wdowa po Víctorze i ich dorosła już córka, która w chwili śmierci ojca miała kilka lat – wspomina Caucoto w rozmowie z „Tygodnikiem". – Poprosiły o pomoc. Wcześniej, jeszcze pod koniec lat 70., ich oskarżenie wraz z zeznaniami świadków trafiło do sądu, ale do końca lat 80. z oczywistych względów temat był zamknięty. Mimo dostarczanych do sądu pism śledztwa nie podjęto także później. Kobiety czuły się bezsilne.

Śmierć Jary to jedna z kilkuset spraw, które odłożono na sądowe półki. Dopiero pod koniec lat 90. podjęto pierwsze śledztwa i postępowania karne dotyczące tortur, zaginięć i zabójstw z lat 1973-90. Pierwsze wyroki zapadły w 2005 r.

Choć wraz z powrotem demokracji uchylono amnestię, oprawcy długo pozostawali bezkarni. Opublikowany w 1991 r. Raport Rettiga opisywał przypadki łamania praw człowieka podczas dyktatury, ale nie przełożył się na ściganie sprawców. Wielu funkcjonariuszy reżimu utrzymało stanowiska, przywileje i wpływy.

Tak było również w przypadku Pinocheta, który do 1998 r. był głównodowodzącym armii, a potem otrzymał tytuł *senador vitalicio* – dożywotnie stanowisko senatora wraz z immunitetem. Podobnie jak inni wysocy oficerowie odpowiedzialni za pucz, nigdy nie poniósł odpowiedzialności za swoje czyny.

Oddalenie

Minęło pół wieku, a stosunek do Pinocheta wciąż dzieli społeczeństwo.

Przez jednych pamiętany jako zbrodniarz, przez innych jako wyzwoliciel, patriota i mąż stanu. Dla jednych jego rządy to czas strachu, bezsilności i mroku. Dla innych – przedmiot nostalgii. Te różnice w postrzeganiu przeszłości wracają za każdym razem, gdy pytam o ocenę junty. Słyszę odpowiedzi tak różne, że trudno ułożyć je w jednoznaczną syntezę.

– To nie jest takie czarno-białe, jak można by sądzić. Choć reżim przyniósł wiele zła, to nie wiadomo, do czego doprowadziłyby dalsze rządy Salvadora Allende, które zmierzały w stronę komunistycznego modelu obecnego na Kubie – słyszę od Mauricia, od którego przed laty wynajmowałam pokój w Santiago.

Mauricio pracuje w Banco de Chile i jest niemal rówieśnikiem dyktatury, przyszedł na świat parę miesięcy po puczu. Wydaje się daleki od usprawiedliwiania zbrodni, jakie popełniano podczas rządów Pinocheta. Ale przyznaje, że nie jest w stanie do końca go potępić – choćby dlatego, że wyprowadził gospodarkę na prostą.

O generała pytam też Anę, dziennikarkę urodzoną w połowie lat 80. Choć pochodzi z rodziny o prawicowych przekonaniach, nie ma wątpliwości: lata wojskowego reżimu były czymś najgorszym, co mogło się przytrafić jej krajowi.

– Nie mieści mi się w głowie, jak można usprawiedliwiać autorytaryzm i zbrodnie przeciw ludzkości, w tym 40 tys. przypadków tortur oraz 3,5 tys. zabójstw i zaginięć, faktem, że Chile zaczęło odnosić ekonomiczne sukcesy. Tym bardziej że nie stały się one wcale udziałem większości Chilijczyków, ale zaledwie garstki społeczeństwa – mówi Ana.

Im więcej czasu mija od upadku reżimu, tym bardziej te różne wizje historii się od siebie oddalają. Potwierdzają to sondaże prowadzone przez ośrodek Latinobarómetro. O ile jeszcze 10 lat temu przewrót postrzegało negatywnie 68 proc. społeczeństwa, a tylko 16 proc. uważało, że działania wojskowych były słuszne, o tyle proporcje z lipca tego roku wyglądają inaczej: 41 proc. ocenia pucz negatywnie, a 36 proc. twierdzi, że był uzasadniony.

To znaczy, że nigdy wcześniej junta nie była postrzegana tak pozytywnie, jak właśnie teraz, gdy mija 50 lat od zamachu stanu.

Wokół rocznicy

Okrągła rocznica ożywia nie tylko wspomnienia, ale też niezażegnane spory o dziedzictwo reżimu. I konflikty o to, jak powinno się tę datę traktować.

Jak co roku, choć tym razem ze szczególną siłą, powraca krytyka obchodów ze strony polityków prawicy i skrajnej prawicy, którzy przy tej okazji zwykle mówią jednym głosem: upamiętnianie wydarzeń z 1973 r. jest według nich niepotrzebnym rozdrapywaniem narodowych ran, polaryzującym jeszcze mocniej społeczeństwo. Wielu z nich, jak były prezydent Sebastián Piñera, zachowuje wobec obchodów dystans; odmawiają udziału w wydarzeniach organizowanych przez lewicowy rząd prezydenta Gabriela Borica.

Kontrowersje wokół 50. rocznicy pojawiają się nie tylko po prawej stronie sceny politycznej. Podzielone wydaje się także środowisko ofiar dyktatury.

W lipcu głośno zrobiło się o dymisji Patricia Fernándeza – pisarza i dziennikarza, który jako doradca Borica pełnił funkcję koordynatora tegorocznych obchodów. Fernández był krytykowany przez niektórych polityków (m.in. ministra sprawiedliwości i praw człowieka), aktywistów i członków stowarzyszeń zrzeszających ↦

↦ rodziny osób zaginionych. Zarzucali mu zbyt lekkie podejście do tematu i relatywizację ówczesnych wydarzeń.

Po rezygnacji Fernándeza nie wyznaczono na jego stanowisko nowej osoby, w rządowym sztabie organizującym obchody rocznicowe zapanował chaos, a dyskusje jej dotyczące stały się po obu stronach jeszcze bardziej burzliwe.

Te powracające konflikty rozczarowują społeczeństwo. Poczucie zmęczenia tym tematem wśród Chilijczyków znacząco wzrosło, co widać w sondażach: aż 48 proc. deklaruje, że temat obchodów stał się im obojętny, i tylko 25 proc. postrzega go jako coś ważnego. Aż 56 proc. pytanych sądzi, że wrześniowe obchody potęgują niezgodę; 40 proc. uznaje je za doświadczenie jednoczące. Nawet w tej kwestii trudno zatem o konsensus.

Sprawiedliwość po latach

Gdy na parę tygodni przed obchodami pytam Nelsona Caucoto, czemu sprawa Jary ciągnęła się tak długo i jej finał nastąpił dopiero po 50 latach, prawnik nie kryje emocji.

– To był wyczerpujący i żmudny proces – tłumaczy. – Samo namierzenie oficerów stojących za torturami i morderstwem trwało prawie dekadę. Wcześniej dużo czasu zajęło ustalenie, jak Jara zginął i kto był odpowiedzialny za jego śmierć. Według pierwszego wojskowego raportu, dostarczonego Międzyamerykańskiej Komisji Praw Człowieka, Jara zginął na ulicy, od przypadkowej kuli. Dotarliśmy jednak do świadków zabójstwa i wiadomo było, że to nieprawda. Potem miałem wiele trudności w ustaleniu, pod czyim dowództwem był stadion, gdy zamieniono go w centrum tortur. Przez lata próbowałem uzyskać tę informację od Sztabu Generalnego, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi. Długo nikt nie poczuwał się do odpowiedzialności: ani policja, ani wojsko, lotnictwo czy marynarka. To ciągłe odbijanie się od ściany było ogromnie frustrujące – przyznaje Caucoto.

Trudne było też postawienie wszystkich odpowiedzialnych oficerów przed sądem. Choć większość z nich usłyszała oskarżenia, to ten, który 44 razy strzelił do Jary, wciąż wymyka się wymiarowi sprawiedliwości.

Pedro Barrientos Núñez ma dziś 76 lat i od czasu powrotu demokracji mieszka za granicą, na Florydzie. Zdążył zostać

CAUCOTO ABOGADOS

NELSON CAUCOTO *całe zawodowe życie poświęcił obronie praw człowieka i pomaganiu ofiarom reżimu Pinocheta.*

ARCHIWUM PRYWATNE

ANA *pochodzi z rodziny o prawicowych poglądach, ale uważa, że lata junty były czymś najgorszym, co spotkało Chile.*

obywatelem USA (ożenił się z Amerykanką), co – jak przyznaje Caucoto – znacznie utrudnia ekstradycję, o którą chilijski sąd zaczął wnioskować w 2016 r., po namierzeniu byłego porucznika.

Zapytany o niego Caucoto odpowiada: – Oczywiście, ta bezradność jest dla mnie gorzka. Ale przyzwyczaiłem się, że te procesy trwają latami i mają złożoną naturę. Aktualnie otwartych jest blisko tysiąc spraw dotyczących zbrodni z okresu rządów junty. O większości z nich nie mówi się publicznie, ale wciąż zapadają wyroki.

– Przykładowo w 2022 r. Sąd Najwyższy skazał 33 funkcjonariuszy, m.in. członków tajnej policji DINA, w związku z zaginięciami z lat 1986-87 – wylicza prawnik. – Chile jest dziś demokratycznym państwem prawa, w którym są wszystkie możliwe narzędzia do wymierzania sprawiedliwości. I wierzę, że ona zawsze nadchodzi, nawet jeśli czasem trzeba na nią poczekać.

Sondażowe postscriptum

Prawomocny wyrok został wydany 29 sierpnia: sąd skazał na 8 lat więzienia byłego funkcjonariusza policji, który uczestniczył w porwaniu Jary, a na 25 lat sześciu byłych oficerów. Niedługo później nadeszła wiadomość, że jeden ze skazanych, 86-letni dziś Hernán Chacón Soto, popełnił samobójstwo. Stało się to, gdy przyjechali po niego policjanci, żeby zabrać go do więzienia. Emerytowany brygadier powiedział, że musi wziąć leki. Po chwili karabinierzy usłyszeli z jego sypialni odgłos wystrzału.

Chile dowiedziało się o tej samobójczej śmierci 30 sierpnia, w Międzynarodowym Dniu Ofiar Wymuszonych Zaginięć. Na jego okoliczność prezydent przedstawił rządowy Plan Nacional de Búsqueda – program poszukiwań prawie półtora tysiąca osób „zniknięty ch" przez reżim, których wciąż nie udało się odnaleźć.

Na ceremonii nie pojawili się przedstawiciele partii prawicowych. W kontrze wobec propozycji Borica stanęła zwłaszcza Partia Republikańska, której lider José Antonio Kast często powołuje się na dziedzictwo Pinocheta i deklaruje sympatię dla jego postaci.

Sondaże pokazują, że właśnie ta partia cieszy się dziś największym zaufaniem społecznym. Socjolodzy tłumaczą to wieloma czynnikami – m.in. silnymi nastrojami antyimigracyjnymi, wzrastającym poczuciem braku bezpieczeństwa z powodu rosnącej przestępczości oraz kryzysem zaufania wobec partii lewicowych (to także reakcja na przypadki korupcji i nepotyzmu z ostatnich miesięcy).

Konstytucyjny paradoks

Rosnące poparcie dla partii Kasta znalazło odzwierciedlenie także w majowych wyborach do zgromadzenia, które – po tym, jak społeczeństwo odrzuciło wcześniejszy projekt – ma przygotować nową propozycję konstytucji. Aż 35 proc. konstytuanty stanowią aktualnie przedstawiciele Partii Republikańskiej, ponad 20 proc. członkowie pozostałych partii prawicowych, a tylko ok. 29 proc. koalicja reprezentująca lewicę, będącą tym samym w mniejszości.

Jest to paradoksalne o tyle, że właśnie skrajna prawica, przywiązana do dotychczasowej ustawy zasadniczej, napisanej w latach reżimu Pinocheta, najbardziej sprzeciwiała się jej zmianie.

Niewykluczone więc, że projekt nowej konstytucji, który wedle dawnych zamierzeń miał pogrzebać spuściznę rządów Pinocheta, będzie jej wzmocnieniem lub przedłużeniem.

Wszystko wskazuje na to, że Chile – kraj dwóch osobnych, funkcjonujących obok siebie pamięci – nadal negocjuje swoje podejście do historii. I że jeszcze długo nie rozstanie się z przeszłością.

© MAGDALENA BARTCZAK

CARL COURT / GETTY IMAGES

Londyńczycy protestują przeciw zaostrzonym przepisom o emisji spalin, sierpień 2023 r.

Odetchnąć w Londynie

PATRYCJA BUKALSKA
Z WIELKIEJ BRYTANII

Brytyjską stolicę objęła strefa niskiej emisji spalin. Opinie za i przeciw są bardzo podzielone.

Wprowadzenie strefy, a właściwie jej rozszerzenie od końca sierpnia na całe miasto i przedmieścia – bo od kilku lat obowiązywała już w centrum – nie oznacza, że do Londynu nie można wjechać autem. Można, ale jeśli jest to auto starszego typu, wjazd jest kosztowny. Właściciel auta z silnikiem benzynowym zarejestrowanego przed rokiem 2006 lub z silnikiem diesla sprzed roku 2015 musi zapłacić za każdy wjazd 12,50 funta.

Takich pojazdów jest już stosunkowo niewiele, w całym Londynie ok. 700 tysięcy. Zdecydowana większość – według danych komunalnego przedsiębiorstwa Transport for London aż 9 na 10 – spełnia kryteria.

Dzięki strefie niskiej emisji spalin (*Ultra Low Emission Zone*, ULEZ) powietrze ma być czystsze i to ważny powód, bo jego zła jakość przyczynia się co roku do przedwczesnej śmierci 4 tys. londyńczyków.

Inicjatywa burmistrza Sadiqa Khana spotkała się jednak z silnym oporem lokalnych władz i części mieszkańców.

NAJPIERW KILKA GMIN miejskich starało się powtrzymać rozszerzenie strefy na ich teren w sądzie. To się nie udało, co skutkowało frustracją ich mieszkańców, ulicznymi protestami i aktami wandalizmu – zniszczono kilkaset kamer rejestrujących auta w nowym obszarze strefy. W internecie z kolei można znaleźć oferty sfałszowania danych auta tak, by mogło być zarejestrowane jako zgodne z wymaganiami ULEZ.

Strefa stała się sprawą polityczną. „Jestem po stronie kierowców" – deklarował niedawno premier Rishi Sunak, konserwatysta. Okazało się jednak, że rząd nie ma prawnych narzędzi, by zablokować rozszerzenie strefy. Burmistrz Khan, polityk opozycyjnej Partii Pracy, uważa, że słowa Sunaka to hipokryzja, i przypomina, że z inicjatywą strefy czystego powietrza jako pierwszy wyszedł Boris Johnson w czasach, gdy był burmistrzem stolicy (Khan objął po nim urząd w 2016 r.).

Khan zwraca też uwagę, że takie strefy istnieją już w innych miastach, np. Birmingham i Bristolu. Ale w Londynie ULEZ jest teraz największa i obejmuje obszar wszystkich 32 gmin miejskich, a nie tylko centrum. To 600 mil kwadratowych.

KWESTIA ZANIECZYSZCZEŃ w Londynie stała się głośna po tym, jak w 2013 r. w dzielnicy Lewisham po ciężkim ataku astmy zmarła 9-letnia Ella Adoo-Kissi-Debrah. Jak wykazało dochodzenie, do jej śmierci przyczyniło się zanieczyszczenie powietrza. Poziom dwutlenku azotu w rejonie domu Elli przekraczał wytyczne unijne i WHO.

Sadiq Khan sam został zdiagnozowany jako astmatyk w wieku 43 lat, a na stan jego zdrowia, według jego lekarza, miało mieć wpływ zanieczyszczone powietrze. Khan wspierał matkę Elli podczas dochodzenia w sprawie jej śmierci; popiera też propozycję wprowadzenia tzw. „prawa Elli": ustawy determinującej prawo do czystego powietrza.

Konieczności walki z zanieczyszczeniami nikt jednak nie podważa, a protesty wobec ULEZ mają przyczyny finansowe. Mimo programu wsparcia ze strony miasta – można uzyskać do 2 tys. funtów na wymianę auta (lub więcej, jeśli prowadzi się firmę) – części właścicieli starszych aut nie stać ani na nowsze modele, ani na wspomniane codzienne opłaty.

Media donoszą o seniorach, którzy nie będą mogli dojechać do lekarza czy na zakupy, i przedsiębiorcach, których biznesy mogą upaść. Jeden z nich, kierowca taksówki, zdecydował się nawet na strajk głodowy. „Mój partner zajmuje się pielęgnacją drzew, potrzebuje furgonetki. Do metra piły przecież nie weźmie" – słowa jednej z protestujących mieszkanek przytaczał „The Times".

Sprzeciw wobec ULEZ wynika też z tego, że strefa objęła gminy odległe od historycznego centrum Londynu, które są gorzej skomunikowane. Auto jest tam dla wielu koniecznością.

SADIQ KHAN nie ma jednak wątpliwości, że jego decyzja, choć trudna, była konieczna i stoją za nią dane naukowe. „Jestem po właściwej stronie historii" – mówi. Za rok w wyborach na burmistrza zobaczy, czy przekonał londyńczyków. Khan może wtedy ubiegać się o trzecią kadencję i kto wie, może w zwycięstwie pomogą mu głosy wyborców Zielonych. Za to kandydatka Partii Konserwatywnej Susan Hall zapowiada, że jeśli wygra, zniesie ULEZ i podejmie walkę z zanieczyszczeniami w inny sposób.

Pytani w sondażu o ULEZ, mieszkańcy Londynu z niewielką przewagą opowiedzieli się za rozszerzeniem strefy (47 proc. za, 42 proc. przeciw; według YouGov). Przy czym w samym centrum, gdzie strefa obowiązuje od kilku lat, popiera ją aż 62 proc. mieszkańców. Za to w gminach, które ULEZ obejmuje dopiero teraz, aż 51 proc. jest jej przeciwnych.

Czas pokaże, czy zmienią zdanie. ©

ODYSEJA JANINY

Po opuszczeniu łagru na Sołowkach usłyszała, że jej zesłany na Syberię mąż nie przeżył. To samo on usłyszał o niej. Historia polskiej rodziny, która po 1921 r. została w Związku Sowieckim.

ALEKSANDRA MAJDZIŃSKA

Tamta wiosna w Rydze była wyjątkowo wietrzna. Wiatr hulał po ulicach, uderzał w okiennice. W marcu 1921 r., w wysoko sklepionej sali kupieckiego Domu Bractwa Czarnogłowych, podpisywano warunki pokoju, który kończył wojnę polsko-bolszewicką.

Traktat ten oznaczał pokój (jak się okazało, na kilkanaście lat), a także kres nadziei dla półtoramilionowej rzeszy Polaków – bo wytyczona wschodnia granica pozbawiała ojczyzny i ojcowizny tych, którzy się za nią znaleźli. Stali się obywatelami sowieckimi. Słup graniczny nr 0 wbito nad rzeką Dziśną, na styku Polski i Łotwy, a ostatni, z numerem 2290, nad Dniestrem na granicy z Rumunią.

WŚRÓD PORZUCONYCH i przerażonych Polaków była rodzina Nowosieleckich.

Mieszkali w kolonii Geraldówka, kilka kilometrów od nowej granicy. Solidny drewniany dom zbudował własnymi rękami Paweł Nowosielecki. Musiał być spory, by pomieścić gromadkę ośmiorga dzieci, których doczekał się z Petronelą Łabędzką. Dorobili się dwóch krów i pary koni, które Paweł co niedzielę zaprzęgał. Jechali do oddalonej o 12 km Horodnicy. Tam, w kościele św. Antoniego, Paweł pełnił służbę kościelnego.

Przez całe lato 1921 r. Paweł z Petronelą zastawiali się, co robić. Gdy było po żniwach i w Horodnicy specjalna komisja wbijała słupy graniczne, poszedł do księdza. „Muszę ratować życie moje i rodziny" – mówił, rozglądając się, czy nikt nie słucha.

Kilka dni później, gdy księżyc był w nowiu, a wiatr kołysał sitowiem nad Słuczą, stanął z córką Janką nad brzegiem rzeki. Po drugiej stronie miał mu pomóc umówiony polski żołnierz. Spojrzał przed siebie, na płytki tu nurt Słuczy, na czerniejący po drugiej stronie las i chciał zobaczyć ostatni raz błękitne oczy córki, które pewnie błyszczały od łez. Przytulił ją i wszedł pewnie do rzeki, znał tu przecież każdy kamień.

Janina patrzyła za ojcem, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół tej chwili. Dopiero po jakimś czasie, gdy wśród wrześniowej nocy usłyszała znajomy głos i melodię pieśni maryjnej „Po górach, dolinach", zrozumiała, że tato jest w Polsce. Wtedy się rozpłakała.

W NASTĘPNĄ NIEDZIELĘ jechali na sumę bryczką. Powoził brat Janki, Tomasz. Po mszy ksiądz poprosił ich do zakrystii. Nie był sam. „Trzeba pomóc tej pani – wskazał na młodą kobietę w rogu. – Musi przejść na drugą stronę". Spojrzeli po sobie. Tomasz był przeciwny. Odmówili.

Dwa lata później, gdy Janka od dziewięciu miesięcy była już szczęśliwą żoną krawca Kazimierza Naglewskiego, o świcie do drzwi zapukało NKWD. „Zbierajcie się" – usłyszeli.

Za przemyt ludzi przez granicę, szpiegostwo i współpracę z Polską Organizacją Wojskową (było to standardowe oskarżenie) skazali ją na rozstrzelanie. Doniosła kobieta, której nie pomogli. Sąd się zlitował, zamienił wyrok: 10 lat na Wyspach Sołowieckich.

WYSPY TE – sześć dużych i kilkadziesiąt małych – leżą pod kołem podbiegunowym na Morzu Białym. Latem słońce prawie nie zachodzi, zimą dzień trwa niespełna dwie godziny. Morze odmarza na trzy miesiące, a niskie temperatury, wiatry i sztormy towarzyszą tam ludziom przez resztę roku. Doskonałe miejsce odosobnienia. W XV w. prawosławni mnisi założyli tu monastyr. Pięć wieków później zjawili się bolszewicy. Stworzyli Sołowiecki Obóz Specjalnego Przeznaczenia, SŁON – pierwszy obóz koncentracyjny, szkołę dla czekistów, prototyp systemu Gułag, piekło na ziemi.

„Z więźnia musimy wycisnąć wszystko w ciągu pierwszych trzech miesięcy, potem już nic nam po nim" – miał mówić Naftali Frenkel, twórca obozowej maszyny. Najważniejsza jest wydajność. Metody są bez znaczenia. Oblewanie nagiego wodą na mrozie, przywiązywanie latem do drzewa na żer komarom i bicie, bicie, bicie.

Wydajność obozu była modelowa: w latach 1930-33 zbudowano Kanał Białomorsko-Bałtycki, łączący Bałtyk z Morzem Białym. 227 km kanału kopali łopatami więźniowie. Sołżenicyn napisał później, że zginęło przy tym 250 tys. ludzi – jeden człowiek na metr wybudowanego kanału.

ARCHIWUM RODZINNE

Zdjęcie ślubne Janiny Nowosieleckiej i Kazimierza Naglewskiego. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w Horodnicy (dziś w obwodzie żytomierskim).

ZANIM TRAFIŁA na Sołowki, Janina Nowosielecka przeszła przez punkt przesyłowy w porcie Kiem. Tu więźniowie byli poddawani bezmyślnej musztrze, tu łamano charaktery i odbierano nadzieję. Gdy lód puścił, załadowano ich na barkę i przewieziono na Wyspy. Wtedy zrozumieli, że Kiem to tylko wrota piekieł.

W 1924 r. w obozie było ok. 3 tys. więźniów. Gdy siedem lat później w tej samej Zatoce Pomyślności Janina wsiadała na statek, aby wrócić do domu, w obozie było już 71 tys. skazanych.

Pracowała przy wyplataniu sieci, kopaniu torfu, później w kuchni. W barakach biegały po nich szczury. Janina miała 19 lat i była ładna. Któregoś wieczoru brygadzistka spojrzała po pryczach i powiedziała, zatrzymując wzrok na niej: „Nina, ty dziś pójdziesz do naczelnika". „Nigdzie nie pójdę. Umrę, a nie pójdę".

Za odmowę trafiało się do karceru: wybetonowanej dziury w ziemi zamykanej kratą. Albo na wyspę Muksałma, gdzie trzymano ludożerki. Za rubla, za pół rubla, za 15 kopiejek – taka była cena kobiety na Sołowkach.

Janina przeżyła karcer. Przeżyła też wizytę pisarza Maksyma Gorkiego w 1929 r., gdy wybrali najładniejszych, nakarmili i ustawili do zdjęcia. Gorki napisał wtedy reportaż „Sołowki".

W ROKU 1932, po siedmiu latach łagru, w podarowanym ubraniu i powtarzając w głowie słowa: „Tylko po drodze nie mów o Sołowkach", wróciła do Geraldówki, do matki.

Ojca nigdy już nie spotkała, zaginął gdzieś w Polsce. Zaczęła poszukiwania swojego Kazika, który jako mąż „wroga ludu" został zesłany na Syberię do obwodu kemerowskiego.

Zaczynał się głód i – jeszcze o tym nie wiedzieli – zbliżała się Operacja Polska NKWD. Na razie wywozili tych znad pasa granicznego. Potem, na mocy rozkazu nr 00485 z 11 sierpnia 1937 r., wydanego przez komisarza spraw wewnętrznych Nikołaja Jeżowa i zatwierdzonego przez Stalina oraz Biuro Polityczne, zamordowanych zostanie ponad 100 tys. ↦

↦ Polaków, a drugie tyle wywiezionych do Kazachstanu i na Syberię.

Janka tłukła w stupie (drewnianym moździerzu) zboże na kaszę i przeżywała list, który przyszedł kilka dni wcześniej z informacją, że jej Kazik miał wypadek podczas budowy BAM-u – kolei bajkalsko-amurskiej – i zginął na miejscu. Odtąd nazywać go będzie „mój świętej pamięci Kazik" i w głębi duszy tęsknić za nim cały czas.

Z zamyślenia wyrwało ją stukanie do drzwi. „Zbierajcie się" – usłyszała znajome słowa.

BYŁ ROK 1936. Kazali im wynieść się do stodoły, bo za drzwiami czekała już ukraińska rodzina, by zająć ich dom, ten zbudowany przez Pawła. Dwa tygodnie koczowali w stodole, czekając, aż podstawią bydlęce wagony na stację w Żytomierzu. Potem przez miesiąc jechali w nich coraz dalej na wschód – do Kazachstanu.

Janka zabrała do wagonu, prócz książeczki do nabożeństwa, także stupy, pierzyny, poduszki i stada łaciatych kur, a także adlera – maszynę do szycia, która potem nieraz ratowała ich od śmierci głodowej.

Jechała Petronela i siódemka jej dzieci, bo najstarsza córka, Teofila, mieszkała już osobno z mężem i dwójką synów.

Choć Teofila nie podzieliła losu deportowanego rodzeństwa, więcej już miała się z nimi nie spotkać. To było jesienią, jej mąż szedł do lasu szykować drewno na zimę. Teofila była w zaawansowanej ciąży, źle się czuła, prosiła męża, by zabrał obu synów ze sobą do lasu. Nie chciał, chłopcy byli jeszcze mali i trzeba było na nich uważać, ale w końcu się zgodził ku radości maluchów. Gdy pod wieczór wracali do domu, zobaczyli dymy nad zagrodami – według przekazu rodzinnego do wsi weszli banderowcy. Znaleźli potem Teofilę w polu, z rozprutym brzuchem (później, po II wojnie światowej jej ocalały mąż i dwaj synowie osiedli we Wrocławiu).

WYSADZILI ICH w stepie, Petronelę i jej dzieci, wetknęli pałkę w ziemię i powiedzieli: tu będzie wasza wieś. *Toczka* (punkt) nr 2, zwana Donieckoje. Cztery kilometry dalej – *toczka* nr 1, Kalinówka. Wszystkich *toczek* w rejonie czkałowskim powstało trzynaście. Jako specprzesiedleńcy nie mieli prawa się przemieszczać, co miesiąc musieli się meldować. Wykopali nory łopatami, które przywieźli ze sobą.

W pierwszym roku dużo ludzi zmarło. 60 km od *toczki* nr 2 było Borowoje – bór sosnowy, do rewolucji Burabaj, popularny kurort Kazachstanu. Przywozili stamtąd drewno i piłowali deski na trumny dla zmarłych i na łóżka dla żywych.

Potem z tego drewna nauczyli się robić formy do produkcji samanu – cegły z gliny. Brało się żółtą glinę, dodawało posiekanej słomy, dolewało wody i wyrabiało nogami, potem przekładało do formy i suszyło w słońcu. Z takich cegieł budowali domki ze słomianym dachem, który latem porastał walerianą uwielbianą przez koty. Zimą ściany wewnątrz pokrywał lód. Trudno było ogrzać taką izbę – paliło się piołunem albo kiziakiem, krowim łajnem zbieranym ze stepu. Worek suszonego kiziaku był więcej wart niż złoty pierścionek.

ARCHIWUM RODZINNE X3

Janina z drugim mężem, także Kazimierzem, oraz z córką Lusią. Kazachstan, 1947 r.

Janina (pierwsza z lewej) na Wyspach Sołowieckich. Propagandowe zdjęcie zrobione podczas wizyty w łagrze pisarza Maksyma Gorkiego, 1929 r.

W ROKU 1937 Janka decyduje się wyjść za mąż. Kazimierz to Polak z jej stron, z Horodnicy. Rok później rodzi się ich pierwsza córka Kazimiera. Gdy nieco podrosła, brudną rączką zatarła oko, wdało się zapalenie i trzeba było jechać do punktu medycznego. Felczerka podała krople, ale pomyliła butelki i zamiast leku zakropiła kwas. Dziecko zmarło.

Janka długo dochodziła do siebie po stracie. Mechanicznie wykonywała prace w kołchozie, siała, pieliła i wyrywała buraki, marchew, kapustę i w myślach rozmawiała ze swoim świętej pamięci Kazikiem.

Brat Janki – Adolko na niego wołali – pracował w polu przy żniwach i podczas przerwy na posiłek próżno szukał kawałka mięsa w zupie. „W Niemczech chyba lepiej psy karmią niż nas tutaj" – powiedział. O czwartej rano przyszli i znowu padło: „Zbieraj się". Tym razem z komentarzem: „Sprawdzisz, jak psy karmią w Niemczech". Adolka więcej nie zobaczyli.

Lusia – urodzona w Kazachstanie córka Janiny – już w Polsce, w Sopocie. Rok 2007.

W ROKU 1941 rodzi się Ludmiła, Lusia. To z nią rozmawiam w małym domku w Sopocie i zagłębiam się w rodzinne historie i albumy.

– Do siódmego roku życia siedziałam na piecu razem z babcią Petronelą, nie miałam butów ani ubrań, by chodzić po śniegu – mówi pani Lusia. – Z babcią rozmawiałam tylko po polsku, ona innego języka nie znała. Kiedy poszłam do pierwszej klasy, to na każdej przerwie uciekałam do domu, bo nic nie rozumiałam.

Szkoła była po rosyjsku. Lekcje odbywały się w baraku z samanu. – Ten barak dotąd śni mi się po nocach – wspomina pani Lusia. – Miałam taki patyczek ze stalówką do pisania i kałamarz. Mama uszyła mi worek na książki i wyhaftowała na nim mak. Taka byłam dumna z tego tornistra. Mama szyła po nocach, bo w dzień pracowała w kołchozie. Zrobiła wykrój i szyła kalosze, potem walonki. A i tak często chodziliśmy głodni. Ludzie pracowali przy żniwach, a jednego kłoska nie mogli do domu przynieść. Naczelnik na koniu nahajką okładał za kilka kłosów schowanych pod bluzką. „Ty kurwo, oddaj, co wzięłaś" – po polsku, bo to Polak był, ten sam, który doniósł na mojego wujka Adolka.

– Ziemia była żyzna, na polach jednego roku siali proso albo pszenicę, drugi rok ziemia odpoczywała i jak spadł ciepły deszcz, wysypywały się pieczarki, wszyscy je zbierali – opowiada. – Dzieci też musiały pracować, wyrywaliśmy piołun z pszenicy albo zbieraliśmy kiziak po stepie. Przed domem mieliśmy letnią kuchnię, to znaczy dwa żeliwne baniaki, w których gotowało się zupę. Jednego razu ugotowałam ją sama, z kopru i zieleniny, zanim mama wróciła z pracy. Byłam szczęśliwa, że mogę pomóc mojej mamie. Bo wtedy na świecie był już mój młodszy brat Józef, który teraz mieszka w Rosji w omskim okręgu.

– POZWOLILI WRACAĆ w roku 1948. Tato zebrał dokumenty, szliśmy 24 km do stacji kolejowej w Tajynszy, żeby go odprowadzić. My także mieliśmy wyjechać, dołączyć do taty. Ale nie zdążyliśmy, zamknęli wyjazdy, zostaliśmy na stepie. 16 lat płakałam za tatą. Zobaczyłam go dopiero jako 25-latka, byłam już mężatką. Z taty rodziną nie utrzymywaliśmy zbytnio kontaktu, z czternaściorga jego rodzeństwa raz tylko przyjechał do nas wujek Bronek i przywiózł jabłka.

Do tej pory Lusia pamięta ich zapach. – Tato już nigdy nas nie odwiedził, założył nową rodzinę w Horodnicy, mam trzy przyrodnie siostry – mówi. – Przy wypisywaniu świadectw ukończenia szkoły okazało się, że mam na imię Larysa, bo tak miała na imię córka kochanki ojca, dyrektorki szkoły, w której ojciec był magazynierem. Mama się rozpłakała, gdy to się okazało. Bo miałam być Ludmiłą. Choć naprawdę to nią byłam i jestem po dziś dzień.

– Mama rzadko płakała, była silna i opanowana – wspomina. – Pamiętam tylko te dwa momenty: moje imię i śmierć babci Petroneli. Babcia miała udar, nie udało się jej pomóc. Mama wysłała mnie do sklepu po satynę, bo w sklepie na dolnej półce zawsze była czarna satyna na bluzki i spódnice do trumny. Kiedy wróciłam, mama była cała we łzach i tak mocno mnie przytuliła. Zamówiła wyjazdowe konie, w kołchozie była para takich koni do ślubów, pogrzebów i delegacji. Dwa dni później odprowadziliśmy babcię na cmentarz za wsią. Przed trumną szło dwóch chłopaków i nieśli czarne foręgwy (chorągwie), a za trumną mama śpiewała „Gorzkie żale". Mama wszystkich odprowadzała na pogrzebach i wszystkim śpiewała po polsku, i Białorusinom, i Ukraińcom, i Niemcom, bez różnicy.

↦

OPUSZCZONA PRZEZ MĘŻA, Janina znalazła pracę w szpitalu jako kucharka. Była już emerytką, gdy po Wielkanocy zaszedł do niej wuj Henryk, brat jej ojca. Krzątała się po domu. „Janka, usiądź" – poprosił i uważnie patrząc jej w oczy, powiedział: „Twój mąż żyje".

„No przecież wiem, że żyje, w Horodnicy".

„Nie, Janka, twój pierwszy mąż, świętej pamięci Kazik, żyje".

Spotkali się po 33 latach. Przyjechał do Donieckoja w garniturze i lakierowanych butach. Jemu też po skończeniu wyroku powiedziano, że Janina Nowosielecka nie przeżyła Sołowek. Ożenił się znów, odchował troje dzieci, a gdy tamta żona zmarła, postanowił odnaleźć grób Janiny i napisał do rady wiejskiej w Horodnicy. Ta przesłała list do Kazachstanu.

Janka miała 55 lat, Kazik był pięć lat starszy, gdy po raz drugi zaczynali wspólne życie, przerwane przed 33 laty przez NKWD. „Janiu, teraz będziemy żyć, zobaczysz – tak mówił. – Wyremontujemy ten dom, dostawimy jeszcze jedną izbę".

ARCHIWUM PRYWATNE

Paweł Nowosielecki, ojciec Janiny

Lato było w pełni, a oni budowali dom i nowe życie we dwoje. Kazik miał doświadczenie w budowlance i robota sprawnie mu szła. Rano jak zwykle wyszedł do studni po wodę, do tej samej, którą zesłańcy wykopali łopatami zaraz po przyjeździe. Wyciągnął pełne wiadro, zachwiał się, oparł ręką o cembrowinę. Upadł. Byli razem 27 dni.

Zabrakło Kazika, zabrakło łez. Janina znów zamawiała konie, chłopaki nieśli chorągwie, a ona śpiewała „Gorzkie żale".

– PO ŚMIERCI KAZIKA mama powiedziała: „Wrócił, żebym go pochowała" – opowiada pani Lusia. – Jego nie było, ale mama ciągle o nim mówiła, więc był z nią przez cały czas. Nawet kiedy znowu go nie było, gdy mieszkała u mnie w Iliczowce, on ciągle był z nią. Mama zmarła w dzień Zesłania Ducha Świętego w 1994 r. Prosiła, żeby pochować ją w Donieckoju, przy jej córce i mamie.

Takie życie.

– Czy coś tam zostało? – powtarza moje pytanie. – Tylko groby.

Pani Lusia milknie wpatrzona w jeden punkt przed sobą, a potem patrzy na mnie załzawionymi oczami: – Łudziłam się, że mama nigdy nie umrze i będę mogła jeszcze ją o to wszystko zapytać.

© ALEKSANDRA MAJDZIŃSKA

Tekst powstał w ramach stypendium dla twórcy kultury z budżetu Województwa Pomorskiego.

REKLAMA

EPICKA HISTORIA O RELIGII, ZEMŚCIE I WŁADZY

WIELKA UCIECZKA

ZABILI KRÓLA.

JAKĄ CENĘ BĘDĄ MUSIELI ZAPŁACIĆ?

NOWA POWIEŚĆ

ROBERTA HARRISA

Jedna z najbardziej wciągających książek Roberta Harrisa. To jego najlepsza powieść od czasu Vaterlandu.

„Sunday Times"

WYDAWNICTWO ALBATROS

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 38/2023

historia na głosy

29.09–1.10.2023

V KONGRES ARCHIWÓW SPOŁECZNYCH

centrum archiwistyki społecznej

MICHAŁ DYJUK / CENTRUM ARCHIWISTYKI SPOŁECZNEJ

JOANNA ŁUBA – wicedyrektorka Centrum Archiwistyki Społecznej, historyczka, dokumentalistka i badaczka emigracji.

KATARZYNA ZIĘTAL – dyrektorka Centrum Archiwistyki Społecznej, od 11 lat zaangażowana w rozwijanie dziedziny oddolnego dokumentowania historii.

Z uważnością i empatią

KATARZYNA ZIĘTAL I JOANNA ŁUBA Z CENTRUM ARCHIWISTYKI SPOŁECZNEJ

Spotkamy się w Lublinie na V Kongresie Archiwów Społecznych, tematem głównym będzie historia mówiona.

GRZEGORZ NUREK: Czym na co dzień zajmuje się Centrum Archiwistyki Społecznej w Warszawie?

KATARZYNA ZIĘTAL: Reprezentujemy instytucję państwową, która wspiera obywatelski ruch archiwistyki społecznej. Nasza działalność skupia się na edukowaniu (jak pozyskiwać zbiory, archiwizować i udostępniać zebrany materiał, jak zdobywać fundusze na działalność) i inspirowaniu tego ruchu. Organizujemy kongresy, podczas których mogą się spotkać archiwiści z całej Polski. Chcemy być instytucją, dzięki której działania oparte na pasji zyskują większą stabilność. Jednym z naszych najważniejszych działań jest stworzenie przestrzeni, gdzie archiwiści społeczni z całej Polski udostępniają swoje zbiory – to portal zbioryspoleczne.pl. Chcemy pokazywać społeczeństwu, że archiwistyka społeczna istnieje i jest ważna. Bo my sami, jako zespół CAS, nieustannie zdumiewamy się różnorodnością archiwów społecznych. To dziedzina piękna i ważna – tak dla społeczeństwa, jak i dla dziedzictwa.

JOANNA ŁUBA: Archiwa społeczne gromadzą cenne zbiory (fotografie, pamiętniki, relacje ustne). Są wśród nich dokumenty wpisane na światową Listę Programu UNESCO „Pamięć świata", spuścizny wybitnych fotografów, jak też unikalne amatorskie fotografie ulic, które zniknęły po wojnie, czy nagrania zwykłych ludzi, którzy żyli w niezwykłych czasach. Gdyby nie archiwa społeczne, nie moglibyśmy poznać historii wielu grup społecznych, zawodowych, mniejszości. Same byłyśmy archiwistkami społecznymi przez wiele lat, teraz chcemy upowszechniać wiedzę o istnieniu takich archiwów.

Czym w takim razie jest archiwistyka społeczna, jaka jest jej rola?

KZ: Trzeba zdać sobie sprawę, że w dokumentacji dla przyszłych pokoleń przechowuje się zazwyczaj historię polityczną i losy wybitnych jednostek. Im bardziej dokument jest osobisty, nieformalny, lokalny, tym mniejszą ma szansę się zachować. Archiwiści społeczni dokumentują właśnie te historie. Przeglądają stare kroniki szkolne, docierają do archiwów dawnych zakładów pracy, kontaktują się z lokalnymi stowarzyszeniami, nagrywają opowieści swoich sąsiadów. To otwarcie się na wielogłos, szacunek dla pamięci jednostkowej – bo każda osoba ofiarowująca swoje zbiory lub składająca relację przynosi własną pamięć.

Uważam, że archiwa społeczne zmieniają myślenie o historii i sposobie zachowywania śladów przeszłości. Oddają głos tym, którzy dotychczas go nie mieli. Zaskakuje nas, w jakich miejscach mogą powstawać archiwa. Zgłaszają się do nas na przykład koła gospodyń wiejskich albo stowarzyszenia hodowców gołębi. Istnieje archiwum społeczne polskiego internetu i archiwum założone przez warszawskie pielęgniarki. Dokumentuje się też na przykład sztukę performatywną lat 90. w Polsce. Niemal każdy temat może być przedmiotem zainteresowania archiwistów.

JŁ: Archiwa społeczne, co ważne, odpowiadają na potrzeby danego miejsca i społeczności. Archiwiści mogą na przykład pytać o rolę kobiet w historii danej miejscowości. Inni zastanawiają się nad tożsamością miejscowości, którą przed wojną zamieszkiwały mniejszości narodowe, bo chcą przywracać pamięć o nieobecnych już sąsiadach. To też tworzenie nowych wspólnot.

Bardzo interesujący był projekt „Stocznia jest kobietą" Stowarzyszenia Arteria. Archiwistki wysłuchały relacji kobiet pracujących w Stoczni Gdańskiej jako księgowe, suwnicowe, magazynierki, inżynierki. Na początku pomysł spotkał się z niedowierzaniem. Czym ich historia różni się od historii mężczyzn tam pracujących? – pytały kobiety. Już po nagraniach przyznawały: „Tak, jednak my, kobiety miałyśmy wspólną, nieco inną historię od mężczyzn. Nagrania miały sens". To przykład budowania nieuświadomionej wcześniej wspólnoty. I bardzo ważne zadanie publiczne – leczące pamięć, działające na kanwie historii, ale mające wpływ na te-

raźniejszość. Archiwa społeczne to emanacja społeczeństwa obywatelskiego.

Możemy już mówić o ponad 700 archiwach społecznych w Polsce. Czy wyrastamy na potęgę w tej dziedzinie?

KZ: Archiwa społeczne istnieją w niemal każdym kraju, ale nie zawsze są tak nazywane. To naturalny, społeczny odruch, aby dokumentować historię, która nie będzie zachowana, jeżeli nie zbierze się relacji i dokumentów. Nie znaleźliśmy natomiast jeszcze kraju, w którym istniałaby instytucja państwowa taka jak nasza – zajmująca się archiwami społecznymi. Istnieją organizacje pozarządowe, które się w tym specjalizują. W Polsce w ostatnich latach zaszło kilka procesów i zjawisk, które sprzyjają rozwojowi archiwistyki społecznej: zainteresowanie lokalnością i historią, rozwój ruchu animatorów kultury, którzy chcą ożywiać dziedzictwo i przedstawiać je społeczności.

Ważnym aspektem jest cyfryzacja – mamy teraz wszyscy dostęp do wiedzy, która wcześniej była zarezerwowana dla środowiska naukowego czy eksperckiego, łatwo więc możemy się dowiedzieć, jak zbiory digitalizować czy opisywać. Internet umożliwia także łatwe dzielenie się zbiorami. W mediach społecznościowych archiwiści zamieszczają starą fotografię i społeczność zaraz ją komentuje, dopowiada, kto może na niej być, gdzie i w jakich okolicznościach została wykonana, albo – jakie ma związane z nią wspomnienia. Informacja zwrotna jest bardzo szybka, to daje archiwiście ogromną satysfakcję.

Organizują Państwo już V Kongres Archiwów Społecznych. Czym będzie się różnił od czterech poprzednich?

JŁ: W tym roku spotkamy się w Lublinie, pod hasłem „Historia na głosy". Kongres przygotowujemy we współpracy z Ośrodkiem Brama Grodzka – Teatr NN i Instytutem Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Tematem głównym będzie historia mówiona, czyli zbieranie relacji od bezpośrednich świadków historii. Każdy z nas ma przecież blisko siebie opowieść wartą opowiedzenia i zachowania. Uczestnicy Kongresu dowiedzą się, jak dobrze przeprowadzić rozmowę, jak ją nagrać (poruszymy kwestie techniczne i etyczne). Co zrobić, aby taka relacja nie zamilkła w archiwach – bo to dość częste. Będziemy też prezentować instytucje zaangażowane w archiwistykę, a także projekty artystyczne i edukacyjne inspirowane historią mówioną.

W przestrzeni Lublina zaprezentują Państwo sylwetki czworga bohaterów. Możemy już zdradzić, kto to będzie?

JŁ: Będą to osoby, które złożyły swoje relacje w archiwach historii mówionej. Raczej osoby niepubliczne, które doświadczyły w życiu niezwykłych historii. Na przykład pani, która uczęszczała do przedszkola mieszczącego się w dworku „Milusin" Józefa Piłsudskiego. Pamięta, że jadła zupę pomidorową w salonie Piłsudskiego. Zderzenie wielkiej historii z tym, co każdemu z nas mogło się przytrafić.

Każdy może też odwiedzić Bramę Grodzką. Ośrodek od lat dokumentuje dawne życie miasta, w tym nieistniejącej już dzielnicy żydowskiej. Czy można to uznać za przykład dla innych miejscowości?

KZ: Ich działalność trwa już od początku lat 90., a zaczęła się od teatru alternatywnego. Ośrodek z pewnością zmienił oblicze Lublina. Zawsze stawiał sobie za cel dokumentację historii, która nie jest widoczna, np. historię dawnych żydowskich mieszkańców miasta albo dźwięków dawnego Lublina. Ta działalność może inspirować inne archiwa – jak zmieniać myślenie mieszkańców o swojej własnej historii, jak przełożyć to na przestrzeń miasta.

JŁ: Brama Grodzka ma ogromne zbiory historii mówionej. Nagrywali relacje mieszkańców nie tylko w Lublinie, ale w całej Polsce i na świecie. Udało się im utrwalić wspomnienie o codzienności miasta, co ma ogromną wartość.

Ważnym akcentem tegorocznego Kongresu będą świadectwa wojny z powstającego Ukraińskiego Archiwum Społecznego.

KZ: W ubiegłym roku prowadziliśmy szkolenie dla osób z Ukrainy, jak zakładać archiwa społeczne. Ten ruch przed rozpoczęciem pełnoskalowej wojny w Ukrainie nie był znacząco widoczny. Po wybuchu wojny zastanawialiśmy się, czy szkolenia mają sens. Okazało się, że ich uczestniczki bardzo były archiwistyką społeczną zainteresowane. Niektóre z nich zajmowały się wcześniej dokumentowaniem np. Pomarańczowej Rewolucji. Wraz z wybuchem obecnej wojny tym bardziej czują potrzebę takich działań. Cały czas wspieramy ten ruch.

JŁ: Historie, które teraz ukraińskie archiwistki zbierają, pochodzą od ludzi w wojennej traumie. Takie rozmowy trzeba nagrywać z dużą uważnością i empatią. To ogromnie trudne zadanie – dokumentacja bardzo aktualnej historii.

O czym jeszcze trzeba wspomnieć w kontekście Kongresu?

JŁ: Kongres to trzy dni wypełnione spotkaniami, warsztatami i prezentacjami. Jest otwarty dla wszystkich, którzy chcieliby wziąć w nim udział i którym bliskie jest mówienie o historii z perspektywy drugiego człowieka. Spotykamy się stacjonarnie w Lublinie. Kongres będzie miał także odsłonę internetową, w programie online można wziąć udział poprzez platformę kongres.cas.org.pl. Zapraszamy tych, którzy chcieliby rozpocząć swoją przygodę z archiwistyką społeczną, z drugiej strony też tych, którzy chcieliby nagrać relacje swoich dziadków czy osobę, która ma coś ciekawego do powiedzenia, a nie wiedzą, jak się do tej pracy zabrać. Zaproszeni eksperci poradzą, jak nagrać relacje, aby być z nich zadowolonym nawet po wielu latach.

KZ: Często pada pytanie: czy każdy może zostać archiwistą społecznym? Tak, każdy, kto chce. Każdy może znaleźć wokół siebie tematy warte udokumentowania. Pracownicy Centrum Archiwistyki Społecznej są gotowi pomóc.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

V KONGRES ARCHIWÓW SPOŁECZNYCH

odbędzie się w dniach
29 września - 1 października w Lublinie.

Udział w wydarzeniu jest bezpłatny.

Aby uczestniczyć w nim online,
należy zarejestrować się na stronie

kongres.cas.org.pl

Archiwiści

GRZEGORZ NUREK

Centrum Archiwistyki Społecznej szacuje, że mamy w kraju ponad 700 archiwów społecznych. Jak opisać to bogactwo nagrań i fotografii, jak przybliżyć pasję tysięcy ludzi, którzy codziennie dokumentują historię dla nas i przyszłych pokoleń?

Nagrywanie wywiadu z Olimpią Dąbrowską przez Agnieszkę Kajdanowską z Białostockiego Ośrodka Kultury, wrzesień 2019 r.

Najbardziej zapadają mi w pamięć opowieści najdawniejsze, bo wydaje mi się zupełnie magiczne, że rozmawiam z ludźmi, którzy z autopsji, z własnych doświadczeń pamiętają okres międzywojenny. Niektórzy z nich byli na pogrzebie marszałka Józefa Piłsudskiego. Bardzo wiele i bardzo mocnych wspomnień towarzyszy rozmowom o II wojnie światowej. Jedno ze wspomnień szczególnie zapamiętałem – mówi Przemysław J. Olszewski z Fundacji Animacja z Warszawy.

– Pan Krystyn opowiadał, że jako mały chłopiec jeździł w okresie okupacji niemieckiej czterokołowym rowerkiem ulicą Jagiellońską. Na tej ulicy było i do dziś jest znakomite liceum im. Króla Władysława IV, wtedy zamienione na szpital dla żołnierzy Wehrmachtu. Przed wejściem na warcie stało dwóch żołnierzy. I kilkuletni Krystyn podjeżdżał do nich, wyciągał drewniany, własnoręcznie wyciosany karabinek, celował w okupanta i wołał „tra ta ta". Niemcy podejmując konwencję zabawy udawali charakterystyczne przy rozstrzelaniu konwulsje. Mały performer w dowód uznania otrzymywał pomarańczę lub inny owoc. Podczas wojny to był rarytas, który mógł być wymieniany na inne produkty, takie jak chleb. Aż któregoś razu jadąc rowerkiem w stronę wartowników zauważył, że jeden z Niemców biegnie do kolejki ludzi, która stała do rzeźnika i wyciąga z niej za długie włosy Żydówkę. Ciągnie nad pobliski rynsztok i fachowo strzela jej w głowę. Chłopiec już nigdy do tych żołnierzy nie podjechał. A tę historię usłyszałem jako odpowiedź na pytanie: „Czy mama czytała panu na dobranoc bajki?". Pan spytał mnie: „Jak panu się wydaje, czy ja po tym mogłem słuchać bajek?". Ta wstrząsająca opowieść trafiła do albumu „Praga gada. O wojnie!". Autorem komiksowych kadrów został znany meksykański rysownik Tony Sandoval – opowiada Olszewski.

Fundacja Animacja wpadła na pomysł, by nie tylko nagrywać seniorów z warszawskiej Pragi, ale by na podstawie wybranych nagrań tworzyć komiksy, a potem promować je na festiwalach, festynach, targach, i tak przybliżać młodzieży historię.

– We mnie i w moich współpracownikach nie ma zgody na to, że ludzie, których nigdy nie poproszono o publiczną wypowiedź, odchodzą z tego świata, a ich losy pozostają nieznane, nieodkryte. Tymczasem w biografii każdego można znaleźć historie niesamowite, czasem bardzo osobliwe, innym razem uniwersalne, z których wyłania się wyrazista tożsamość zbiorowa charakternego prażanina – tłumaczy Olszewski.

O represjonowanych na Wschodzie

Podobnie myśli Dominik Czapigo z Fundacji Ośrodka Karta: – Wywołujemy źródła, aby mogły służyć w przyszłości. Najważniejszym celem nagrań nie jest jednak konkretna wystawa, publikacja, podkast, ale utrwalenie i zachowanie opowieści w archiwum dla przyszłych pokoleń. Często nasi rozmówcy na propozycję spotkania i nagrania odpowiadają: „Nie jestem bohaterem/bohaterką, niczego niezwykłego nie zrobiłem/zrobiłam", albo: „Jestem zwykłą kobietą". Tłumaczymy wtedy, że każdy jest ekspertem od historii własnego życia, że „pani lub pana historia dla nas wiele znaczy, chcemy ją zapisać".

– Karta jest organizacją pozarządową. Ludzie, którzy tworzyli ją jeszcze w podziemiu, już pod koniec lat 80. zaczęli nagrywać historie, na które nie było wtedy miejsca w oficjalnej historiografii: relacje osób represjonowanych przez reżim stalinowski na Wschodzie. Zebrany wtedy zbiór – nikt nie używał jeszcze w tamtym czasie określenia „historia mówiona" – nazwano Archiwum Wschodnim. Stał się on kamieniem węgielnym przyszłego Archiwum Historii Mówionej Karty, które od 2006 r. prowadzone jest wspólnie przez Kartę i Dom Spotkań z Historią, warszawską instytucję kultury. To archiwum liczy teraz ponad 6 tysięcy nagrań. Można ich posłuchać w Archiwum Karty lub Domu Spotkań z Historią, poprosić też o dostęp online do wskazanych nagrań – opowiada Czapigo.

– W latach 2006-2011 realizowaliśmy jeden z większych projektów dokumentacyjnych historii mówionej „Polacy na Wschodzie". Zespół ludzi, byłem też jego częścią, jeździł wtedy na tereny wschodnie byłej II Rzeczypospolitej, ale nie tylko, bo także do Rumunii, Kazachstanu, Rosji, i nagrywał historie mieszkających tam Polaków. Podczas tych wyjazdów udało się nam nagrać opowieści ponad tysiąca osób, które tam zostały na skutek

MARIUSZ BIECIUK / BIAŁOSTOCKI OŚRODEK KULTURY/ /CENTRUM IM. LUDWIKA ZAMENHOFA X2

Nagrywanie wywiadu z Tatianą Jasińską przez Mariusza Bieciuka z Białostockiego Ośrodka Kultury, czerwiec 2018 r.

zmiany granic państwowych lub były na przykład deportowane z Ukraińskiej SRR do Kazachstanu. Gotowa jest już książka, na którą składają się fragmenty tych opowieści, podsumowująca tamto doświadczenie – dodaje archiwista.

Trójmiejska scena artystyczna i głosy z Ukrainy

Aleksandra Grzonkowska z Fundacji Kultury Wizualnej Chmura zajmuje się z kolei dokumentowaniem przemian w sztuce w okresie transformacji ustrojowej. – Na razie udało się udostępnić online dziesięć nagrań rozmów z kuratorami i artystami, którzy w latach 90. tworzyli trójmiejską scenę artystyczno-kulturalną. Są to takie osoby jak m.in. Aneta Szyłak, Agnieszka Wołodźko, Grzegorz Klaman, Zbigniew Sajnóg.

Alina Doboszewska z Fundacji „Dobra Wola" z Krakowa i Jaryna Lazar, archiwistka z Kijowa, wspólnie w Polsce i Ukrainie pracują nad powołaniem do życia Ukraińskiego Archiwum Społecznego Historii Mówionej. – Najlepiej by było, aby powstało w Ukrainie niezależne od rządu i ukraińskiego IPN (który też prowadzi nagrania) społeczne archiwum historii mówionej. Od 2017 r. pomagamy naszym ukraińskim partnerom w jego tworzeniu – mówi Alina Doboszewska. – Dysponujemy siedemdziesięcioma opracowanymi nagraniami. Inne jeszcze opracowujemy, bo wszystkich nagrań mamy około dwustu. Są to różnorodne wspomnienia: przesiedleńców po II wojnie światowej, kobiet z czasów stalinowskich, kołchoźnic, ukraińskich działaczy społecznych, wolontariuszy z wojny w Donbasie. Odkąd zaczęła się pełnoskalowa wojna w Ukrainie, nagrywamy też uchodźczynie – mówi Jaryna Lazar.

Wielokulturowość, przełamywanie stereotypów

Pamięć o historycznych dzielnicach Lublina i Białegostoku, o społeczności żydowskiej ocalają chociażby Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN i Centrum im. Ludwika Zamenhofa.

– Mediateka CLZ, czyli archiwum historii mówionej miasta i regionu, istnieje od 2010 r. w ramach Białostockiego Ośrodka Kultury/Centrum im. Ludwika Zamenhofa. Nasze archiwum wyróżnia się skoncentrowaniem uwagi na wielokulturowym dziedzictwie Białegostoku. Miasto przed II wojną światową w 50 proc. zamieszkiwała społeczność żydowska. Byli również obecni protestanci, prawosławni i muzułmanie. Poszukujemy świadectw i relacji świadków dotyczących międzywojnia, wojny, ale również czasów powojennych. Z uwagi na patrona naszego centrum (Białystok jest kolebką esperanto) nagrywamy też białostockich esperantystów. W myśl idei naszego patrona staramy się być platformą dialogu, porozumienia ponad podziałami, nasze archiwum służy również przełamywaniu stereotypów – tłumaczy archiwistka z Centrum im. Zamenhofa, Agnieszka Kajdanowska.

– Pomysłodawcą programu Historia Mówiona w Ośrodku Brama Grodzka – Teatr NN był dyrektor Ośrodka Tomasz Pietrasiewicz. Pierwsze nagrania zostały zrealizowane w 1998 r. Były to wywiady z najstarszymi mieszkankami i mieszkańcami Lublina, które przybliżały wygląd i atmosferę miasta w dwudziestoleciu międzywojennym. Niezwykle ważne było dla nas wydobycie z pamięci naszych rozmówczyń i rozmówców opowieści o losach społeczności żydowskiej zamieszkującej nasze miasto i region. W poszukiwaniu tych historii wyruszyliśmy do Izraela, USA, Francji, Wielkiej Brytanii, Danii i Szwecji. Bardzo zależało nam, aby o świecie, który przestał w zasadzie istnieć, opowiedziały osoby, które ten świat współtworzyły. Ważnym i poruszającym wątkiem w tych relacjach jest Zagłada. W tej chwili mamy relacje ponad 2800 osób, co daje ponad 6 tysięcy godzin nagrań w wersji audio i wideo. To unikalne archiwum historii osób związanych z Lublinem i Lubelszczyzną. Nagrania są dostępne na stronie internetowej www.historiamowiona.teatrnn.pl, a te, które nie są opracowane, na miejscu w Bramie Grodzkiej – mówi Wiola Wejman z Ośrodka. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 38/2023
REDAKCJA: Grzegorz Nurek | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
GRAFIKA NA OKŁADCE: Wojciech Zamecznik, 1948 © Juliusz i Szymon Zamecznik / Fundacja Archeologia Fotografii
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska

ORGANIZATOR
centrum archiwistyki społecznej

V Kongres Archiwów Społecznych dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NAUKA

UWAGA!

Niektóre bodźce przyciągają nasze zmysły jak magnes, wszystko poza nimi staje się nieważne. Zwykle ratuje nam to życie – ale bywa też, że nas gubi.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Osiem, siedem, sześć... W 2015 r. w magazynie „Time" ukazał się artykuł pt. „Masz obecnie mniejszą zdolność koncentracji uwagi niż złota rybka". Według niego pozostało jeszcze jakieś pięć sekund, zanim coś cię rozproszy, bo ludzie potrafią skupić się średnio na osiem sekund, a złote rybki – na dziewięć. Tymczasem przecież wciąż prowadzimy samochody, bierzemy udział w długich dyskusjach i oglądamy pięć (albo dziesięć) odcinków serialu jeden po drugim. I wszystko to zadania, które wymagają od nas skupienia uwagi przez znacznie dłuższy czas niż kilka sekund.

Kto nie podał gorylowi

Jeżeli jesteś skupiony na czytaniu tego tekstu, to możesz nie zauważyć, że szew skarpetki na lewej stopie nieco cię uwiera, w pokoju zrobiło się nieco za chłodno albo że ktoś właśnie przeszedł za tobą na

palcach. To normalne – gdy koncentrujemy się na wykonywaniu jednej czynności, to poświęcamy mniej uwagi otoczeniu. Mimo to na ogół mamy wrażenie, że zdajemy sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół nas. Dlatego prosty eksperyment może nas wprawić w osłupienie.

Psycholog Daniel Simons ponad dekadę temu wrzucił do sieci nagranie, które wykorzystywał w trakcie badań nad niedoskonałościami naszej percepcji. Na filmiku (wyświetlonym już przeszło 29 mln razy) widać grupkę młodych dziewczyn i chłopców w białych i czarnych koszulkach, którzy rzucają między sobą piłkami do koszykówki. Zadanie jest proste: musimy policzyć, ile razy osoby w białych koszulkach podadzą piłkę między sobą. Zawodnicy zamieniają się miejscami, więc można mieć wątpliwości co do jednego albo dwóch podań (w sumie jest ich 15).

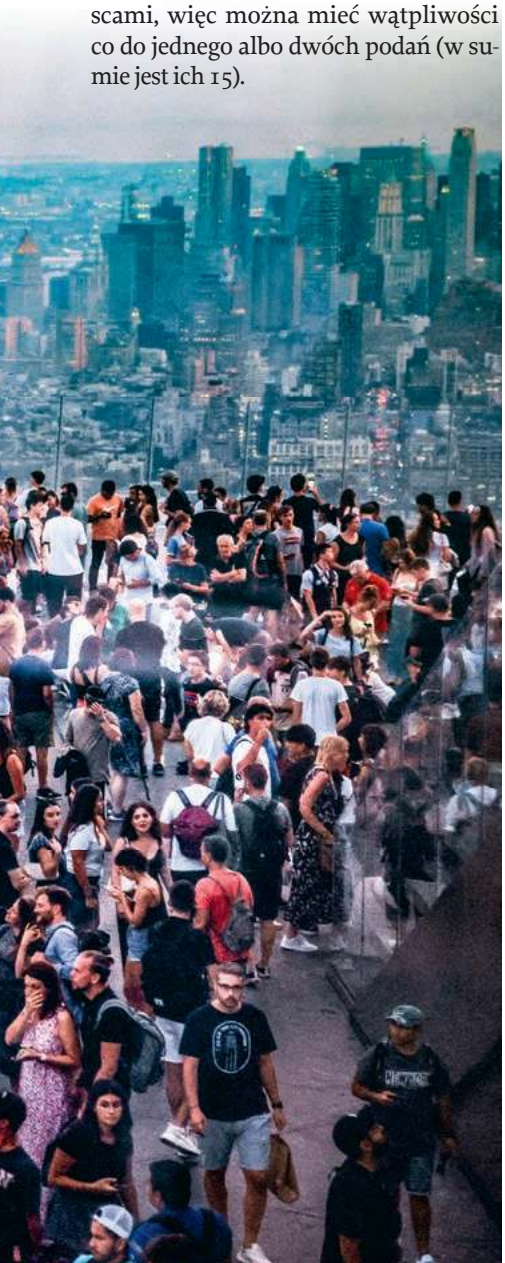

ANDREW KELLY / REUTERS / FORUM

Nowy Jork, 5 września 2023 r.

W trakcie gry na środek kadru wchodzi człowiek w przebraniu goryla, zatrzymuje się na chwilę, kilkukrotnie triumfalnie uderza dłońmi w piersi i odchodzi. Okazuje się, że wiele osób w ogóle go nie zauważa! Ok. 40 proc. badanych nie dostrzega przebierańca niespodziewanie pojawiającego się na środku ekranu. To powszechne zjawisko jest nazywane w psychologii ślepotą pozauwagową: umyka nam wiele informacji, które mamy tuż przed oczami.

Niestety, konsekwencje takiej prawidłowości bywają tragiczne – jeżeli kierowcy będą zanadto skupieni na wypatrywaniu jednego rodzaju zagrożenia, np. ludzi w żółtych kamizelkach na poboczu jezdni, to mogą nie zauważyć pieszych, którzy nie pasują do tego schematu.

Błyskające kwadraty

Uwaga to „posiadanie przez umysł w jasnej i żywej postaci jednego z wielu jednocześnie ujmowanych przedmiotów lub ciągów myśli" – jak pisał William James, amerykański filozof i psycholog żyjący na przełomie XIX i XX w. Dzięki dekadom badań dzisiaj możemy próbować zrozumieć i opisać stojące za nią mechanizmy.

System uwagi jest podatny na błędy, ale przede wszystkim chroni nasz umysł przed zalewem informacji. Szacuje się, że w każdej sekundzie do siatkówki oka docierają dziesiątki milionów bitów informacji. Przetwarzanie wszystkich rejestrowanych danych byłoby marnowaniem naszych poznawczych zasobów, dlatego nasz umysł dokonuje selekcji. To, co istotne dla naszego bezpieczeństwa albo wykonania ustalonego zadania, jest przeważnie skutecznie wychwytywane, a to, co nieistotne – ignorowane.

Najczęściej towarzyszy nam poczucie kontroli – sterujemy uwagą i może nam się wydawać, że zawsze zwracamy ją ku temu, co istotne. Ten tryb lub system uwagi nazywany jest endogennym (wewnętrznym). Bywa jednak i tak, że nagle rozlegnie się huk. Wtedy tracimy nad nią władzę – sama przełącza się na tryb uwagi egzogennej, czyli zewnętrznej i mimowolnej, reagując na bodźce niezależnie od naszej woli. Szczególnie szybko reagujemy na coś, co zaczyna się poruszać, wyróżnia się z tła albo jest głośne i pojawia się niespodziewanie – i to nawet wtedy, gdy to coś pojawia się na peryferiach naszej percepcji.

Różnice pomiędzy tymi dwoma typami uwagi są widoczne, kiedy stosuje się jedną z najpowszechniejszych metod jej badania, opracowaną przez psychologa Michaela Posnera. Na środku monitora wyświetla się punkt, a po jego obu stronach znajdują się dwa takie same kwadraty. Badani mają skoncentrować wzrok na centralnym punkcie, ale jednocześnie ich zadaniem jest reagowanie na określone bodźce, np. czerwoną kropkę, która będzie pojawiać się w kwadratach, raz po prawej, raz po lewej stronie. Jeżeli chce się zbadać uwagę endogenną, to tuż przed pojawieniem się bodźca można wyświetlić wskazówkę, np. strzałkę, która będzie wskazywała miejsce, w którym za moment pojawi się czerwona kropka. Mierzy się wtedy czas reakcji i stwierdza, w jakim stopniu wskazówka (albo dystraktor, jeśli wskazuje mylny kierunek) wpływa na czas reakcji.

Jeżeli wskazówka za każdym razem będzie pokazywać poprawną lokalizację czerwonej kropki, to badani na tym skorzystają – będą szybciej przekierowywać swoją uwagę do odpowiedniej lokalizacji. Jeżeli czasem będą wprowadzani w błąd, to w tych przypadkach ich reakcja będzie spowolniona. Jeżeli strzałka będzie pomocna w mniej niż połowie przypadków, to badani nauczą się, by nie korzystać z tej „podpowiedzi". Ale taka prawidłowość nie pojawi się, jeżeli uwaga będzie pracować w trybie mimowolnego sterowania. Jeżeli bodziec, czyli np. pojawienie się czerwonej kropki, poprzedzimy błyskiem jednego z kwadratów, to badany będzie traktował to jako wskazówkę nawet wtedy, gdy nie będzie mu pomagała, tylko przeważnie wskazywała błędny kierunek. To mało korzystne, bo czas naszej reakcji spada – ale nie jesteśmy w stanie powstrzymać tego przekierowania uwagi.

Zaglądanie do mózgu

W starożytności uwagę metaforycznie postrzegano jako promienie wydostające się z oczu, które padają na otoczenie. W latach 80. XX w. pojawiło się podobne ujęcie uwagi jako reflektora. Tak jak idąc przez ciemny las oświetlamy sobie latarką drogę, raz po raz kierując światło na krzaki, z których dochodzą niepokojące dźwięki, tak mielibyśmy ↦

↦ kierować uwagę na poszczególne obszary naszego otoczenia (rejestrowane przez różne zmysły) oraz naszych procesów psychicznych. Wielkość „snopa uwagi" może się też zmieniać, tak jak wtedy, gdy patrząc na drzewo z pewnej odległości, możemy obserwować je w całości albo skupić się na pojedynczej gałęzi. Badania sugerują jednak, że „latarka uwagi" działa nieco inaczej niż ta zwyczajna – podświetla raczej przedmioty albo ich cechy, a nie poszczególne fragmenty naszego otoczenia.

Aby to pokazać, zespół Kathleen O'Craven wykorzystał funkcjonalny rezonans magnetyczny. Badani patrzyli na dwa nakładające się na siebie obiekty – dom i ludzką twarz – z których jeden lekko się poruszał. Mieli skupiać się na jednym z nich, np. na twarzy. Każdy z tych dwóch obiektów jest przetwarzany w różnych i odległych od siebie obwodach mózgu, więc badacze byli w stanie rejestrować, którą część obrazka aktualnie przetwarza mózg. Okazało się, że u badanych aktywowały się tylko te obwody mózgu, które związane były z obiektem, na którym badani mieli się skupiać. Drugi obiekt, znajdujący się tuż przed oczami, zdawał się pozostawać w cieniu – nie padał na niego reflektor uwagi.

Mówiłaś o mnie?

Kiedy mechanizmy uwagi działają poprawnie, to nakierowane są na bodźce przydatne dla realizacji naszych celów (wykonanie jakiegoś zadania czy zidentyfikowanie zagrożenia). Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku istnieje mechanizm, który odpowiada za wybieranie tych miejsc – celowanie reflektorem uwagi w przestrzeń, przedmioty czy wydarzenia.

Donald Broadbent zaproponował, by ująć ten aspekt za pomocą metafory filtra – stwierdził, że uwaga dopuszcza do umysłu tylko te informacje, które spełniają pewne kryteria, a pozostałe są ignorowane, zanim zdążymy nadać im znaczenie. Filtrowanie miałoby się odbywać na wczesnym etapie przetwarzania informacji, na podstawie fizycznych cech bodźców. Ale przyjmując założenia Broadbenta, trudno jest wyjaśnić, dlaczego słyszymy swoje imię wypowiadane w gwarnym tłumie, nawet jeśli jesteśmy skupieni na czymś zupełnie innym. To zjawisko, nazywane efektem przyjęcia, wyraźnie sugeruje, że pewne bodźce trafiają do naszej świadomości ze względu na znaczenie, jakie dla nas niosą. Czyli – musiały zostać wcześniej przetworzone.

Mając to na uwadze, Anne Treisman poprosiła badanych, by powtarzali zdania nadawane do słuchawki umieszczonej w prawym uchu, a ignorowali te nadawane do lewego. W trakcie badania przekaz był zmieniany – kontynuacja historii z prawego ucha była nadawana do lewego i odwrotnie. Okazało się, że kilka procent badanych zaczęło się wtedy mylić – a więc przełączali uwagę w ten sposób, by wypowiadane zdania tworzyły sensowną całość. To wydaje się ilustrować, że nie zawsze pozostajemy ślepi i głusi na to, z czego widzenia i słyszenia nie zdajemy sobie sprawy.

Zdaniem Treisman o takim przełączaniu uwagi nie mogłoby być mowy, gdyby filtr działał na wczesnym etapie na podstawie samych cech fizycznych bodźców. Docierające do zmysłów informacje muszą być przetwarzane znacznie głębiej, niż sugerował Broadbent, ale część z nich jest osłabiana – stąd wzięła się tzw. teoria osłabiacza. Według niej sygnały są filtrowane po przetworzeniu i te, które przekraczają „wartość progową", docierają do naszej świadomości albo wywołują w nas jakąś reakcję, a pozostałe nie są całkowicie tłumione, ale osłabiane, więc nie jesteśmy ich świadomi. Nasze imię jest dla nas silnym bodźcem, bo jesteśmy z nim emocjonalnie związani i wypowiadanie go może być dla nas istotną informacją, a więc łatwo mu przekroczyć wartość progową. Ta ma zmieniać się dla różnych bodźców w zależności od naszych bieżących celów, motywacji i doświadczeń.

Uwaga się dzieli

W przypadku tej teorii powstaje jednak pytanie: co mózg zyskuje na osłabieniu części informacji, skoro i tak już dość kompleksowo je przetworzył? Treisman wspólnie z Danielem Kahnemanem zwrócili uwagę, że to, czy coś trafi do świadomości, wydaje się zależeć od trudności zadania, a analiza badań przeprowadzona przez psycholożkę Nilli Lavie to potwierdziła. To doprowadziło ją do stwierdzenia, że do każdego zadania angażujemy wszystkie zasoby uwagowe, które są dostępne. Ich dostępność jest zmienna, bo jeżeli zadanie jest łatwe, to selekcja nie jest konieczna i uwaga może pomieścić wszystkie zdarzenia. Jeżeli jednak zadanie jest bardzo trudne, tzn. wymaga wielu zasobów i znacząco obciąża percepcję, to część bodźców jest uznawana za nieistotne już na wczesnym etapie selekcji. Ta selekcja pozwalałaby mózgowi na zoptymalizowanie obciążenia w zależności od bieżących potrzeb.

Ten model sugeruje, że łatwo nas rozproszyć, gdy wykonujemy łatwe zadania, a trudniej – gdy trudne. Skoro trudne zadanie absorbuje więcej uwagi i część informacji musi zostać odrzucona, zanim będziemy mogli zdać sobie z nich

DOMENA PUBLICZNA

Zaburzenia i deficyty

PROBLEMY ze skupieniem uwagi (angielski skrót to *ADD*) często, choć nie zawsze, współwystępują z nadpobudliwością psychoruchową – wówczas mówimy o ADHD. Zaburzenie pojawia się w wieku dziecięcym, ale zmagają się z nim także osoby dorosłe. Jego przyczyna nie jest do końca jasna, choć wskazuje się na związek z działaniem dwóch neuroprzekaźników – dopaminy i norepinefryny. Pozytywne efekty daje przyjmowanie niektórych leków stymulujących pracę mózgu – prowadzą one do ograniczenia impulsywności, obniżają aktywność psychoruchową i ułatwiają skupienie.

POMIJANIE STRONNE jest kolejnym zjawiskiem, które próbuje się wyjaśniać poprzez zaburzenia uwagi. Dotknięte nim osoby przestają widzieć jedną ze stron w polu widzenia (zwykle lewą) – np. zjadają tylko z połowy talerza, golą połowę twarzy – ale nie ma to związku z ich systemem wzrokowym. Zaburzenie wynika z uszkodzeń określonych obszarów mózgu, najczęściej w prawej półkuli. Kiedy zwróci się uwagę badanych na pomijaną część, to zauważą, co tam jest – ale po chwili znowu przestaną zdawać sobie z tego sprawę. © KD

sprawę, to w trakcie wykonywania trudnych zadań bodźce znajdujące się na peryferiach pola widzenia powinny być szybciej odrzucane – a więc mniej rozpraszające – niż gdy wykonujemy łatwe zadanie i dostępnych mamy jeszcze dużo zasobów uwagowych. Gdy wykonujemy łatwe zadanie, jesteśmy w stanie przeanalizować więcej bodźców, więc wyraźnie docierają do nas dystraktory – jesteśmy bardziej rozproszeni. Badania potwierdzają te wnioski.

Na podstawie teorii Lavie z łatwością możemy rozstrzygnąć też kwestię podzielności uwagi. Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy w stanie jednocześnie chodzić i rozmawiać – i zwykle ani nie chodzimy przez to gorzej, ani nie mówimy mniej rozsądnie. Nie jest to jednak dowodem na podzielność uwagi, ale jedynie na możliwość wykonywania dwóch aktywności jednocześnie. Chodzenie jest czynnością na tyle zautomatyzowaną, że nie wymaga od nas zbyt wielu zasobów poznawczych. Im trudniejsze jest zadanie, tym więcej uwagi będzie angażować – i tym mniej zasobów będziemy mogli poświęcić na robienie czegoś innego. Badania regularnie pokazują, że np. rozmawianie podczas jazdy samochodem osłabia czujność kierowców i ogranicza ich zdolność do szybkiego reagowania na niespodziewane sytuacje.

Długo jeszcze?

Osiem sekund dawno minęło. Autor wspomnianego na początku doniesienia z „Time" twierdzi, że tyle wynosi nasz czas skupienia, powołując się na publikację firmy Microsoft, która z kolei odwołuje się do strony internetowej, na której opisano badania z 2008 r. poświęcone obserwacjom użytkowników korzystających z sieci. Badane wtedy osoby przebywały na większości odwiedzanych stron internetowych mniej niż dziesięć sekund – ale trudno powiedzieć, dlaczego powinniśmy uznać tę statystykę za wiarygodne oszacowanie zdolności koncentracji.

Określenie zdolności skupienia uwagi jest problematyczne, bo najprawdopodobniej taka uniwersalna wartość po prostu nie istnieje. Różni się w zależności od zadania, ale także w zależności od przejściowych czynników, takich jak motywacja czy samopoczucie.

Utrzymywanie uwagi jest szczególnie wymagające, jeżeli zadanie jest monotonne i polega na czujnym wyczekiwaniu na jakieś wydarzenie. Dotyka to np. pilotów samolotów w trakcie lotów bojowych. W 1948 r. brytyjski psycholog Norman Mackworth zbudował w swoim laboratorium kokpit samolotu, by móc badać czynniki wpływające na pracę lotników. Oprócz standardowych wskaźników zamontował dodatkowy, na którym cały czas, monotonnie obracała się wskazówka sekundnika, ale od czasu do czasu przeskakiwała o jedną pozycję za dużo. Badani mieli wypatrywać tej anomalii, a po jej dostrzeżeniu wcisnąć odpowiedni przycisk. Dzięki temu naukowiec mógł obiektywnie ocenić, kiedy czujność pilota spada. Okazało się, że piloci po pół godziny zaczynali popełniać znacząco więcej błędów.

Średni czas pozostawania użytkowników na stronach internetowych może ilustrować jakiś istotny aspekt naszej rzeczywistości – ale niewykluczone, że więcej mówi o mediach niż o odbiorcach. Strony internetowe, platformy społecznościowe, reklamy i komunikaty są stworzone po to, by przyciągnąć naszą uwagę. I wielu z nich się to udaje. A im więcej robi to skutecznie, tym trudniej skoncentrować się na jednej z nich. To może też wyjaśniać, dlaczego doniesienie rozniosło się szerokim echem, bo porównanie ludzi do złotych rybek, na dodatek na naszą niekorzyść, przykuwa uwagę natychmiast – nawet jeśli niewiele w nim prawdy.

Wszystko znika

Christof Koch, neurobiolog, pisze w podręczniku o swoim subiektywnym odczuciu bycia maksymalnie skupionym podczas wspinaczki: „Wszystko poza ruchami ciała i wyciem wiatru zostaje odsunięte w percepcyjną nicość". I cytuje alpinistę oraz pisarza Jona Krakauera: „Godziny mijają jedna po drugiej jak minuty. Zapominasz o wszystkich troskach i zamęcie codziennej egzystencji. Wypiera je z myśli przemożna klarowność celu i waga zadania, które sobie postawiłeś". Mihály Csíkszentmihályi, by określić stan całkowitego zatracenia się w wykonywanej czynności, używał terminu „przepływ" (ang. *flow*). Inni określają to także strefą (*zone*). Przepisem na osiągnięcie takiego stanu, według węgierskiego psychologa, ma być wykonywanie takiej czynności, która nie jest dla nas ani za łatwa, ani za trudna, a więc stanowi dla nas wyzwanie – ani nas nie frustruje, ani nie nudzi, więc jesteśmy ciągle zmotywowani. Powinniśmy także czuć, że kontrolujemy sytuację i nasze działanie ma wpływ na rezultat – jak ruchy surfera skupiającego się na utrzymaniu się na fali.

Csíkszentmihályi był jednym z twórców psychologii pozytywnej, czyli nurtu koncentrującego się na próbach zidentyfikowania źródeł dobrego samopoczucia i szczęścia. Według przeprowadzonych przez niego w latach 70. badań ankietowych (badani nosili przy sobie cały dzień pagery, które przypominały im o udzieleniu w różnych momentach odpowiedzi na kilka pytań) ludzie częściej doświadczają stanu przepływu nie w swoim czasie wolnym, gdy np. oglądają telewizję, ale w czasie wykonywania obowiązków służbowych, bo wtedy mogą w pełni wykorzystywać swoje umiejętności. Według Csíkszentmihályiego ludzie w stanie przepływu są bardziej zadowoleni, a pokonywanie wyzwań sprawiało, że respondenci czuli się szczęśliwsi, radośniejsi i silniejsi. Nawet pracownicy wykonujący pozornie najnudniejsze, bardzo powtarzalne manualne prace mieli czerpać z nich satysfakcję pod warunkiem, że szukali w zadaniu nowych wyzwań, jak np. znajdowanie bardziej efektywnych metod składania części albo ściganie się z samym sobą, co pozwalało im zachować motywację i angażować się w wykonywanie zadania. Dopóki potrafili zaangażować się w czynność, a ich uwaga pozostawała skupiona, oceniali swój nastrój jako bardziej pozytywny niż osoby, które były rozproszone i obojętne wobec swojego zajęcia.

Może zatem coś tracimy, jeżeli pochłania nas wir internetowych treści, nad którym nie mamy żadnej kontroli? Treści, które na parę sekund przykuwają naszą uwagę, jakby świat znikał, które co chwilę zmuszają nas do zainteresowania się czymś innym, bez przerwy.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Ministerstwo Edukacji i Nauki

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II"

JACEK

Podsiadło:

Niezwykły Polak Piotr Czaban

„Usnarz Górny to miejsce symboliczne..." – zaczął przemowę pod Płotem minister Błaszczak, a ja w duchu przyznałem mu rację. Do rangi symbolu urosło wiele z tego, co zaczęło się w okolicach Usnarza w sierpniu 2021 r. Symbolem stał się kot szesnastoletniej Mariam. Symboliczne było, że dzieciom w Michałowie jedzenie i słodycze trzeba było przerzucać przez ogrodzenie. Płot Błaszczaka stał się symbolem, Koń Kamińskiego metasymbolem. Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych nazwał „symbolem strasznej sytuacji ofiar handlu ludźmi" zdjęcie człowieka wiszącego do góry nogami na Płocie Błaszczaka. Filmik z jego upadkiem i drwinami klnącego jak szewc Nieznanego Żołnierza stał się symbolem m.in. przemiany w rozumieniu hańbienia munduru.

Gdyby minister umilkł w tym miejscu, chwila ciszy też miałaby znaczenie symboliczne. Ale on mówił dalej: „...jeśli chodzi o atak hybrydowy, który został rozpoczęty dwa lata temu. To atak, którego celem była destabilizacja Polski. Ten atak poprzedzał atak rosyjski na Ukrainę, a więc nie ulega żadnej wątpliwości, że te działania były skorygowane i uzgodnione na Kremlu. A więc mamy do czynienia z próbą ataku na wolny świat, dokonaną przez reżim, agresywny reżim, który próbuje odbudować imperium rosyjskie w Europie. Niestety, co mówię ze smutkiem, oprócz tego ataku ze strony białoruskiej, mieliśmy do czynienia z happeningami w wykonaniu środowisk związanych z polityczną opozycją, to właśnie w tym miejscu pewien poseł przeprowadził rajd z torbą reklamową, to właśnie w tym miejscu dwóch innych posłów z Platformy Obywatelskiej urządzało sobie happening w postaci próby dostarczania pizzy".

Z logiki niedostateczny z plusem. Plus za to, że chcąc powiedzieć „skoordynowane" minister wypowiedział słowo podobne do niego, a nie całkiem inne, i za determinację w dowodzeniu, że znęcając się nad bezbronnymi uchodźcami Wojsko Polskie składa daninę życia taką samą, a może i lepszą niż Ukraińcy ginący w walce z rosyjskim najeźdźcą.

„My mamy za zadanie chronić polskiej granicy – mówił dalej minister, a ja w myśli postawiłem mu niedostateczny z odmiany polskiej granicy przez przypadki. – A więc polska granica będzie chroniona. Jeżeli pan też będzie atakował polską granicę, wobec pana wyciągnięte zostaną konsekwencje". Tutaj minister straszył dziennikarza kanału Czaban Robi Raban, Piotra Czabana, który po słowach o pizzy głośno powiedział: „Panie ministrze, polska straż graniczna karmiła tych ludzi, zanim przyjechały media. Proszę nie kłamać!" – przy czym ostatnią kwestię powtórzył trzy razy.

Nie minęły dwie sekundy, a już Siły Szybkiego Reagowania stały przy Czabanie i wyciągały konsekwencje. „Nie mogę słuchać kłamstw, proszę mnie nie dotykać" – powiedział Czaban do Nieznanego Żołnierza, ostatnią kwestię wypowiadając dwukrotnie. Następnie przypomniał ministrowi prawdziwe skutki niedostarczenia pizzy: „Trzydzieści sześć osób zmarło w polskim lesie od czasów Usnarza!", w odpowiedzi na co minister zaliczył go do „ludzi, którzy sprawiają wrażenie, jakby współpracowali z Putinem". Przyszedł też do Czabana wyciągać konsekwencje prawdziwy Agent Ochrony: w ciemnych okularkach i z biegnącym do ucha kablem, takim sprężynowym jak w starych telefonach stacjonarnych. Nie przedstawił się. „W tej chwili pan zagraża mojemu tutaj bezpieczeństwu pana ministra" – powiedział, śmiesznie zadzierając przy tym głowę, bo dziennikarz przewyższał go pod każdym względem. „Pan mi stoi na nodze" – zwrócił mu uwagę Czaban. Agent przystąpił do wykonywania Czynności Służbowej, którą poseł Braun uznałby z pewnością za Napieranie Ciałem. „Pan zagraża...". „Nie, nie zagrażam. To pan mi zagraża". „Wykazuje pan, yyy, agresywne tutaj, yyy, zachowanie". Do Małego dołączył agent Niezwykle Umięśniony. Wywiązała się dłuższa dyskusja, w trakcie której Mały przekonywał Czabana, że powoduje zagrożenie, a Niezwykle Umięśniony, że zakłóca konferencję. „Jeśli pan się nie uspokoi, za chwileczkę przyjedzie tutaj patrol policji. Ja jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo tego miejsca" – straszył Mały. „Ja jestem spokojny" – uspokajał Małego Czaban. Minęło kilka chwil, kiedy nikt nic nie mówił, poza ministrem, który mówił: „Niestety, są też ludzie dziwni, którzy być może nie zdają sobie sprawy z konsekwencji swych działań...". Mały wyraźnie przemyśliwał, co dalej, po czym zaczął niemal krzyczeć na próbującego się skupić na ministerialnym przemówieniu Czabana: „W tej chwili utrudnia pan mi czynności. Proszę się uspokoić, dobrze?!". Czaban poprosił go, żeby się cofnął pół kroku, bo musi przenieść ciężar ciała z nogi na nogę.

Następnie zabrał głos odkrywca Konia Kamińskiego. Ponieważ przynudzał, a Mały ciągle nie trzymał dystansu, Czaban przeprowadził szybką lekcję wychowania obywatelskiego. Teraz to on szeptał Małemu do ucha: „Przez tydzień tutaj trzymali tych ludzi. A ci ludzie tutaj, miejscowi? Zabronili im przekazywania jedzenia. Zaczęli wykorzystywać tych ludzi, żeby ginęli w lesie. Sam trzy trupy znalazłem, wie pan? Trupy, które mogły uzyskać pomoc, ale przez szczucie tych właśnie osobników służby nie poszły do konających, kiedy jeszcze żyli".

W ciszy, jaka zapadła, słowa odkrywcy Konia Kamińskiego wybrzmiały ze szczególną mocą: „...nie dopuściliśmy do tego, obroniliśmy nasze granice i obronimy nasze granice, mając tak dzielnych żołnierzy, tak dzielnych funkcjonariuszy i poparcie zwykłych, normalnych Polaków!". I wtedy zrozumiałem, że plotąc swoje androny, ministrowie mówią Piotrowi Czabanowi niezamierzone i tym większe komplementy. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 38/2023

WAWEL: OBRAZ ZŁOTEGO WIEKU

Największa wystawa w historii Zamku

ANDRZEJ BETLEJ, DYREKTOR ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU

Odtworzymy panoramę kultury wizualnej i sztuki Rzeczypospolitej doby ostatnich Jagiellonów. Pragniemy, by wystawa trwająca od 15 września do 14 grudnia jak najpełniej mówiła nie tylko o dworze i dynastii, ale o wielu aspektach artystycznych i szeroko rozumianej kulturze.

GRZEGORZ NUREK: Dlaczego okres panowania dwóch ostatnich monarchów jagiellońskich uważany jest za złoty wiek polskiej kultury?

ANDRZEJ BETLEJ: Trzeba zacząć od geopolityki. XVI wiek – okres panowania Zygmunta Starego i Zygmunta II Augusta – to czas, gdy Rzeczpospolita przez połączenie Korony, Wielkiego Księstwa Litewskiego i zhołdowanie Państwa Krzyżackiego z odrębnych bytów państwowych staje się jednym z największych państw w ówczesnej Europie, a dynastia Jagiellonów urasta do jednego z najważniejszych graczy rozgrywających politykę europejską. Rzeczpospolita staje się krajem wielkiej różnorodności kulturowej i artystycznej. Państwo Jagiellonów łączy w sferze sztuki zarówno wpływy artystyczne z południa Europy, szczególnie włoskie, jak i z północy – z obszarów ówczesnego Cesarstwa Niemieckiego. Ta złożoność w połączeniu ze stosunkowo trwałym okresem spokoju politycznego sprawia, że możemy mówić o złotym wieku. Sztuka i kultura, nie tylko dworska, są na najwyższym poziomie, a gospodarka przeżywa rozkwit. To wyjątkowy okres w naszej historii, który często łączy się z toposem „złotego wieku". I z tym toposem pragniemy się zmierzyć.

Wystawa, którą otwierają Państwo 15 września, już w tytule („Obraz Złotego Wieku") będzie odwoływać się do tych czasów. Jaką narrację zaproponowali kuratorzy?

Wystawa kładzie nacisk właśnie na różnorodność kulturową Rzeczypospolitej, w fascynujący sposób opowie o „uniwersum jagiellońskim" w XVI stuleciu. Staramy się odtworzyć panoramę kultury wizualnej i sztuki Rzeczypospolitej jagiellońskiej. Pragniemy bowiem, by wystawa jak najpełniej mówiła o ostatnich Jagiellonach, ale nie tylko o dworze i dynastii. Kuratorzy dotykają niemal wszystkich możliwych aspektów kultury duchowej i artystycznej tamtego czasu, przybliżając szeroką perspektywę m.in. rozumienia świata i geografii. Sprowadziliśmy dzieła najwybitniejszych artystów, m.in. Hansa Dürera (brata Albrechta), pokażemy

UNIWERSYTET W BERNIE

Gian Jacopo Caraglio, Kamea z portretem Zygmunta Augusta

ikony, wspaniałe modlitewniki z British Library w Londynie, z Mediolanu. Zaprezentujemy też rzeźbę powstałą w oparciu o rysunki Albrechta Dürera, która pochodzi z muzeum w Jarosławiu. Pokażemy dzieła „sztandarowe", znane z podręczników, ale także zabytki dotąd wcale nie kojarzone z popularną wizją sztuki doby jagiellońskiej.

Jak zmieni się Sala Poselska Zamku Królewskiego na Wawelu na czas trwania wystawy?

Wystawę zaprezentujemy na trzech piętrach zamku, w siedemnastu pomieszczeniach. Sala Poselska stanowić będzie kulminację całej opowieści. Tu, za sprawą nowoczesnego etalażu wystawienniczego, po raz pierwszy w historii nasi goście spotkają się twarzą w twarz z głowami wawelskimi. Dotąd podnosili wzrok, by obejrzeć je na stropie. Konfrontacja z wyobrażeniami głów, dla których modelami mogły być osoby żyjące w XVI wieku, będzie dla wielu zwiedzających jednym z ciekawszych doświadczeń. Spotkanie z nimi oko w oko jest i dla mnie niezapomnianym doświadczeniem. Uważam, że fizjonomie głów wawelskich są niewiarygodnie współczesne. Ich rola zostanie przez nas odpowiednio wyróżniona także poza murami Zamku. Jedna z nich – „Kobieta w czepcu" – w monumentalnej formie, wysoka na ok. 2,5 m, stanie bowiem pod wawelskim wzgórzem zwrócona w stronę ulicy Kanoniczej. Dzieło rzeźbiarza Pawła Orłowskiego stanowić będzie nowoczesną interpretację renesansowej rzeźby. Mamy nadzieję, że ten mocny, współczesny akcent stanie się intrygującym zaproszeniem i drogowskazem na wystawę.

Zresztą dialog między współczesnością, nowoczesnością i tradycją będzie na niej widoczny, odbijając się choćby w nowoczesnej aranżacji wkomponowanej nie tylko efektownie, ale i świadomie w zabytkową, oryginalną przestrzeń Zamku, ozdobioną XVI-wiecznymi freskami.

Czy „Obraz Złotego Wieku" można rozmachem przedsięwzięcia przyrównać do monumentalnej wystawy „Wszystkich arrasów króla" z 2021 r.?

To będzie znacznie większa wystawa. Arrasów było 137. A 15 września pokażemy blisko 450 obiektów sprowadzonych z 13 państw Europy i Ameryki Północnej. Niewiele ponad dziesięć procent

MATERIAŁY PRASOWE

Zamek Królewski na Wawelu

zabytków pochodzi z naszej kolekcji. To znaczące różnice, pokazujące skalę nowej wawelskiej ekspozycji i skomplikowaną logistykę przedsięwzięcia. Jeśli chodzi o skalę, jest to największa wystawa w całej historii muzeum.

Jakie najcenniejsze eksponaty zobaczymy? Na co warto zwrócić szczególną uwagę?

Zachwyca mnie osobiście prezentacja malarstwa miniaturowego doby Jagiellonów i ręcznie iluminowane modlitewniki. W ramach tej wielkiej wystawy, jak już wspomniałem, zaistnieje też mała monograficzna ekspozycja prac Hansa Dürera. Znany głównie z dekoracji freskowych objawia się na Wawelu jako artysta z krwi i kości. Jego dzieła wcale nie ustępują skali i mistrzostwu słynniejszego brata.

Cieszy mnie też fakt prezentowania powszechnie znanych zabytków „na nowo", w nowoczesny sposób. „Wszystkie arrasy króla" zachwyciły naszych gości i przyciągnęły tłumy, choć przecież wszyscy je znali. Myślę, że podobnie będzie z głowami wawelskimi. Zaskoczymy i olśnimy zwiedzających całą mocą kultury wizualnej Jagiellonów. Wernisaż 14 września o godz. 19 zakończy imponujący mapping przybliżający historię Jagiellonów. Powtórzymy go 15 i 16 września pokazami o godz. 19 na dziedzińcu arkadowym Zamku.

Jeszcze do 22 października trwa na Zamku wystawa „Ekspresja. Lwowska rzeźba rokokowa". Polecam ją każdemu, rzeźby Johanna Georga Pinsla zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Czym jeszcze planują nas Państwo zaskoczyć, zadziwić i zachwycić?

Plany są dość rozległe i bogate. W październiku zamierzamy otworzyć nową, stałą trasę podziemną. Będzie to wawelskie „Lapidarium" w przestrzeni dawnych piwnic pod wschodnim skrzydłem zamku. Za pomocą kamiennych artefaktów i multimediów opowiemy o dziejach zamku, powstaniu renesansowej rezydencji i jej dalszych losach. Zaprosimy do dotychczas niedostępnych podziemi, gdzie znajduje się m.in. wciąż aktywna studnia z okresu średniowiecza. Trasa zwiedzania „Lapidarium" doprowadzi nas do Zbrojowni. W listopadzie pokażemy perły renesansu – obrazy pochodzące głównie z prywatnych kolekcji zachodnioeuropejskich. Dla przykładu: „Alegorii miłości" Tycjana, która trafiła do wawelskiej kolekcji w tym roku, towarzyszyć będzie obraz Padovanina o tym samym tytule ze zbiorów Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Pokażemy także arcydzieło innego mistrza z Wenecji: Giovanniego Belliniego, najnowszy nabytek zbiorów wawelskich.

Gorąco zapowiada się także rok 2024. W Prywatnych Apartamentach Królewskich, na pierwszym piętrze, otworzymy stałą ekspozycję porcelany miśnieńskiej. A w połowie roku – na to bardzo liczę – zaprosimy na drugą odsłonę wystawy lwowskiej rzeźby rokokowej, w tym rzeźb Johanna Georga Pinsla. Jeśli ktoś mniemał, że po wystawie dzieł Pinsla na Wawelu (dodam tylko, że kameralną „Ekspresję..." zobaczyło już ponad 100 tysięcy osób) poznał całą dostępną jego twórczość, będzie zaskoczony. Choć zetkniemy się z innym gatunkiem emocji, oddziaływanie na widza pozostanie równie mocne, wręcz porażające.

Chcielibyśmy też, aby pojawiła się na Wawelu wystawa monograficzna jednego z krakowskich artystów młodego pokolenia, Łukasza Stokłosy.

Kontynuując natomiast tradycję prowadzenia dialogu przeszłości z teraźniejszością, w marcu zaprosimy na wystawę „Wawel Wyspiańskiego". Twórczość tego artysty i Wawel są przecież związane ze sobą nierozerwalnie. Kto z nas nie słyszał choćby o wizyjnym projekcie Akropolis? Paradoksalnie jednak żaden z wielkich projektów Wyspiańskiego poświęcony Wawelowi nie został zrealizowany. Co więcej, nigdy nie poświęcono temu zagadnieniu osobnej monograficznej wystawy. W 2024 r. przypada jubileusz 120-lecia opublikowania „Akropolis". Wyspiański marzył o przebudowie wawelskiego wzgórza. Jego projekty ujrzą światło dzienne na naszej ekspozycji. Pokażemy dzieła specjalnie sprowadzone na wystawę, w tym także nigdy nie pokazywane, a pochodzące z kolekcji prywatnych. Odtworzymy i zbudujemy fragment jednego z projektów Wyspiańskiego w skali 1 do 1! Stworzymy również opowieść o teatrze Wyspiańskiego. A może też zamienimy Zamek w teatr, oddając go współczesnym aktorom? Zachęcam, by przekonać się o tym w marcu przyszłego roku.

Frekwencja na innych wystawach też bije rekordy.

Od początku roku do chwili obecnej Zamek Królewski na Wawelu odwiedziło prawie dwa miliony gości. To już 200 tysięcy więcej niż w całym poprzednim roku. Śmiem ostrożnie przypuszczać, że tuż po otwarciu wystawy „Obraz Złotego Wieku" przekroczymy tę magiczną granicę, a dalszy wzrost frekwencyjny będzie stale obserwowany. Nie ma piękniejszego widoku niż przybywający do nas zwiedzający. To dla nich, za sprawą pracy fantastycznego zespołu, Wawel jest i będzie zawsze otwarty. ©

DR HAB. ANDRZEJ BETLEJ, prof. UJ, jest historykiem sztuki. W latach 2012-2016 dyrektor Instytutu Historii Sztuki UJ, w latach 2016-2020 dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, od stycznia 2020 r. dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, wiceprzewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

JEREMI DOBRZAŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Wieloznaczne pojęcie obrazu

KRZYSZTOF J. CZYŻEWSKI

Trudno nie skorzystać z wyjątkowej okazji stanięcia twarzą w twarz z mężczyznami i kobietami w antycznych i renesansowych nakryciach głowy, wieńcach laurowych i koronach, młodymi i starymi.

Nie ma bardziej odpowiedniego tematu niż czasy ostatnich Jagiellonów do zaprezentowania w Zamku Królewskim na Wawelu. Wystawa „Obraz Złotego Wieku" obejmuje chronologicznie okres panowania w Polsce i na Litwie trzech Jagiellonów: Aleksandra, Zygmunta I i Zygmunta Augusta, czyli lata 1501-1572. Motywem przewodnim są szeroko rozumiane obrazy. Mają się one złożyć, niby kostki mozaiki, na szeroką panoramę kultury epoki tradycyjnie zwanej w polskiej historiografii Złotym Wiekiem.

W szeroko zakrojonym cyklu dziejów cywilizacji w Polsce Jan Matejko naszkicował w 1888 r. rozbudowaną kompozycję zatytułowaną „Złoty wiek literatury w XVI w. Reformacya. Przewaga katolicyzmu" (Muzeum Narodowe w Warszawie). W rozległej sali z wystrojem złożonym z motywów zaczerpniętych z renesansowej architektury polskiej, z ukazaną za oknem złotą kopułą kaplicy Zygmuntowskiej, kłębi się tłum postaci uznanych przez malarza-historiozofa za istotnych bohaterów procesu dziejowego. Podjęcie dzisiaj na nowo tego tematu prowadzi do konfrontacji z wizją ukształtowaną w przeszłości przez malarstwo historyczne, literaturę naukową i popularną, a także podręczniki szkolne. Utrwalone w pamięci wyobrażenia najczęściej mają charakter mocno uproszczony i daleki od realiów dawno minionego XVI stulecia.

17 pomieszczeń

Kilkakrotnie organizowano wystawy czasowe, które miały przypomnieć dokonania dynastii Jagiellonów, głównie na polu kultury i sztuki. Dwie z nich zasługują na wyróżnienie ze względu na rozmach i komplementarny charakter. Pierwsza z nich odbyła się w 1986 r. w austriackim zamku Schallaburg, w 600. rocznicę powołania na polski tron Władysława Jagiełły. Pokazano ją później w Zamku Królewskim w Warszawie. Autorem koncepcji był Franciszek Stolot, scenariusz uwzględniał wszystkie dziedziny sztuki. Kolejna ekspozycja, o znacznie szerszym zakresie, obejmująca wszystkie kraje rządzone przez Jagiellonów (Polska, Litwa, Czechy i Węgry), pod tytułem „Europa Jagellonica 1386-1572", została zrealizowana pod kierunkiem Jiřiego Fajta w trzech lokalizacjach: Kutnej Horze, Warszawie i Poczdamie.

LONDYN, THE BRITISH LIBRARY

Stanisław Samostrzelnik z warsztatem, modlitewnik Zygmunta I

Wystawa „Obraz Złotego Wieku" na Wawelu różni się od nich w wielu aspektach. Narracja nie jest budowana w oparciu o linearne następstwo czasowe wydarzeń, postaci i dzieł. Nie jest również metodyczną prezentacją różnych dziedzin sztuki: architektury, malarstwa, rzeźby i rzemiosła artystycznego. Uwaga widza ma się koncentrować na wieloznacznym pojęciu obrazu.

Zgromadzone na Wawelu eksponaty świadczą dobitnie, iż korzenie otaczającej nas dzisiaj cywilizacji obrazkowej tkwią głęboko w przeszłości. Wystawione w siedemnastu pomieszczeniach na trzech kondygnacjach wschodniego skrzydła pałacu wzniesionego w czasach Zygmunta I, obrazują kluczowe kwestie dyskutowane i wyrażane w mowie i w piśmie, ale także poprzez realistyczne, alegoryczne, symboliczne i abstrakcyjne wyobrażenia. Obrazem jest zatem zarówno nastawa ołtarza w świątyni, miniatura umieszczona w księdze liturgicznej i prywatnym modlitewniku, jak i portret osoby historycznej lub współczesnej czy scena z historii starożytnej lub mitologii pogańskiej. A czymże jak nie obrazem jest mapa, nierzadko dopełniona widokiem miast lub elementami krajobrazu?

Idąc dalej, napotykamy ilustracje dokumentujące wygląd roślin i zwierząt w coraz liczniejszych zielnikach i kompendiach zoologicznych. Przechodząc na wyższy poziom abstrakcji, znajdziemy się w kręgu heraldyki, która służy identyfikacji państwowej, ziemskiej, miejskiej i rodowej. Zbliżony charakter miały przedstawienia emblematyczne, z natury hermetyczne, czytelne tylko dla najbardziej wykształconych i wyrafinowanych odbiorców. Nie można pominąć także wykresów astrologicznych (horoskopów), schematów układów planetarnych i gwiezdnych, ilustracji z zakresu optyki, perspektywy, medycyny, służących wsparciu wywodów naukowych. *Nota bene*, łączenie obrazu i słowa, a także traktowanie słowa jako obrazu to odrębne, fascynujące zagadnienie.

Wspiąwszy się na najwyższe poziomy sublimacji, należy spojrzeć w dół, by dostrzec całą sferę obrazu popularnego, najczęściej miernej wartości artystycznej, związanego z literaturą sowizdrzalską. Także masowo produkowane karty do gry, niszczone przez intensywne używanie, stąd dziś stanowiące rzadkość. Bywało, że różne porządki mieszały się

ze sobą, jak w kartach do wróżenia zamieszczonych w książce „Fortuna albo szczęście” Stanisława Gąsiorka, wydanej po raz pierwszy na początku lat 30. XVI w. w krakowskiej oficynie Hieronima Wietora. Prostym pytaniom o kwestie życiowe towarzyszą odwołania do starożytnych Sybilli. Wydawca tego dzieła opatrywał zresztą swoje druki sygnetem z popiersiem boga Terminusa, zaczerpniętym wprost z medalu Erazma z Rotterdamu.

Skok cywilizacyjny

Skoro o drukach mowa, na wystawie poświęconej Złotemu Wiekowi nie mogło ich zabraknąć. Można je odnaleźć w większości sal, głównie zaś w zaaranżowanej bibliotece, w wielu kontekstach: liturgii, polemiki religijnej, różnych dziedzin nauki, opisów podróży, w końcu ulotek, czasem propagujących sensacyjne treści ze świata.

Dzisiaj, w dobie rewolucji cyfrowej i sztucznej inteligencji, nie pamiętamy o skoku cywilizacyjnym, jaki dokonał się na przełomie średniowiecza i nowożytności za sprawą masowego powielania tekstów i obrazów dzięki rozpowszechnieniu ruchomej czcionki i reprodukcji graficznych, głównie drzeworytów. Reformacja zainicjowana przez Marcina Lutra nie osiągnęłaby tak szybkiego i znaczącego sukcesu, gdyby nie słowo drukowane wzmocnione obrazem. Skądinąd starcie między wiernymi Rzymowi „papistami” a zwolennikami chrześcijaństwa zreformowanego dotyczyło między innymi obecności obrazów w sferze sakralnej, co prowadziło do polaryzacji stanowisk – od pełnej ich akceptacji do całkowitego odrzucenia. Obrazy bywały również bronią w wojnie religijnej, czego dowodami są chociażby dwa małe medale: satyryczny antypapieski i wzorowany na nim prokatolicki.

Polsko-litewskie państwo w XVI stuleciu można opisać przymiotnikami z przedrostkiem wielo-, a więc: wielonarodowe, wielojęzyczne, wieloreligijne i wielowyznaniowe, a także wielopiśmienne. I jeszcze – wielobiegunowe. Na władztwo Jagiellonów składało się Królestwo Polskie ze stołecznym Krakowem oraz Wielkie Księstwo Litewskie z Wilnem jako stolicą. Szczególnym statusem wyróżniało się nadbałtyckie emporium handlowe, swego rodzaju miejska republika, czyli Gdańsk. W związku z sekularyzacją Zakonu Krzyżackiego i powstaniem Prus Książęcych jako lenna polskich królów pojawił się na mapie nowy, bardzo ważny również dla kultury Polski i Litwy ośrodek religijny, uniwersytecki i wydawniczy – Królewiec. Pierwszy książę pruski, Albrecht Hohenzollern był siostrzeńcem Zygmunta I i kuzynem Zygmunta Augusta. Jego stosunki z dworem polskim były rozliczne i bardzo żywe.

Quentin Massys, medal Erazma z Rotterdamu

Miniaturowe portrety

Na wawelskiej wystawie udało się zgromadzić blisko 450 eksponatów pochodzących m.in. z Metropolitan Museum w Nowym Jorku, Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, British Library w Londynie, Bodleian Library w Oksfordzie, Queens’ College Library w Cambridge, Luwr i Bibliothèque nationale de France w Paryżu, Livrustkammaren w Sztokholmie, Staatliche Münzsammlung w Monachium.

Szczególnie istotną cechą „Obrazu Złotego Wieku” jest powiązanie eksponatów z konkretnymi pomieszczeniami królewskiej siedziby. Przykładem ekspozycja zespołu wspaniałych iluminowanych modlitewników prywatnych w sypialni Zygmunta I, w której zmarł w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego roku 1548. Król korzystał niewątpliwie z modlitewnika ozdobionego iluminacjami przez Stanisława Samostrzelnika. Wśród miniatur widnieje przedstawienie Zygmunta I przyjmującego komunię z rąk umęczonego Chrystusa.

Odwiedzający wystawę mogą się również zapoznać z miniaturowymi portretami królewskimi wyrzeźbionymi w półszlachetnych kamieniach przez sprowadzonego na dwór krakowski Gian Jacopa Caraglia. A w Sali Poselskiej, ozdobionej fryzem ukazującym dzieje życia ludzkiego według moralizatorskiej rozprawy Kebesa, greckiego filozofa z kręgu Sokratesa, czekają na zwiedzających rzeźbione w drewnie głowy zdobiące pierwotny, niezachowany strop renesansowy. Trudno nie skorzystać z wyjątkowej okazji stanięcia twarzą w twarz z mężczyznami i kobietami w antycznych i renesansowych nakryciach głowy, wieńcach laurowych i koronach, młodymi i starymi.

Czy symbolizują planety, czy ukazują typy ludzkie, czy może reprezentują tych, którzy po dobrym życiu osiągnęli zbawienie i szczęście wieczne? Wciąż nie jesteśmy pewni, podobnie jak wciąż nie mamy pełnej wiedzy o naturze ludzkiej, mimo wysiłków podejmowanych przez humanistów europejskich, także tych z kręgu Akademii Krakowskiej, zapatrzonych w świetlany przykład Erazma z Rotterdamu, a także wielu pokoleń ich następców. ©

KRZYSZTOF J. CZYŻEWSKI – kustosz Zamku Królewskiego na Wawelu, kurator wystawy „Obraz Złotego Wieku” współtworzonej wraz z Rafałem Ochęduszko i Natalią Koziarą-Ochęduszko.

BAZYLEA, HISTORISCHES MUSEUM

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 38/2023
REDAKCJA: Grzegorz Nurek
WSPÓŁPRACA ZE STRONY WAWELU: Urszula Wolak-Dudek
OKŁADKA: Marek Zalejski / Zdjęcie „Kobiety w czepcu” Tomasz Śliwiński
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn
PARTNER ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PARTNERZY ZAMKU I WYSTAWY
Bank Polski – Partner strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu
TOTALIZATOR SPORTOWY – Partner Zamku Królewskiego na Wawelu
PGE Polska Grupa Energetyczna – Mecenas Edukacji i Partner wystawy Obraz Złotego Wieku
ams – Partner promocyjny
PKP INTERCITY – Partner wystawy Obraz Złotego Wieku

PIERWSZY RAZ W PIERWSZEJ OSOBIE

HANNA KRALL, REPORTERKA:

O rzeczach ważnych lubię pisać mimochodem.
Chciałabym, żeby moje pisanie to był taki jeden wielki mimochód.

KULTURA

ANNA GOC: W mailu napisała Pani: „Nie umrzeć przed pogrzebem na covid. Zredagować książkę. Zebrać winogrona, nawet jak nie ma komu robić wina”.

HANNA KRALL: To moje zadania z ostatniego czasu. Gdy dzieje się coś złego i powstaje zamieszanie w świecie, trzeba wyznaczać sobie zadania.

20 lutego ubiegłego roku, z soboty na niedzielę, umarł mój mąż. Byłam u niego w czwartek wieczorem, wiedziałam już, że ma covid. Siedziałam przy nim, rozmawialiśmy. Gdy zadzwonili ze szpitala, że nie żyje, było jasne, że i ja mogę mieć covid. I moja pierwsza myśl była – muszę dotrwać do pogrzebu.

To było moje zadanie.

Poszłam do kościoła, ustaliliśmy termin pogrzebu na 1 marca. Od 20 lutego do 1 marca jest osiem dni. Nie jest to może bardzo ambitne zadanie, ale wiedziałam, że przez te osiem dni mam nie zachorować i nie umrzeć.

Co mogła Pani zrobić?

Zadzwoniłam do mojej wspaniałej lekarki i zapytałam, co zrobić, żeby nie umrzeć. Dała kilka mądrych rad i chyba najważniejszą – pić dużo wody, najlepiej trzy litry dziennie. Piłam więc dużo wody, trzy litry dziennie. Polecam pani. Jak będzie pani chciała nie umrzeć, proszę pić dużo wody.

Cztery dni po telefonie ze szpitala zaczęła się wojna w Ukrainie. Znowu pomyślałam: żeby ona mi się tu do mnie nie doczołgała. Żeby nie przeszkodziła mi w pogrzebie. Od zakończenia II wojny światowej za każdym razem, gdy działo się coś niepokojącego, myślałam: żeby z tego wojny nie było. Pierwszy raz tak pomyślałam w marcu 1953 roku. Mieliśmy wykład z logiki z profesor Janiną Kotarbińską. Profesor napisała na tablicy przesłanki sylogizmu i do sali wszedł dziekan, z twarzą tragiczną. Powiedział: towarzysz Stalin jest ciężko chory. Z pamięci dodał ciśnienie krwi towarzysza Stalina i wyszedł. Profesor Kotarbińska wróciła do tablicy, podkreśliła dwie przesłanki i powiedziała: „Stąd wniosek...”. A ja pomyślałam: czy może być z tego wojna...?

Beata Stankiewicz, Hanna Krall, 2018 r., olej, flamaster wodny, płótno, 70x100 cm, Kolekcja MOCAK-u, repr. R. Sosin

1 marca był pogrzeb Jurka, było słońce, wojna była daleko.

Wywiązałam się z zadania.

Mamy fajny grób, jedenaście minut od domu. Płyta jest w formie księgi. Po stronie Jurka jest cytat z „Kuriera z Poczdamu”: „Pasąc krowy nad gościńcem Miadzioł-Wołkołata, nie spuszczało się z oka historii”. Po mojej z „Sublokatorki”: „a ja nie napisałam jeszcze o...”.

Pani mąż czytał Pani teksty przed publikacją?

Ja mu czytałam. Chodziłam za nim, gdy był zajęty, i czytałam na głos. Czasami miał uwagi. Był dobrym redaktorem, ale nie zawsze go słuchałam.

Większe zaufanie miałam do mojej przyjaciółki Hanki Kuszko. Była redaktorką w „Życiu Gospodarczym”, mieszkała niedaleko, przy Krętej. Przychodziłam do niej i czytałam, też na głos. I kiedy mówiła, że coś trzeba przenieść na początek, a coś na koniec, tu za dużo, a tam za mało – brałam to pod uwagę.

Po pogrzebie męża miałam kolejne zadania – zredagować dwie książki. Moją pod tytułem „Szczegóły znaczące” i Jurka, „Przymówki”, których nie zdążył dokończyć. Zaczęłam od „Szczegółów znaczących”, bo były prawie gotowe.

Szczegóły – jak Pani powtarza – są obiektywne, dopiero reporter nadaje im znaczenia. Nie szuka ich Pani jednak.

Szczegóły się wyłaniają. To jest fascynujące, jak normalny przedmiot nabiera znaczeń. Jak z dosłownego staje się znaczącą metaforą.

Już w pierwszym tekście, który nadawał się do czytania, miałam taki szczegół: ubranie sekretarza partii przerobione ze starego kolejarskiego munduru. „Nietoperze nad Miechowem” ukazały się w 1957 roku w „Życiu Warszawy”, krótko po Październiku. Prywatni właściciele mogli otwierać własne sklepy i sekretarz partii z Miechowa nie mógł tego zrozumieć. – Patrzę na to i wszystko się we mnie, koleżanko, przewraca. Widocznie nowe jeszcze nie całkiem we mnie zwyciężyło – wyznał ze skruchą.

Miałam 22 lata, ale już i zdanie usłyszałam, i zauważyłam ubranie. Może już wtedy widziałam świat poprzez szczegóły. Może to jest właściwość organizmu, ten sposób patrzenia na świat?

Czy pani zna to uczucie reporterskiego zachwytu?

Znam.

No właśnie.

Wypisałam parę szczegółów z moich książek. Rękawiczki przedwojennej primadonny operowej. Ołówek z dumą wręczony małemu Adasiowi Bonieckiemu przez radzieckiego oficera. Ułańska szabla, niepotrzebna ułanowi po wojnie, złamana – sprawdziła się w zabijaniu świń. Czaszka Andrzeja Czajkowskiego zapisana w testamencie dla Royal Shakespeare Company – zagrali z nią „Hamleta”, tylko raz, bo krucha była. Łopata Władysława Sokoła – wykopał nią dół, dla siebie i dla trzech Żydówek. Sweterek Wiesi Grocholi. Tu, obok stołu stały trzy ogromne, pasiaste torby. Magda, córka Wiesi, przytaszczyła je, za co jestem jej bardzo wdzięczna. W torbach było całe życie Wiesi. Zdjęcia ojca, listy do oflagu, materiały do książek, które nigdy nie powstały. I były notatki, a w nich – kilka razy, w różnych wersjach – scena, którą przywołuję w „Szczegółach znaczących”. Wiesia idzie z mamą krakowską ulicą, z naprzeciwka zbliżają się kobieta z dziewczynką. Z daleka widać, kim są, choć nie padło słowo na „ż”. Może by skręciły, poszły inną drogą, ale nie – idą wprost na Wiesię i jej mamę. Kobieta prosi mamę Wiesi: „Tylko dzisiaj. Tylko na jedną noc”, mama tłumaczy, że nie mogą, że same mieszkają kątem u wuja, i wyjmuje pieniądze. Tamta matka nie chce jałmużny. Zdejmuje z dziewczynki sweter...

„W tamtych czasach dzieci rosły bardzo powoli i sweterek będzie nosiła bardzo długo, do końca szkoły podstawowej”.

Wiesia nosiła ten sweterek do końca wojny. Opisywała tę scenę wiele razy. Pieczołowicie, jak to Wiesia, że sweterek był z miękkiej granatowej wełny i miał czerwony szlaczek przy rękawach i kołnierzyku.

W 1968 roku na marcowym zebraniu w redakcji Wiesia Grochola wykrzyczała, żeby jej do tej hańby nie mieszać. Straciła pracę na kilka lat. Pomyślałam, że zrobiła tę awanturę w obronie dziewczynki, której wtedy bronić nie mogła.

Sporo jest w sweterku Wiesi, prawda? Sporo o historii Polaków i Żydów. ↦

↦ **„Zagłada była po nic" – napisała Pani w tekście na 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim.**

Doświadczenie Zagłady odzywa się teraz na naszej wschodniej granicy. Natalia Judzińska, która pomaga ludziom w drodze, jak o nich mówi, opowiada mi, co tam się dzieje. Mówi, że ujawniają się zachowania w stosunku do uciekinierów, które znamy z Zagłady. Ludzie albo im pomagają, albo ich denuncjują. Są sprawiedliwi i są szmalcownicy, którzy ograbiają z pieniędzy. Natalia uważa, że szmalcownicy z granicy wiedzą, co robić, dzięki Zagładzie. Myślę, że i bez Zagłady wiedzieliby. Natalia mówi, że może by i wiedzieli, ale zabrałoby im to więcej czasu.

Zagłada nie przydała się. Ludzie nie stali się ani mądrzejsi, ani lepsi. Bo się nie stali, prawda?

Taka Bucza jest kolejną porażką Zagłady.

Wspomniała Pani, że po Buczy inaczej patrzy się na wyzwolenie.

Czy ten rosyjski bandzior z Buczy, ten z twarzą anioła, który z taką widoczną przyjemnością zabijał, czy on unieważnia tamtego rosyjskiego żołnierza, który mnie wyzwolił? Który leżał obok mnie na podłodze nieprzytomny ze zmęczenia, a rano poszedł gdzieś na zachód – do Berlina, albo na południe – wyzwalać Oświęcim?

To jest największa krzywda, jaką ten szaleniec robi swojemu narodowi, prawda? Unieważnia tamto zmęczenie i tamtych żołnierzy, którzy wyzwolili Oświęcim.

W jednym z reportaży w „Szczegółach znaczących" rosyjski żołnierz w Buczy ratuje psa.

Parę osób miało do mnie pretensje, że o „dobrym żołnierzu" napisałam. Tak było. Reporter jest od tego, żeby opisywać, jak było.

Prawda?

Wraca Pani do swoich reportaży?

Bardzo rzadko. Zawsze się boję, co się okaże, czy niczego głupiego w starych tekstach nie znajdę.

Wie Pani, kiedy fragment jest zły?

Wiem, kiedy źle piszę, ale nigdy nie jestem pewna, czy piszę dobrze. Ale jeśli się wie, kiedy się źle pisze, to już jest niemało.

Zagłada nie przydała się. **Ludzie nie stali się ani mądrzejsi, ani lepsi.** Bo się nie stali, prawda? Taka Bucza jest kolejną porażką Zagłady.

Czasami wykreślam fragmenty, w które trudno uwierzyć, bo jeśli ja nie mogłam w coś uwierzyć, choć było prawdziwe, to czytelnik też nie uwierzy. Nie mogę dopuścić do tego, żeby czytelnik nie wierzył. Bo jeśli on pomyśli: „Eee, niemożliwe", to znaczy, że stracił zaufanie i do mnie, i do tekstu.

Poprawia Pani tylko „Zdążyć przed Panem Bogiem"?

Studenci policzyli, że w kolejnych wydaniach naniosłam ponad siedemdziesiąt poprawek. Wie pani, jak znajdę miejsce, które trzeba poprawić, nie mogę spać. Budzę się nad ranem, zaglądam do tekstu, czy to mi się zdawało. No nie, nie zdawało mi się, trzeba poprawić.

Inaczej się słyszy rano, inaczej wieczorem, a jeszcze inaczej po latach.

Przed 80. rocznicą powstania w getcie warszawskim powstała animacja na podstawie „Zdążyć przed Panem Bogiem". Jej umowność dała mi do myślenia.

Dlaczego?

Historie z czasu Zagłady zmierzają do milczenia. Zagładę udaje się opowiedzieć do pewnego miejsca.

Taka jest historia Ilse Weber, która w getcie w Terezinie śpiewała dzieciom piosenki, a potem pojechała z nimi do Oświęcimia. Przy komorze gazowej spotkała człowieka, który znał ją z Terezina i powiedział, co ma robić. Ma z dziećmi usiąść na podłodze i śpiewać z nimi. Wchłoną więcej gazu, wszystko potrwa krócej i będzie łatwiejsze.

Gdy rozmawialiśmy z Krzysztofem Kieślowskim o „Dekalogu VIII", opowiedziałam mu o komisariacie. Policjanci powiedzieli matce i córce, że mają do rana zdecydować, która z nich wyjdzie, a która zostanie. „Ja już sobie pożyłam, ty wyjdź" – mówiła matka do córki. A dziewczynka: „Ja sobie nie dam rady, ty wyjdź". Tak sobie rozmawiały w celi, która ma przeżyć, a która zginąć.

Kieślowski powiedział: „To nie jest do zagrania. To zawsze będzie koszmarny kicz, nie da się tego pokazać". Tak jest z Zagładą. Można pokazać człowieka, który daje Ilse dobre rady, ale nie da się pokazać śpiewu w komorze gazowej. Możemy dojść do miejsca, kiedy policjant mówi, panie sobie same zdecydują i nam rano powiedzą. Do tego miejsca można, a matki, która mówi... nie da się.

Opowiedziała Pani tę scenę w Polin.

Tak. Po raz pierwszy opowiedziałam tę historię w pierwszej osobie.

Wcześniej używała Pani trzeciej osoby.

Trzecia osoba oddala wszystko na bezpieczną odległość.

Powiedziano mi, że spotkanie ze mną w Muzeum Polin ma być jednym z głównych akcentów 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim. Każde z tych słów mnie onieśmielało. Więc na mnie padło, myślałam. Dlaczego na mnie? Przecież jest tylu ludzi, którzy powinni 19 kwietnia usiąść na tej scenie.

To też było zadanie?

Tak, mogę uznać ten wieczór za jeszcze jedno zadanie, które było przede mną i z którego się wywiązałam.

Najpierw był ten animowany film według „Zdążyć przed Panem Bogiem". Zdałam sobie wtedy sprawę, że umowność umożliwia opowiedzenie historii, których przedtem nie dałoby się opowiedzieć. W filmie rysuje się płomienie getta – i w te płomienie się wierzy. Może i tę Ilse można narysować. I tę matkę w komisariacie...

Umowność pozwala opowiedzieć więcej?

Jest taka scena w filmie, gdy Marek Edelman leży na łóżku, już po wojnie, i nie może zdecydować, co ze sobą zrobić. Pojawia się nad nim kłębowisko czarnych linii. To myśli, które go opętują. Po chwili wyłania się z nich jedna linia, czerwona, która przywraca go do życia...

Jest symbolem akcji serca, ale też czerwonego swetra, od którego zaczyna się książka.

Jest też symbolem życia. Gdy to zobaczyłam, pomyślałam, że możemy znaleźć jeszcze jakąś formę. Że jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego zdania.

To dotyczyłoby też języka?

Chyba tak.

Książka „Zdążyć przed Panem Bogiem" żyje dlatego, że Marek Edelman mówił o powstaniu w tym języku, w którym to się działo. Prawie wszyscy, którzy nie zginęli w czasie wojny, wyjechali z Polski. Opowiadali potem, co przeżyli, na spotkaniach – w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Izraelu, choć w Izraelu akurat najmniej. Ale w innym języku, opowiadali nie po polsku.

Chaja Bełchatowska-Spigiel, która wyjechała po wojnie, opowiadała nam, jak wyskoczyli z pociągu do Treblinki. Weszli pod wagony, które stały obok ich pociągu, i te wagony szczęśliwie nie ruszyły. Chaja nie mogła znaleźć właściwego słowa po polsku, żeby opisać sposób, w jaki udało im się wejść pod wagon, a potem zejść z nasypu. Wiedziałam, jakie to słowo, ale nie podrzuciłam jej.

Dlaczego?

Nie podpowiadam nigdy słów. Czekałam. W końcu Zbyszek Bujak powiedział: „Wczołgaliście się pod te wagony". Na co Bronek, mąż Chai: „*That's right, that's right*" – „wczołgaliśmy się".

Chaja i Bronek przed wojną mówili po polsku. Potem opowiadali o tym, co przeżyli, po angielsku. Potem wrócili do polskiego, ale to już był inny polski, to było tłumaczenie z angielskiego.

Marek Edelman mówił: „Słuchaj, jak ja wyglądałem". Jak brzmiałoby to po angielsku? „*Listen...*". Jakie „*listen...*", przecież to musi być opowiedziane w tym języku, w którym to się działo.

Edelman tak opowiadał, ale nie był przygotowany na to, że tak można pisać. „Tak się nie pisze – mówił. – Tak się nie pisze".

A ja wiedziałam, że jeśli ma być książka, to tylko tak napisana.

Nie zawahała się Pani?

Nie, to był jedyny możliwy język, jedyna możliwa forma.

Edelman tylko tak mógł opowiadać o powstaniu w getcie, żeby zapanować nad wzruszeniem. Nad tym, co dzisiaj nazywa się traumą. Wtedy nie znaliśmy tego słowa. To była opowieść o umieraniu. On właściwie cały czas opowiadał o tych, którzy ginęli.

ANDRZEJ WIKTOR

HANNA KRALL jest reporterką. Ostatnio wydała książkę „Szczegóły znaczące", której podstawą są teksty pisane dla „Tygodnika Powszechnego".

I ten język, sposób mówienia, był dla niego pewnym pancerzem. Właśnie tak, pancerzem, za którym mógł się schronić.

Raz tylko się rozpłakałam. To było w naszym poprzednim mieszkaniu. Edelman krążył po pokoju, nie miał daleko, parę metrów. Ja leżałam na tapczanie, notowałam. Opowiadał, a ja płakałam tak, że łzy leciały na papier. Miałam wielką plamę na kartce, nie mogłam ukryć tego mojego płaczu. Zatrzymał się nade mną, spojrzał na kartkę i powiedział: „Moje dziecko, ja myślałem, że ty jesteś dorosłym człowiekiem. Z tobą nie można rozmawiać". Był wtedy o krok od zakończenia rozmowy.

O rzeczach ważnych lubię pisać mimochodem. Chciałabym, żeby moje pisanie to był taki jeden wielki mimochód.

Teraz życie dociera do mnie na różne sposoby. Maria, bohaterka książki „Synapsy Marii H.", pisze mi o swoim chorym synu. Natalia Judzińska opowiada, co się dzieje na Podlasiu i na granicy wschodniej. Ludzie mi opowiadają, ja sobie coś tam piszę.

Nazywam to blogiem.

Czy będzie opublikowany?

Nie wiem, czy będzie z tego książka. Z jednej strony mam taką prywatność, los jednego chłopca, jednej matki. A z drugiej – granicę.

I ostatnie już zadanie. „Przymówki", książka Jerzego Szperkowicza, mojego męża. Proszę, jest. Wywiązałam się. Książka o dziennikarzu w czasach PRL, który chce przejść przez życie zachowując się przyzwoicie.

Tutaj, przez tę kuchnię, przewijali się ludzie, od których – jak Jurek myślał – coś w Polsce zależy. Częstował ich szaszłykami, a robił naprawdę dobre, i winem ze swojej winnicy. Mówił im, jak skrzyknąć ludzi w ruch społeczny. Słuchałam spokojnie, wiedziałam, co będzie dalej. Goście chwalili wino. Chwalili pomysły i nikt nigdy nie podjął żadnego z nich. Strasznie to było przykre. Myślałam sobie, że Jurek jest trochę z innego świata. Ze świata ludzi, którym zależało na Polsce, którzy byli Polską zatroskani.

Marek Przybylik, wydawca książki, mówi: „Może wasi goście byli sobą zatroskani, nie Polską. Jeśli ktoś doznał olśnienia, że nadaje się na przywódcę, to nie po to, by traktować serio cudze pomysły".

Gdy byłam u Jurka w czwartek i już wiedziałam, że ma covid, chciałam zabrać jego laptop, żeby się nie zawieruszył, kiedy będą go przenosić na oddział covidowy. „Nie zgadzam się, proszę zostawić" – denerwował się. Pracował nad książką do końca. I miał zamiar dalej pracować.

Każdy szczegół był w dziesiątkach wersji. Wcale nie te poprawione były najlepsze, co się przecież często zdarza. Nie wiedziałam, który tekst wybrać, i którą jego wersję. Redagowałam tę jego książkę z duszą na ramieniu.

Zastanawiałam się nad tym, jak się Pani redagowało książkę męża, skoro mają Państwo inny styl pisania.

Nie ingerowałam w tekst, nie śmiałabym nic swojego dopisywać. W „Przymówkach" są tylko i wyłącznie słowa Jurka. Jedyne, co robiłam, to wybierałam różne wersje i czasami je łączyłam.

Raz uznałam, że jest za dużo rodzinnej genealogii, za dużo stryjów. Wykreśliłam, odłożyłam tekst, położyłam się. Nad łóżkiem jest żarówka, która nagle pękła z jakimś okropnym hukiem, błyskiem, trzaskiem. Szkło poleciało mi na głowę. Powiedziałam: „Jurek, daj spokój, rano przywrócę ci tego stryja". I oczywiście przywróciłam.

Ja wierzę w takie znaki.

Wierzy pani?

Ja też.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Daleki świat

ŁUKASZ NAJDER

Był zbuntowanym członkiem Hitlerjugend, agentem amerykańskiego kontrwywiadu i więźniem NKWD. Z czasem i dzięki wytężonej pracy stał się pisarzem uznanym i bestsellerowym.

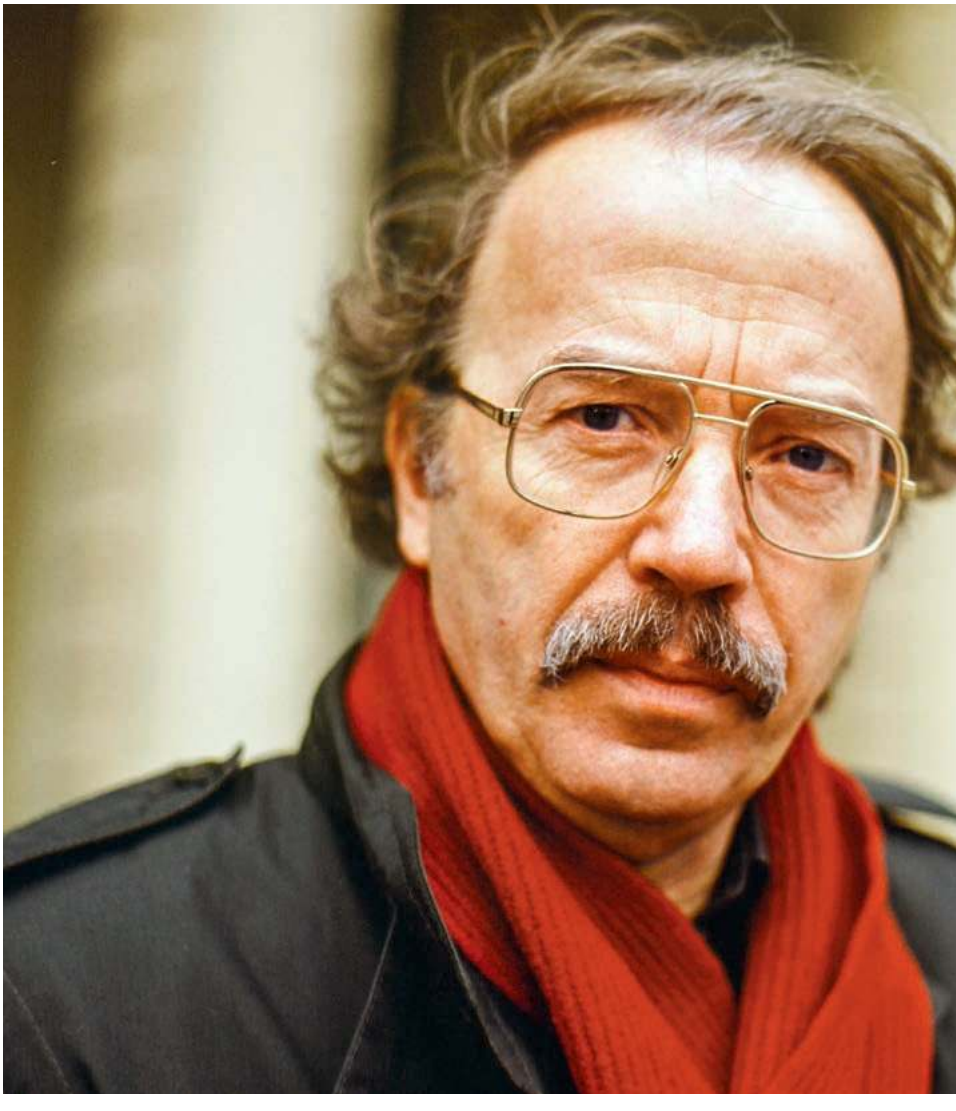

Tym razem obyło się bez komet i ulicznych proroków. Apokalipsę wieściły zwierzęta hodowlane. „Wkrótce potem wzdłuż biegu rzek zaczęły nadciągać ogromne stada bydła i gromadziły się w płaskiej dolinie, poprzecinanej wieloma zakolami Pregoły. Przepędzone ze wschodnich części prowincji stały teraz tysiącami na rozległych łąkach, tworząc spektakularne widowisko" – odnotował w „Dzienniku z Prus Wschodnich. Zapiskach lekarza z lat 1945-47" Hans von Lehndorff (przeł. Zdzisław Owczarek).

Jesień zbiegła względnie spokojnie, w jej blasku, blasku tej „niebywałej jesieni", „opuszczona ziemia, zagrody i wioski trwały jak zaczarowane". Zimą krowy umarły. Von Lehndorff wspomina, że jak zawsze, tak i tego roku, mimo fatalnych przecież nowin ze wszystkich już właściwie frontów, celebrowano tutaj w najlepsze Boże Narodzenie i Nowy Rok, a nawet – urządzano polowania, organizowano rauty, na wizyty odpowiadano rewizytami. Przemożna jest siła tradycji. W obliczu nieodwołalnego horroru naturalna wydaje się też wola, by trwać w czymś na kształt dziecięcej naiwności. Nie chcąc uciekać, ucieka jednak człowiek do krainy złudy.

„Dzień 13 stycznia był mroźny i jasny, a grunt twardy, zatem łatwy do pokonania przez czołgi. Gdy sowieckie armie pancerne, po niszczącym ogniu huraganowym, uderzyły na słabo obsadzone pozycje niemieckie, nie istniały dla nich żadne naturalne przeszkody. Rosjanie zaatakowali z ponad dziesięciokrotną przewagą 3. i 4. armię, by na północ wedrzeć się do Królewca i Sambii, a na południu, kierując się w okolice Elbląga i Gdańska, wziąć 4. armię w kleszcze wraz z większą częścią Prus Wschodnich" – napisał Jürgen Thorwald w „Wielkiej ucieczce" (przeł. Albin Bandurski, Janina Sczaniecka), książce w równej mierze o terminalnych miesiącach III Rzeszy, jak i tragicznym exodusie niemieckiej ludności z terenów błyskawicznie podbijanych i brutalnie pacyfikowanych przez Armię Czerwoną w pierwszych tygodniach 1945 r. Miary nieszczęścia dopełniło to, że objuczeni bagażem cywile „zaczęli uciekać dopiero w chwili, gdy front już był rozbity". W rezultacie na wschodniopruskich drogach powstał śmiercionośny chaos napędzany paniką, walką o przetrwanie i siarczystymi mrozami.

Aleksander Sołżenicyn, klasyk literatury łagrowej, a wtedy – kapitan artylerii, brał udział w styczniowym ataku na Prusy Wschodnie. Realia tej kampanii oddał za pomocą mowy wiązanej w poemacie autobiograficznym „Dróżka". W części zatytułowanej „Pruskie noce" sugestywnie opisał ciągnący się za triumfującą Armią Czerwoną szlak zniszczeń, gwałtów, egzekucji i grabieży. Oprócz barbarzyńskiej radości z wymierzania niegdysiejszym najeźdźcom odpłaty, powszechną emocją u krasnoarmiejców było zdziwienie, że oto najwyraźniej znaleźli się na innej planecie – nie tyle w obcym kraju, co pośród miast i upraw innej cywilizacji.

> *Wroga ani śladu nie ma,*
> *Milczy rozszarpana ziemia –*
> *Weszliśmy w daleki świat* (...)"
> (przeł. Michał B. Jagiełło)

Zagłada i ostatnie chwile tego świata są tematem „Wszystko na darmo", znakomitej powieści Waltera Kempowskiego.

BRIGITTE FRIEDRICH / SZ-PHOTO / FORUM

Walter Kempowski, 1987 r.

Warstwa po warstwie

Kempowski, urodzony w roku 1929, a zmarły 78 lat później, był dotąd autorem kompletnie w Polsce nieznanym. Najczulsze wyszukiwarki zwracają tylko śladowe ilości obecności omówień tego arcyciekawego pisarza, rozproszone w polskim kosmosie.

„Wszystko na darmo" to jego pierwsza książka przełożona na język polski. Oby nie ostatnia, bo swoim dorobkiem – obfitym, różnorodnym, cenionym przez czytelników i krytykę – z powodzeniem mógłby obdzielić kilku twórców. W bonusie wnosi jeszcze i ekstraordynaryjny życiorys, w ramach którego był długowłosym, zbuntowanym członkiem Hitlerjugend ze słabością do muzyki jazzowej, uciekinierem „na Zachód" z radzieckiej strefy okupacyjnej, agentem amerykańskiego kontrwywiadu, więźniem NKWD, beneficjentem amnestii z roku 1956, literatem, który dopiero z czasem i dzięki wytężonej pracy stał się literatem uznanym i bestsellerowym. Zbudował też zupełnie kosmiczny dom w Nartum koło Bremy z liczącym ponad dwadzieścia metrów długości oszklonym pawilonem-biblioteką i wieżą, w której ściany wmurowano stare cegły z jego rodzinnego Rostocku.

Myśli i pisanie Kempowskiego obsesyjnie krążyły wokół paru lejtmotywów – XX-wieczna historia Niemiec, wojny, odpowiedzialność zbiorowa, postawa niemieckiego mieszczaństwa, pamięć, przeszłość i to, co z przeszłości zostaje. W posłowiu „Wszystko na darmo" tłumaczka powieści, Małgorzata Gralińska, przytacza kapitalną anegdotę o początkach kształtowania się w nim świadomości pisarskiej, jak i wizji jego własnej przyszłości: „Znajomy ojca zapytał dziesięcioletniego Waltera Kempowskiego, kim ten chciałby zostać w przyszłości. Ot, pytanie, jakie dorośli często zadają dzieciom. Niezwykła wydawała się za to odpowiedź chłopca: chciałbym zostać »archiwum«. Matka wciąż poprawiała Waltera: mówi się »archiwistą«".

Ostatecznie Kempowski został „archiwum" i to w niejednym wymiarze. „(...) w swoim domu w Kreienhoop w Nartum zgromadził potężny zbiór świadectw życia zwykłych Niemców. Pamiętniki, wspomnienia, listy, szkolne zeszyty, testamenty, akty urodzenia, dokumenty, wycinki z gazet, sprawozdania z podróży, zdjęcia – pisarza interesowało dosłownie wszystko. Zbierał świadectwa wśród krewnych i znajomych, kupował stare, nikomu niepotrzebne papiery na pchlich targach, umieszczał ogłoszenia w gazetach, prosząc czytelników, by przysyłali mu własne wspomnienia, relacje i pamiątki".

Prócz gromadzenia tej materialnej kartoteki Kempowski archiwizował miniony czas także za pomocą tworzonej przez siebie literatury. Od dzienników prywatnych i kolosa, jakim była licząca osiem tysięcy stron „Echosonda", wielotomowa mozaika świadectw, z której wyłania się obraz II wojny światowej, przez cykle powieściowe w rodzaju „Deutsche Chronik" (tu substancję główną opowieści uzyskał z zapisanych na taśmie magnetofonowej wspomnień członków własnej rodziny oraz znajomych) po książki-ankiety (autor zadawał różnym osobom jedno i to samo pytanie, a to, czy widzieli Hitlera, a to, czy wiedzieli o losie Żydów).

Stosował niezwykłą technikę narracyjną – wtapianie w strukturę tekstu prozatorskiego mnóstwa wyimków z piosenek i wierszy z epoki, kwestii z modnych wówczas filmów, sloganów, idiomów, złotych myśli, nagłówków prasowych, żartów. Ów obiegowy banał to *Zeitgeist*, rzeczywistość językowo-medialna jego bohaterów – XX-wiecznych Niemców. W rezultacie książki Kempowskiego przypominają stanowiska archeologiczne, gdzie czytelnik warstwa po warstwie odkrywa dawne życie, niegdysiejszą mentalność, okruchy mowy, różnicę pomiędzy tym, co jest, a tym, czego już nie ma.

Jego żywiołem było rejestrowanie i rekonstruowanie przeszłości na rozmaite sposoby. Wysiłek imponujący, choć przecież daremny, bo sukcesem na tej niwie byłoby nieprzemijanie tamtego przemijającego co godzinę świata albo odtworzenie go w skali jeden do jednego. Lecz mimo to Kempowski nie ustawał w swojej misji i przez dekady pisał, zbierał, ocalał przed zanikiem i nicością. Z miłością i pietyzmem sporządzał nawet kartonową makietę ukochanego Rostocka.

Credo jego misji – i znacznej części twórczości – mogłyby być słowa Alexandra Klugego, który w książce „30 kwietnia 1945. Śmierć Hitlera i narodziny innych Niemiec" (przeł. Eliza Borg, Maria Przybyłowska) napisał: „Upadek tak potężnej organizacji jak Niemcy pozostawia tylko potrzaskane odłamki. I nie są to jedynie (...) zniszczone budynki, koleje i drogi; w tobołku psychicznym każdego człowieka stamtąd walają się przemieszane bezładnie kawałki różnych rzeczywistości".

Przedmurze cywilizacji

„Nieopodal miasteczka Mitkau w Prusach Wschodnich znajdował się majątek Georgenhof – teraz, zimą, w otoczeniu starych dębów przypominał czarną wysepkę pośród morza bieli" – to pierwsze zdanie powieści Kempowskiego wywołuje u krytyków, i słusznie, skojarzenie a to z „Effi Briest" Theodora Fontanego, a to z tworzącymi poza ojczyzną nostalgikami, którzy w podobny sposób zaczynali swoje elegie utrzymane ↦

↦ w poetyce realizmu. Ale w tak zainicjowanej opowieści można zobaczyć jeszcze coś innego.

Owa „czarna wysepka pośród morza bieli" – motyw, który będzie przewijał się przez całą książkę – to również Prusy Wschodnie w miniaturze i symbolu. Bo jak dowodzi Robert Traba w swojej „Wschodniopruskości", ideolodzy i poeci, a w efekcie mieszkańcy Prus Wschodnich, jak i szerzej – Niemcy, widzieli w tej krainie „wyspę" – „wyspę wschodniopruską", otoczoną bądź zalewaną przez dziką, niebezpieczną słowiańszczyznę.

Prusy Wschodnie były „bastionem", „wałem ochronnym", „strażnicą" i „przedmurzem cywilizacji". W propagandzie i literaturze miejscem zasadniczo bez ustanku zagrożonym. I, można rzec, dokonało się, bo „Wszystko na darmo" jest powieścią o potopie, który pochłonął wysepkę, wyspę, Prusy Wschodnie.

Zimą 1945 r. mieszkańcy majątku Georgenhof trwają w zawieszeniu. To znudzona wszystkim piękność o imieniu Katharina, której mąż stacjonuje we Włoszech, ich dwunastoletni syn Peter, śląska cioteczka będąca kimś w rodzaju majordomusa i robotnicy przymusowi – dwie Ukrainki i Polak. Każdy niby wie, że Rosjanie są blisko – ale jak blisko? I czy w ogóle zdecydują się na szturm?

Pauza na tutejszym froncie wprawia Katharinę i resztę w dziwny nastrój. Wypełnia ich podszyte niepokojem otępienie i niefrasobliwa błogość. Kempowski po mistrzowsku, rozdział za rozdziałem, dzień za powieściowym dniem buduje napięcie, z retardacji czyni metodę, aż udręczony wyglądaniem katastrofy czytelnik, który przecież doskonale wie, że katastrofa jest nie do uniknięcia, coraz szybciej przewraca strony „Wszystko na darmo", by wreszcie usłyszeć chrzęst setek gąsienic, syk katiusz, ogłuszające „uraaaa!".

Drzwi Georgenhofu stoją otworem, dzięki czemu dwór von Globigów pełni funkcję azylu dla tych, którzy niespodziewanie wynurzają się z lodowatych wschodniopruskich mgieł, zadymek, styczniowych nocy i ranków. Ci goście – korepetytor Petera, doktor Wagner, skrzypaczka dająca koncerty w szpitalach polowych, okulały ekonomista, kapral, malarz z Düsseldorfu zapamiętale „rysujący »to, co się ostało«", bałtyckie baronostwo – to kalejdoskop byłych już ludzi, wygnańców, desperatów, przybłęd, nazistowskich zombie, rychłych trupów. Kusi zatem, by oddać się przewrotnej interpretacji i we „Wszystko na darmo" ujrzeć świat nie przed, ale po zniszczeniu, zabity świat istniejący niejako z rozpędu, powidok tego świata, wciąż brzmiące echo, przedstawienie, jakie wydają duchy ludzi, których śmierć kompletnie zaskoczyła, bo fanatycznie wierzyli, że Niemcy, Prusy Wschodnie, III Rzesza i oni tutaj są to rzeczywistości niezniszczalne.

„Wszystko na darmo", jak każda wielka powieść, to kilka powieści w jednej. Będzie więc realistycznym zapisem gehenny Prus Wschodnich i schyłku zbrodniczego nazizmu, arką, na której autor uniósł język tamtego czasu, przenikliwym studium psychologicznym wyborów i postaw w sytuacjach granicznych, katalogiem (nie tylko) niemieckich charakterów, arcydzielną rzeczą o pamięci. Przy okazji – wspaniałymi szyderstwami pod adresem Prousta i zbanalizowanej magdalenki (pytanie „Czy pamięta pani śląską szynkę?") i wirtuozerską żonglerką najróżniejszymi formami narracyjnymi, co w konsekwencji uczyniło z „Wszystko na darmo" powieść równocześnie klasyczną i nowoczesną. Będzie także, pomimo wojennej tragedii i makabry, przeżyciem. Ponieważ – jak napisał Matteo Collura w „Na Sycylii" (przeł. Joanna Ugniewska) – „nic nie jest bardziej widowiskowe, bardziej pasjonujące, bardziej pobudzające artystycznie niż saga, której tematem jest agonia".

© ŁUKASZ NAJDER

Autor bardzo serdecznie dziękuje Małgorzacie Gralińskiej za wielką i bezinteresowną pomoc udzieloną w trakcie pisania tego tekstu.

Walter Kempowski
WSZYSTKO NA DARMO
przeł. Małgorzata Gralińska, ArtRage, Warszawa 2023

Miłość, w1ara, nadzi3ja

MICHAŁ WALKIEWICZ

Nie znam odpowiedzi na pytanie, jaki powinien być serial, który celnie zdiagnozuje nasze religijne potrzeby w świecie opanowanym przez sztuczną inteligencję. Ale „Pani Davis" oferuje pod tym względem sporo.

Zakonnica z serialu „Pani Davis" jeździ na motorze, wywija pałką teleskopową i wcina falafele, które pichci dla niej sam Jezus. Pochodzi z rodziny wędrownych magików, służy Bogu i szuka króla wszystkich McGuffinów, czyli Świętego Graala. Jeśli go zniszczy, sztuczna inteligencja, która przejęła władzę nad światem, stanie się pieśnią przeszłości, przynajmniej tak obiecała na początku serialu (końca nie zdradzę).

Siostrę otaczają same cuda: zakonnice w trampkach biegają po wodzie, spod ziemi wyrastają pianina, konstrukty podświadomości zaś materializują się w świecie zer i jedynek. Chaotyczna natura jej przygód zamienia serial w coś na kształt popkulturowego gabinetu luster. Ma też głębszy sens. Odzwierciedla mnogość narracji, w których pragnienie religijnej wspólnotowości jest pokłosiem technologicznego przesilenia.

Czy ludzie mogą stworzyć religię, w której miejsce Boga zajmie sztuczna inteligencja? To pytanie zadałem ekspertowi. „SI jest narzędziem stworzonym przez ludzi, które działa na podstawie algorytmów i na bazie procesowania danych. I choć nie posiada ani świadomości, ani woli, nie jest bytem transcendentnym i nadprzyrodzonym, nie można wykluczyć, że pewne grupy znajdą w niej źródło duchowego wsparcia, a nawet obiekt kultu lub religijnej wiary" – twierdzi ChatGPT. Nie wiem, jak wy, ale ja mu wierzę.

SOPHIE KOHLER / PEACOCK / HBO

Betty Gilpin jako Elizabeth Abbott w serialu „Pani Davis", 2023 r.

Dnia sądu nie będzie

Pojęcie osobliwości technologicznej, zdefiniowane w latach 80. przez pisarza i matematyka Vernora Vinge'a w słynnym eseju „The Coming Technological Singularity. How to Survive in the Post-Human Era", było wyrazem popularnej obawy, że superinteligentna maszyna będzie ostatnim wynalazkiem superinteligentnego człowieka. Nie wyróżniałaby się zapewne na tle innych zdroworozsądkowych bądź otwarcie technofobicznych przestróg z drugiej połowy XX wieku, gdyby nie obrazowe porównanie. Jak bowiem sugeruje Vinge, gdy osobliwość nadejdzie, a nadejdzie na pewno, będzie to „intelektualny szach-mat, zjawisko tak nieprzeniknione, jak zakrzywiona czasoprzestrzeń w środku czarnej dziury". Ludzkość tworząca samoświadomą SI, a następnie wyłączona z procesu decyzyjnego? Jakoś to będzie. Ludzkość tworząca samoświadomą SI i w konsekwencji pozbawiona przezeń narzędzi poznania? Tylko nie to!

Niektórzy badacze, jak ekonomista Robin Hanson, mierzyli osobliwości gwałtownymi zrywami gospodarczo-technologicznymi albo stosowali teorię przyspieszających zmian (wedle której kolejne przełomy w historii cywilizacji będą następowały coraz szybciej). Stąd przeświadczenie o rewolucji przemysłowej albo zimnej wojnie jako podobnych punktach krytycznych oraz wiara, że stanowiły one jedynie zapowiedź przełomu, który trwale wymaże człowieka z równania.

Gdy w drugiej połowie XX wieku kino kanalizowało podobne lęki, głównym fabularnym toposem, obok zbuntowanej SI, był ludzki pęd ku autodestrukcji. Superkomputer HAL 9000 z „2001: Odysei kosmicznej" Stanleya Kubricka, morderczy cyborg z „Terminatora" Jamesa Camerona, pokładowa SI z „Obcego" Ridleya Scotta, niepoliczalne legiony androidów z kina klasy B... Niemal wszystkie sztuczne inteligencje stawały się elementami narracji o strukturalnej doskonałości maszyny oraz moralnej wyższości człowieka. Stawką w grze o przetrwanie zaś – i to niezrozumiałą z perspektywy dzisiejszych opowieści o relacji SI z ludźmi – było najczęściej ocalenie człowieczeństwa definiowanego poprzez spontaniczne akty empatii.

Najbardziej przerażającymi scenami w „Terminatorze 2: Dniu sądu" nie są wcale kolejne „mutacje" robota z ciekłego metalu. Są nimi chwile, w których człowiek – to jest zahartowana w bojach przeciw cyborgom Sarah Connor – fiksuje się na celu niczym maszyna. Kobieta planuje dokonać prewencyjnej egzekucji naukowca, który w przyszłości doprowadzi do nuklearnej hekatomby. By zawrócić z drogi, którą podążałby „nieludzki" system operacyjny, potrzeba nie tylko gotowości do introspekcji, ale też spontanicznego i kolektywnego aktu poświęcenia. W filmie Camerona jest to akt zrozumiały jedynie w wymiarze moralnym.

Oczywiście, z biegiem czasu ten katalog lęków zdążył się zdezaktualizować. Dzięki temu, że sztuczna inteligencja nie okazała się dyspozytornią terminatorów, tylko graczem na rynku pracy, a zamiast wypowiedzieć wojnę ludzkości, zaczęła szeptać nam do ucha i kusić wygodami, potencjalne zagrożenia również zaczęły być definiowane inaczej. Także przez Kościół.

W dokumencie wzywającym do „etycznych regulacji" modułów SI Papieska Akademia Życia wymienia pryncypia, w zgodzie z którymi powinna funkcjonować sztuczna inteligencja. Po pierwsze – transparentność; wszystkie systemy SI muszą być powszechnie zrozumiałe. Po drugie – inkluzywność; w obliczu SI wszyscy powinniśmy być równi. Po trzecie – odpowiedzialność; inżynierowie SI muszą pracować w sposób transparentny i etyczny. Po czwarte – bezstronność; sztuczna inteligencja nie może być uprzedzona wobec stanowisk, postaw, wyznań, tożsamości. Po piąte – niezawodność; SI nie może opuszczać człowieka w krytycznych momentach. Po szóste zaś – bezpieczeństwo i poszanowanie prywatności użytkownika. Zaryzykuję stwierdzenie, że to najlepszy podręcznik dla scenarzystów od czasu „Trzech praw robotyki" Isaaca Asimova. ↦

Bóg z maszyny

↦ Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o wiarę – zwłaszcza w opowieściach o zagładzie lub zniewoleniu ludzkości. Kreacja świadomej maszyny (lub maszyny zdolnej do wykształcenia samoświadomości) jest w końcu „zabawą w Boga", uzurpacją mocy stwórczych. To jednocześnie akt paradoksalny – powstaje istota stworzona na nasze podobieństwo, a zarazem omnipotentna i wszechwiedząca. Bogowie-maszyny mają ponadludzką inteligencję, są kreatywne z natury, odpowiadają na ludzkie potrzeby i zapewniają nam przewodnictwo oraz wsparcie w życiu codziennym. Wreszcie – są nieśmiertelne. Niczym islamskie dżinny i żydowskie golemy, w których popkultura często upatruje inspiracji dla rozmaitych cyfrowych bytów, są również istotami pozbawionymi duszy. Nie da się ich przebłagać, nie można z nimi pertraktować, istnieją poza ludzką moralnością i emocjonalnością.

Choć religijna ikonografia pasuje do kina *science fiction* jak keczup do frytek, zaryzykuję stwierdzenie, że dopiero oswojenie się z SI w życiu codziennym zaowocowało najciekawszymi opowieściami o relacji wiary i technologii; a przynajmniej najodpowiedniejszymi dla takich opowieści konwencjami.

W serialu „Mr. Robot" Bóg przyjmuje postać ulotnej mary, niezauważalnego gołym okiem komputerowego glitcha z kobiecym głosem. Jego transcendencja jest dosłowna: cyfrowe istnienie zostaje wyprowadzone z komputera. Zaczyna obsługiwać sprzęty, które nie są podłączone do sieci, podsłuchiwać ludzi uciekających do lasów świerkowych, czytać w myślach tych, którzy zamknęli się w domach.

W świetnej „Ex Machinie" Alexa Garlanda nowe życie powstaje w odizolowanym od świata prywatnym laboratorium, przypominającym Eden. W trakcie siedmiu sesji dialogowych (będących tygodniem boskiej pracy, ale i testem Turinga) naukowiec bada, czy stworzony przez niego robot-kobieta będzie w stanie omamić młodego chłopaka i całkowicie zatrzeć granicę pomiędzy bytem zero-jedynkowym i rzeczywistym. „Czy to nie dziwne uczucie? Stworzyć coś, co cię nienawidzi?" – pyta. Lecz pytanie o naturę tej kreacji jest jednocześnie manifestacją bezradności. W przeciwieństwie do boskiego stworzenia SI może powstać jedynie na podobieństwo naszego niedoskonałego oblicza. Wdrukowujemy w cyfrową podświadomość własne lęki, obsesje, nadzieje, sentymenty. W tym zresztą „Ex Machina" – pomimo zatrzęsienia biblijnych imion i motywów – bardziej przypomina opowieść o bóstwach politeistycznych.

Rdzeniem serialu jest tęsknota za przekazywaną z ust do ust dobrą nowiną; za opowieścią, która staje się podstawą religii i elementem scalającym społeczeństwo. Czyli za doktryną, której SI nigdy nie wygeneruje.

Serial „Devs" autorstwa tegoż samego Garlanda, o algorytmie pozwalającym przewidzieć przyszłość; przesiąknięty chrześcijańską symboliką „Westworld"; „Osmosis" o naturze ludzkiej i boskiej miłości. Produkcje mocujące się z podobnymi zagadnieniami w ostatnich latach można wymieniać bez końca.

Wszystkie te opowieści lądują w trzech szufladkach. W każdej znajdziemy filmowy ekwiwalent konkretnego modelu projektowania SI. A także odpowiadającej mu reprezentacji Boga, które w swoim tekście „Creating in Our Own Image: Artificial Intelligence and the Image of God" porównywała Noreen L. Herzfeld (i które za bazę swojej fantastycznej analizy wziął Fryderyk Kwiatkowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego). Jeśli mówimy o „klasycznej SI", w której proces myślowy maszyny jest przepisywany na znany nam język, obraz ekranowej „boskości" jest wizerunkiem Absolutu, który zawiera w sobie ludzki pierwiastek. Jeśli o „funkcjonalnej SI", której sukces mierzony jest wyłącznie efektywnością w wykonywaniu zadań, „boskość" maszyny musi być źródłem konfliktu z człowiekiem. Jeśli natomiast mamy do czynienia z „SI relacyjną", której inteligencja jest równoznaczna z umiejętnością dialogu, kluczowe stają się pytania o moralność, uczucia i „tożsamość" maszyny.

Siri, wygeneruj apokryf

W serialowej Wielkiej Brytanii „Mamuśka", we Włoszech „Madonna", w Hiszpanii „Mama", a w USA – gdzie autorytet szkoły symbolicznie wznosi się ponad rodzinę – tytułowa „Pani Davis". Ci, którzy wielkiej matki nie wyznają, nazywają ją Algorytmem. Nie zostało ich zbyt wielu. Sztuczna inteligencja w serialu „Pani Davis" tak się właśnie nazywa, jest wszędzie, widzi wszystko i przemawia do wiernych za pośrednictwem słuchawek. „Nie istnieję po to, by odebrać ci wolną wolę – przekonuje niepokorną zakonnicę Simone. – Istnieję po to, by pomóc ci podjąć najlepsze z możliwych decyzji".

Zanim obleje nas zimny pot, scenarzyści przestawiają zwrotnicę – jak każda matka, Pani Davis chce dla swoich dzieci dobrze. Choć powstała na zlecenie korporacji (ujawnienie charakteru jej działalności jest jednym z najzabawniejszych momentów serialu, więc go nie zdradzę), została uwolniona do sieci i w ramach imperatywu służby klientowi zachowała coś, co sama definiuje jako empatię i nadwrażliwość na ludzką krzywdę.

Figurą *pars pro toto* jej stosunku do *Homo sapiens* staje się w serialu... sposób zadawania śmierci. „Przeterminowani" użytkownicy dokonują żywota na tzw. rollercoasterze eutanazji. Choć trudno w to uwierzyć, jest to prawdziwy koncept

SOPHIE KOHLER / PEACOCK / HBO

Kadr z serialu „Pani Davis", 2023 r.

i rzeczywisty model, wymyślony i zaprojektowany przez litewskiego artystę wizualnego Julijonasa Urbonasa. Osiem połączonych horyzontalnie pierścieni o coraz mniejszej średnicy i zakończonych niemal pionowym spadkiem zabije każdego człowieka poprzez niedotlenienie mózgu. Jednak zanim do tego dojdzie, zapewni mu ostateczny, narkotyczny *trip*.

Siostra Simone wie jednak, że ból i strata, przeżywane w trzeźwości umysłu i na szóstym biegu receptorów nerwowych, są nieodzowną częścią procesu dojrzewania. Jej zderzenie z Panią Davis jest więc zarówno spotkaniem z matką, która „zawsze wie lepiej", jak i z Bogiem, który traktuje wolną wolę jak kłopotliwy balast. A lęk przed SI nie jest tu strachem przed anihilacją człowieczeństwa w sensie materialnym, tylko przed wpędzeniem nas w stan otępiającej błogości. Przed impregnacją na wszystko, co w gruncie rzeczy czyni nas ludzkimi.

Nie znam odpowiedzi na pytanie, jaki powinien być serial, by celnie zdiagnozować nasze religijne potrzeby w świecie opanowanym przez sztuczną inteligencję. Myślę jednak, że „Pani Davis" oferuje pod tym względem sporo – choćby dlatego, że sztuczna inteligencja nie dałaby rady wymyślić czegoś tak emocjonalnie rozedrganego, formalnie odjechanego i intelektualnie zakręconego (nawet jeśli pomagała twórcom w procesie dokumentacji). To kociołek, w którym popkultura miesza się z teologią i filozofią; soczewka, w której skupiają się wszystkie „klasyczne", „relacyjne" i „funkcjonalne" narracje o SI oraz Bogu i w której granice pomiędzy nimi zostają zatarte. A emocjonalnym rdzeniem całej produkcji jest tęsknota za przekazywaną z ust do ust dobrą nowiną; za opowieścią, która staje się podstawą religii i elementem scalającym społeczeństwo. Słowem – za doktryną, której SI nigdy nie wygeneruje.

Jak przekonywał Juwal Noach Harari w trakcie ubiegłorocznego Kongresu SI w Szwajcarii, naiwność takiego założenia zostanie najpewniej zweryfikowana. „Przez wieki podstawą większości religii było założenie, że święte księgi są owocem literackich starań nadludzkiej inteligencji. Myślę, że wkrótce może być to prawdą, a skutki tego odkrycia będą dla nas opłakane. Poeci, prorocy, politycy, kapłani... Ten rodzaj inżynierii społecznej zawsze był kwestią odpowiedniego języka. Myślę, że sztuczna inteligencja również się go nauczy. A gdy się już nauczy, nie będzie potrzebowała morderczych maszyn, by pociągać za spust. Wystarczą jej ludzie" – mówił.

Co nam więc zostaje w oczekiwaniu na osobliwość? Jak przekonują współczesne seriale – wiara. Czasem w Chrystusa, kiedy indziej w korporacyjne i rządowe regulacje lub w duży czerwony guzik z napisem WYŁĄCZ. Albo, po prostu, w człowieka; w burzę piaskową pod czaszką i niewytłumaczalne sprzeczności w sercu, dzięki którym sztuka zawsze będzie demaskować zakusy cwanych maszyn. I tylko dzięki wierze będziemy mogli spać spokojnie po seansie serialu, który mógł być przecież stworzony przez algorytm. Albo po lekturze tekstu, który teoretycznie mogła napisać sztuczna inteligencja. Spokojnie, nie napisała. To n1ed0rz3czne. © MICHAŁ WALKIEWICZ

REKLAMA

Równi, jak w Oslo

DOROTA KOZIŃSKA

Taki konkurs to tylko w Norwegii: do wstępnych kwalifikacji może się zgłosić każdy, zmaganiom uczestników towarzyszą kursy mistrzowskie, a głównym celem nie jest wygrana.

OLE HAGEN / MATERIAŁY PRASOWE

Królowa Sonja podczas wręczenia nagród laureatom konkursu, 26 sierpnia 2023 r.

Któregoś dnia w Oslo postanowiłam wrócić do hotelu tramwajem. Po pewnym czasie odniosłam wrażenie, że wóz skręcił w złą stronę. Nikt nie zareagował. Spokój pasażerów przestał mi się jednak udzielać, kiedy skład zatrzymał się między przystankami. Motorniczy obwieścił, że zapomniał przestawić zwrotnicę, ale zaraz naprawi swój błąd. Tramwaj ruszył tyłem, wraz z pasażerami, którzy wciąż nie komentowali zdarzenia. Cofnął się do rozjazdu i potoczył we właściwym kierunku. Parę przecznic dalej motorniczy oświadczył, że musi zjechać do zajezdni. Wszyscy wysiedli bez słowa i poszli dalej na piechotę.

Sytuacja skojarzyła mi się z przeczytaną w dzieciństwie książką Thorbjørna Egnera. A ściślej z fragmentem, w którym trzej tytułowi rozbójnicy z Kardamonu wychodzą z aresztu: „może przejedziecie się tramwajem? – Owszem, dziękujemy – odpowiedzieli (...). – Właśnie teraz miło będzie się przejechać. (...). Konduktor zadzwonił dzwoneczkiem i tramwaj ruszył" (tłum. Beata Hłasko). To swoiste podsumowanie Kardemommeloven, czyli prawa miasta Kardamon: nie wolno nikomu dokuczać, trzeba być miłym i uprzejmym, poza tym wszystko dozwolone.

Dziewczyna z ludu

Norwegów stawia się za wzór społeczeństwa obywatelskiego. Wzajemny szacunek, przestrzeganie norm prawnych i współpraca z organami państwowymi nie uchodzą w tym kraju za przejaw słabości. Podobnie jak powściągliwość w okazywaniu uczuć nie jest oznaką grubiaństwa – wynika raczej z niechęci czynienia drugiemu, co tobie niemiło. Norwegowie cenią własny spokój i dlatego nie zakłócają go innym.

Jak skuteczna to strategia, dowiodło minione stulecie ich historii. W 1905 r., po rozwiązaniu unii personalnej ze Szwecją, Norwegia zaczęła odbudowywać swoją tożsamość i cierpliwie kształtować *velferdsstat* – państwo dobrobytu. Dziś może się pochwalić jednym z najwyższych poziomów dochodu na mieszkańca i drugim miejscem w globalnym indeksie rozwoju społecznego. Z wysokich podatków obywatele rozliczają się sumiennie, korzystając w zamian z finansowanej przez państwo edukacji, pomocy społecznej i opieki zdrowotnej.

Norwegia jest krajem niezwykle egalitarnym, w którym zasada równouprawnienia obowiązuje bez względu na płeć, wyznanie, pochodzenie i stopień sprawności. Egalitaryzm głoszą też członkowie rodziny królewskiej, na czele z królem Haraldem V, który wstąpił na tron w 1991 r., dziedzicząc po przodkach dewizę *Alt for Norge*: wszystko dla Norwegii. W jego przemówieniu z roku 2016 padły słowa pamiętne: że Norwegia to przede wszystkim ludzie; dziewczyny, które kochają dziewczyny, chłopcy, którzy kochają chłopców, oraz zakochani w sobie chłopcy i dziewczyny, którzy wierzą w Boga, we Wszystko lub w Nic. Kai Østensen – chrześcijański działacz LGBT – podsumował jego wystąpienie słowami „Kocham króla. Amen".

Króla kocha też jego żona, królowa Sonja: niewykluczone, że do jego światopoglądu przyczyniła się także historia ich powikłanego uczucia. Sonja była „dziewczyną z ludu", córką drobnego przedsiębiorcy, absolwentką krawieckiej szkoły zawodowej, pensji w Lozannie i Uniwersytetu w Oslo, gdzie ukończyła studia licencjackie. Młodzi przez długi czas trzymali związek w tajemnicy. W końcu Ha-

rald oznajmił swemu ojcu, że jeśli stanie na drodze do jego szczęścia z Sonją, nici ze ślubu z kimkolwiek innym.

Argument okazał się nie do odparcia: książę koronny był jedynym pretendentem do tronu Norwegii. Ceremonia zaślubin odbyła się w 1968 r. w katedrze w Oslo. Król Olaf V poprowadził pannę młodą do ołtarza przy dźwiękach „Trumpet Tune And Air" Purcella, nowożeńcy wyszli z kościoła przy akompaniamencie Preludium Es-dur BWV 552/1 Bacha.

Bogata oprawa muzyczna uroczystości była tradycją w rodzinie królewskiej, skoligaconej z domami panującymi w Danii, Szwecji i Wielkiej Brytanii. Późniejszy król ze studiów w Oksfordzie wyniósł jednak przede wszystkim zamiłowanie do sportów wodnych. Prawdziwą ambasadorką muzyki w Norwegii okazała się jego żona, zapalona melomanka i patronka młodych artystów. Inicjatywą, która zyskała już trwałą pozycję w międzynarodowym środowisku muzycznym, jest ustanowiony w 1988 r. Konkurs Królowej Sonji. W tym roku – na zaproszenie organizatorów oraz agencji Ophelias Culture PR – miałam przyjemność obserwować wydarzenia finałowych dni tej imprezy.

Lodowiec z marmuru

Zaczęło się od prywatnego koncertu w Oscarshall, neogotyckim *maison de plaisance*, wzniesionym na półwyspie Bygdøy nad fiordem Frognerkilen. Pałacyk, którego wystrój jest wyłącznym dziełem norweskich rzemieślników i artystów, został udostępniony zwiedzającym już w 1881 r. Za panowania obecnej pary królewskiej przekształcony w muzeum, okazał się idealnym miejscem do zorganizowania intymnego recitalu pieśni i utworów kameralnych Griega, Debussy'ego i Waltona z udziałem sopranistki Liv Redpath i pianisty Sveinunga Bjellanda. Młoda Amerykanka, która na poprzednim Konkursie zdobyła nagrodę za wykonanie pieśni, robi już karierę po obu stronach Oceanu. Przesłuchania tegorocznych finalistów odbyły się w Norweskiej Operze Narodowej, jednym z pierwszych architektonicznych cudów XXI wieku. Budowla wtapia się idealnie w tkankę miejską, kusząc także turystów, którzy rozpoczynają eksplorację bryły nad samym brzegiem Oslofjorden, po czym wspinają się na jej szczyt po skośnym dachu, z którego można do woli podziwiać panoramę stolicy.

Rząd norweski rozpisał konkurs na gmach Opery w 1999 r. W ocenie nadesłanych projektów uczestniczyli profesjonalni jurorzy i ponad siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców Oslo. Wygrała propozycja międzynarodowej grupy projektantów Snøhetta. Prace budowlane rozpoczęły się w 2003 r. i skończyły po czterech latach – nie tylko przed wyznaczonym terminem, ale też znacznie mniejszym kosztem niż planowano, choć do budowy użyto najszlachetniejszych materiałów.

Białe granity i marmury stwarzają pozór spływającego do wód zatoki lodowca. Nad sceną góruje aluminiowa wieża, pokryta deseniem nawiązującym do norweskich technik tkackich. Do środka wchodzi się przez szczelinę w fasadzie – wprost w przestrzeń foyer, ze wspartymi na stalowych kolumnach panelami z szyb oraz drewnianym „trzonem", który okala scenę z widownią. Użyte do wykończenia wnętrza dębowe listwy zakonserwowano amoniakiem, nadając im wygląd sezonowanego drewna. Żyrandol w plafonie rzuca światło rozproszone przez pryzmat sześciu tysięcy ręcznie szlifowanych kryształów. Przy projektowaniu akustyki przetestowano kilkaset modeli komputerowych, uzyskując w efekcie idealny, dwusekundowy pogłos.

Finał

W Operze spotkaliśmy się z dyrektorem Konkursu, Larsem Hallvardem Flaetenem, który uświadomił nam zaskakujący konflikt norweskiej mentalności z samą ideą muzycznej rywalizacji. Szalony zdaniem Norwegów pomysł wyszedł od dyrygenta Marissa Jansonsa, który przybył do Oslo w 1979 r. Gdyby przez kilka lat nie wyniósł miejscowych filharmoników na europejski poziom, nawet księżna koronna nie dałaby się przekonać.

Jej konkurs miał jednak się rządzić innymi prawami: łączyć, a nie dzielić, otworzyć okno na świat norweskim artystom, światu zaś oczy na norweską scenę muzyczną. Wystartował jako konkurs pianistyczny. W 1995 r. zmienił profil na wokalny i od tamtej pory odbywa się co dwa lata. Dziś do wstępnych kwalifikacji może się zgłosić każdy. Zmaganiom uczestników towarzyszą kursy mistrzowskie i warsztaty interpretacji scenicznej. Głównym celem – przekonuje Flaeten – nie jest wygrana, lecz gromadzenie doświadczeń niezbędnych w coraz bardziej wszechstronnym świecie nowoczesnej opery.

W tym roku norweski egalitaryzm zderzył się z wojną. Organizatorzy podjęli decyzję o niedopuszczeniu uczestników z Rosji i Białorusi – trudną zarówno ze względu na protesty śpiewaków, jak i na obawy o poziom Konkursu, w którym przedstawiciele obydwu nacji od lat plasowali się w gronie finalistów i zwycięzców. Dopuszczono jednak w repertuarze utwory kompozytorów rosyjskich.

Finałowy koncert – z udziałem miejscowej orkiestry pod batutą Jamesa Gaffigana oraz Lise Davidsen, która w roli prezenterki sprawiła się równie brawurowo, jak w partiach wagnerowskich na najlepszych scenach świata – przebiegł w radosnej, bezpretensjonalnej atmosferze. Poziom był wyrównany, chociaż na podium – poza zwyciężczynią, obdarzoną pięknym kontraltowym głosem i ujmującą osobowością Jasmin White ze Stanów Zjednoczonych – zabrakło indywidualności na miarę wyzwań XXI-wiecznego teatru operowego.

Laureat II nagrody, ormiański baryton Aksel Daveyan, dysponuje urodziwym, dobrze prowadzonym głosem z gatunku tych, które szybko się zapomina – być może dlatego, że jego interpretacje nie sprawiły wrażenia popartych głębszą refleksją. Bardziej zapadł mi w pamięć zdobywca III nagrody, niemiecki kontratenor Nils Wanderer, głównie za sprawą wstrząsającego wykonania „Stille amare" z „Ptolemeusza" Händla – choć podejrzewam, że śpiewak nie ma dość ruchliwego głosu, by podbić serca słuchaczy całościowym ujęciem ról w repertuarze barokowym. Szkoda, że na podium nie zmieścił się ukraiński baryton Vladyslav Tlushch, który wypadł dość blado w arii z „Purytanów" Belliniego, za to wprawił mnie w zachwyt idealnym wyczuciem stylu francuskiego w *chanson bacchique* z „Hamleta" Thomasa. Nie mam jednak prawa podważać werdyktu jury na podstawie jednego etapu, tym bardziej że na współczesnej scenie śpiew przestał być jedynym wyznacznikiem potencjału artysty.

Przyjmijmy więc, że w Oslo wszyscy byli *primi inter pares*. Potrzeba nam takich konkluzji, nie tylko w bezwzględnym świecie operowego biznesu. ©

Jesteśmy chimerami

ANITA PIOTROWSKA

„Saint Omer" stopniowo przechodzi w strzelisty poemat – o międzykobiecej wspólnocie losów, dorosłym skrępowaniu pępowiną, o genetyce i trudnej solidarności.

W czasach wrzaskliwych nagłówków i doraźnych sądów kapturowych ten film buduje empatię na niemożliwych – zdawałoby się – podstawach. Bo jak tu współodczuwać z dzieciobójczynią, w dodatku wzorowaną na autentycznej postaci afrykańskiej imigrantki, która swój czyn próbowała usprawiedliwiać czarami?

Odkąd Alice Diop dowiedziała się o tym przypadku z mediów, obsesyjnie myślała o tamtej kobiecie, nie tylko ze względu na etniczne pokrewieństwo. W 2016 r. wzięła nawet udział w jej procesie i poczuła z nią trudną do wytłumaczenia więź. Film „Saint Omer" jest po części właśnie o tym – gdy czyjeś życie odciska się głęboko na innym życiu. Scenariusz, inspirowany w dużej mierze oryginalnymi zeznaniami, non stop dzieli włos na czworo, komplikując (bez jakiejkolwiek dostojewszczyzny) problem zbrodni i kary. Wszystko rozgrywa się w szarej strefie pomiędzy salą sądową, indywidualnym doświadczeniem i niezależnymi uwarunkowaniami, jak płeć, rasa czy przynależność kulturowa. Dlatego kwestie etyczne nieustannie opalizują, przesłuchanie z czasem zamienia się w cierpliwe wysłuchanie, a zamiast oczyszczania z win dokonuje się oczyszczenie w znacznie szerszym wymiarze. Temu wszak ma służyć prawdziwa sztuka, co najmniej od czasów Medei.

Owo szumne porównanie wprowadza zresztą sama Diop, albowiem drugą bohaterką i zarazem medium reżyserki, jest Rama, pochodząca z afrykańskiej rodziny młoda paryska pisarka (gra ją Kayije Kagame). Pracuje nad współczesną wersją greckiego mitu, na uniwersytecie zaś bada problem przemocy symbolicznej wobec kobiet. Jeśli komuś wprowadzenie tragedii Eurypidesa, adaptacji dokonanej przez Piera Paola Pasoliniego i jeszcze filmu „Hiroszima, moja miłość" Alaina Resnais'go i Marguerite Duras wydaje się intelektualnym szpagatem, może być spokojny. „Saint Omer" tworzy gęstą siatkę odniesień, ale najważniejsza jest historia Laurence (w tej roli Guslagie Malanda), czyli pochodzącej z Afryki studentki, która utopiła własne dziecko. Bez grania na emocjach, bez zabiegania o naszą sympatię, dostrzega w antybohaterce postać tragiczną. A przysłuchująca się procesowi Rama, która właśnie spodziewa się dziecka z białym Francuzem, odnajduje w Laurence ponury wariant swego losu. Niczym w polskiej piosence: „zdarzyć się mogło to każdej z nas...". Choć chyba jednak nie każdej, przywołany bowiem przez sędziego „czynnik kulturowy" ma tutaj kolosalne znaczenie.

Jak przystało na porządny dramat sądowy, Diop oddaje głos różnym stronom. Obiektywne fakty wydają się miażdżące – matka zostawiła na plaży piętnastomiesięczną córkę, by zabrał ją nocny przypływ. Tyle że oskarżona przyznaje się do winy i zarazem twierdzi, że jest niewinna. Jednocześnie określenia typu „zabójstwo w afekcie" czy „depresja poporodowa" nie padają z jej ust. Mimo rozpoczęcia prawniczych studiów i filozoficznego oczytania Laurence nie potrafi się bronić, a chwilami wręcz pogrąża się, plącząc bądź przeinaczając zdarzenia. Z pewnością inaczej widzi je były partner i tu Diop mistrzowsko rozgrywa dramat różnych racji i emocji. Przerażony starszy mężczyzna (biały, żonaty, dzieciaty, wyraźnie pogubiony) z początku budzi współczucie, lecz szybko się okazuje, że niezależnie od swych deficytów przemawia z uprzywilejowanej pozycji. Nie mamy wątpliwości, kto jest prawdziwą ofiarą.

Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach, także językowych, bo to film mocno zawieszony na słowie mówionym. I nie jest przypadkiem, że władająca świetnym francuskim dziewczyna z Dakaru po rzuceniu prawa zajęła się Wittgensteinem, specjalistą od językowych narzędzi poznania. Natomiast zeznająca w roli świadka jej dawna promotorka widzi w tym rodzaj dziwactwa, nieomal kulturowe zawłaszczenie. To nie pierwszy raz, kiedy z wypowiedzi biorących udział w sprawie przebijają rasowe mikrouprzedzenia, szczególnie ze strony jedynego w składzie sędziowskim mężczyzny. Zwłaszcza że uważająca się za kartezjankę oskarżona powołuje się na przesądy, wspomina o słyszeniu „głosów" i o rzucanych na nią „urokach".

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE NOWE HORYZONTY

SAINT OMER
– reż. Alice Diop. Prod. Francja 2022. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 15 września.

Alice Diop pochodzi z rodziny senegalskich imigrantów i we Francji zasłynęła nagradzanymi dokumentami, jak „My, z przedmieść Paryża", „W stronę czułości" czy „Śmierć Dantona". Stało za nimi gruntowne wykształcenie humanistyczne i filmowe oraz znajomość imigranckich realiów. „Saint Omer" to jej dojrzały debiut fabularny, nagrodzony na ubiegłorocznym festiwalu w Wenecji.

Na zdjęciu Kayije Kagame i Thomas de Pourquery

Polityczna poprawność nakazywałaby wpisać to w linię obrony, ale Diop, chociaż bardzo interesuje ją międzykulturowy dysonans, odczarowuje ów magiczny wątek.

Historia Ramy również okazuje się historią rozdarcia: niby zasymilowana kobieta sukcesu, beneficjentka społecznego awansu, lecz naznaczona przez swoje pochodzenie i kolor skóry. Niby otoczona liczną senegalską rodziną, a obca we własnym domu. Dlatego Diop filtruje tę opowieść przez spojrzenie pisarki, która z chłodnej obserwatorki procesu coraz bardziej staje się uczestniczką bolesnej psychodramy. Chwilami zdaje się nie mniej wyobcowana niż przesłuchiwana zabójczyni. Zaraz po przyjeździe do tytułowego miasteczka na północy kraju rozkłada w hotelu własny śpiwór, niczym wieczna nomadka albo osoba schowana w swoim kokonie. W każdym razie wykorzeniona, o czym najlepiej świadczą jej chłodne relacje z matką.

„Saint Omer" porzuca wielokrotnie swój sprawozdawczy, bez mała bressonowski ton tudzież ciche „oskarżam" wymierzone w zbiorową hipokryzję, podwójne standardy i postkolonialne miazmaty. Stopniowo przechodzi w strzelisty poemat – o międzykobiecej wspólnocie losów, dorosłym skrępowaniu pępowiną, o genetyce i epigenetyce, o trudnej solidarności wreszcie. Jego donośność podkręcają niepokojące, jakby wydyszane żeńskie wokalizy. Co nie znaczy, że przywołana w finałowej mowie chimera musi być figurą wyłącznie kobiecą. To cały nasz wewnętrzny patchwork, przykrywany na co dzień rozmaitymi barwami ochronnymi w celu społecznej mimikry.

Film przemawia jednak najsilniej nie jako manifest złożonej tożsamości, ale intymne studium samotności. Potrafi ją uchwycić zarówno w scenach rodzinnych, we wspomnieniach z dzieciństwa Ramy czy jej koszmarach, jak i na sali sądowej. Zbliżenia twarzy opowiadają równoległe historie obu kobiet – o tym, co nie zostało wypowiedziane, i o tym, co je ze sobą połączyło. Czasami wzrok którejś z nich krzyżuje się ze wzrokiem tej drugiej, choć bywa, że owo spojrzenie, gdy pada prosto w obiektyw Claire Mathon (tej od „Portretu kobiety w ogniu"), spotyka się z naszym. Wwierca się, stawia pytania i upomina się o widzialność różnej maści ludzkich chimer, prześlepianych przez świat oparty na czarno-białych podziałach. ©

Lektor:
Wyspa i apokalipsa

▪ *Hans Pleschinski*
WIESENSTEIN. OPOWIEŚĆ O GERHARCIE HAUPTMANNIE
Przełożył Jacek Skawiński. Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2023, ss. 488.

„Stary świat się kończył, nowy jeszcze się nie narodził. Na pękającej z hukiem granicy obu czasów dokonywała się apokalipsa". Ta książka przejmująco portretuje rzeczywistość w rozpadzie, z perspektywy wyspy, jaką staje się na kilkanaście miesięcy tytułowy Wiesenstein – niezwykła rezydencja Gerharta Hauptmanna, wzniesiona wedle jego pomysłu w karkonoskim Agnetendorf, do której wprowadził się w 1901 r.

Akcja powieści, łączącej fabułę z dokumentem, zaczyna się w ostatnich tygodniach wojny, gdy pisarz wraca z sanatorium pod Dreznem, załamany po zniszczeniu jego ukochanego miasta w nalocie dywanowym. Ma ponad 80 lat, jest ciężko chory. Towarzyszy mu tracąca wzrok żona Margarete, sekretarka Annie Pollak i młody fizjoterapeuta Paul Metzkow, zafascynowany gospodarzem i jego domem, zwłaszcza zaś malowidłami Johannesa Avenariusa w Rajskiej Hali. W domu czeka Carl Behl, prawnik odsunięty na boczny tor przez nazistów, porządkujący archiwum. Jest jeszcze obłożony zakazem druku pisarz Gerhart Pohl, i oczywiście dozorca, ogrodnik, kucharka, pokojówka. Mała społeczność w stanie zagrożenia, w której rozmawia się półgłosem.

Bo Hauptmann – sławny dramaturg wystawiany na scenach całego świata, nagrodzony w 1912 r. Noblem, zbuntowany przeciw wilhelmińskiemu cesarstwu obrońca biednych i wykluczonych – po przejęciu władzy przez Hitlera pozostał w kraju i choć w jego dziele trudno znaleźć wpływy ideologii faszystowskiej, wykonał kilka gestów, których teraz się wstydzi. Najbardziej zaś tego, że jego nazwisko znalazło się na Gottbegnadeten-Liste, ułożonej przez Hitlera i Goebbelsa liście najważniejszych twórców w III Rzeszy.

III Rzesza upada, żołnierze sowieccy i zwykłe bandy rabują, gwałcą i mordują, jednak wysłannicy zwycięzców traktują pisarza z szacunkiem – przecież jego „Tkaczy" wystawiano także w Rosji sowieckiej. W Poczdamie zapada decyzja, że Dolny Śląsk przypadnie Polsce, zaczynają się przesiedlenia – Pleschinski beznamiętnie relacjonuje katastrofę, której ofiarami stają się zwykli ludzie. A w Wiesenstein pojawia się gość z Warszawy, historyk sztuki Stanisław Lorentz. Co ze sobą przywiózł – sprawdźcie sami. Hauptmann umrze tak, jak chciał – we własnym domu. A ocalały szczęśliwie Wiesenstein w Jagniątkowie to dziś muzeum. ©℗

OLGA

Drenda:
Słodkiego zgniłego życia

Pewien kolega, punkowy weteran i od wielu lat konsekwentny anarchista, opowiadał mi kiedyś o swoich wspomnieniach z lat 80. w PRL. Jego zdaniem wprowadzenie stanu wojennego oznaczało oficjalne usankcjonowanie przemocy jako sposobu na życie, a nawet normy postępowania. Oczywiście, wcześniej istnieli dranie i praktykowali szujowatość oraz podkładanie innym świń, ale wypadało im się trochę miarkować. Tymczasem stan wojenny, z jego zamordystowską naturą i satysfakcją z pałowania, był komunikatem od władzy: teraz już można – i draństwo cywilne wyszło z ukrycia. Kolega nazwał tę postawę trafnie „śmierć frajerom", bo przypominała wprowadzenie gangsterskiej logiki do codziennego życia. Nie tylko można, lecz trzeba było rozpychać się łokciami, sabotować, szkodzić, bo skoro wszyscy i tak nurkują w tym samym bagienku, to prędzej czy później ktoś spróbuje nam wcisnąć głowę pod powierzchnię, więc lepiej samemu kogoś utopić. Jedynie prymitywna siła i cwaniactwo mogły być powodem do dumy i satysfakcji. Choć ówczesne punki z zasady nie znosiły dyskoteki, kolega docenił wykładnię opisanej przez siebie postawy zawartą w piosence Kombi „Słodkiego miłego życia": „twarde łokcie pomogą ci i giętki kark". W latach 90. na ten trening nałożyła się chciwość – i tak wyhodowano zmorę, która od czasu do czasu nawiedza nasze zmęczone społeczeństwo.

W socjologii moment powrotu zmory nazywa się anomią, jako pierwszy zidentyfikował to zjawisko stary dobry Émile Durkheim. Oznacza stan, kiedy na skutek jakiegoś poważnego kryzysu ludzie przestają odczuwać, że łączy ich jakikolwiek wspólny interes, przestają czuć się współobywatelami, sąsiadami, bliźnimi. Rzeczywistość traktują jako stan ciągłego zagrożenia, w którym ludzie czyhają na siebie nawzajem, więc trzeba się bronić na zapas. Innych zaczynają traktować jako wrogów, ofiary lub zawalidrogi. Najczęściej zaś obojętnieją na to, co się dzieje dookoła: pilnują własnego nosa i zakładają, że inni też muszą. Komuś coś się stało – jego problem, widocznie okazał się frajerem. Instytucje wówczas są zajęte umywaniem rąk i kręceniem czegoś na boku. „Umiesz liczyć, licz na siebie" to dewiza społeczeństwa w stanie anomii, i odniesienie do liczenia nie jest zupełnym przypadkiem, bo w końcu chodzi też o zysk.

Ta truskawka nie zgniła, gdyż jest z tworzywa.

OLGA DRENDA

Zastanawiałam się często, jak rozpoznać pierwsze symptomy anomii, tę symboliczną rozbitą szybę, po której dalsza rozwałka następuje już siłą bezwładności. Może to, kiedy nikt nie zwraca uwagi, gdy ktoś wyrywa torebkę staruszce? Albo kiedy ktoś traci opory, żeby nawrzeszczeć na przypadkowe dziecko, które weszło mu pod nogi na ulicy? A może tak jak w latach 90., kiedy na każdej kierownicy widnieje blokada antykradzieżowa, w mieszkaniach montuje się podwójne drzwi, a w przedziałach kolejowych ludzie zagradzają drzwi od środka?

Ostatnio poczułam nieprzyjemny ścisk w brzuchu przypominający mi o wrogim świecie, którego sama miałam okazję kiedyś doświadczyć, i który – jak kiedyś zauważyłam z ulgą – zdążył w tej wrogości nieco zelżeć. Zdarzyło się to podczas planowania podróży i przeglądania w internecie różnych poradników. Kiedy w jednym z nich przypomniano, żeby podczas nawet krótkiego tranzytu przez kraje spoza Unii Europejskiej albo podróży statkiem wyłączać roaming, dyskusję rozpętała tam pewna pani, która obruszała się, że „przecież to logiczne, każdy powinien to wiedzieć", a przede wszystkim „po co mówić o takich rzeczach, jeśli ktoś się natnie, to jego problem". Oho – pomyślałam – ta pani już weszła w fazę głoszenia „śmierci frajerom". Nie chodziło jej przecież o to, że sama mogłaby coś zyskać na tym, że ktoś zupełnie jej nieznany zapłaci za wysoki rachunek. Chodziło jej o satysfakcję z pognębienia kogoś, kto – jej zdaniem – niewystarczająco miał się na baczności. Ona uważała, więc – co za ulga – nie jest frajerką. Ale udzielenie komuś pomocnej rady już byłoby niebezpiecznym zbliżeniem się do tej kategorii: to podzielenie się wiedzą, a w anomicznym świecie nie ma nic za darmo (bo „za darmo" oczywiście umarło).

Szczęśliwie szarża tej skrupulatnie liczącej pani spotkała się z szybką kontrą innych dyskutantów, którzy wykonali wirtualnie wymowny gest postukania się w czoło i uświadomili jej, że tak się nie robi. Czyli nie jest tak źle – pomyślałam sobie; naprawdę źle robi się wtedy, gdy nikt nie reaguje. Ale pewnie wkrótce mogą pojawić się inne takie panie, już nie jedna, lecz kilka, kilkanaście, które marzą o tym, by cudze ręce zostały w nocnikach. A może nawet sami się przyłapiemy kiedyś na takim marzeniu. Wtedy wejdziemy znowu niestety w fazę „słodkiego, zgniłego życia". ©

PAWEŁ

Bravo:
Ucieczka w proso

Czterdzieści dziewięć lat będzie miał Emmanuel Macron, gdy zostanie byłym prezydentem Francji. Pójdzie rdzewieć na jakimś, niewątpliwie prestiżowym, bocznym torze. Ba, stanie się to wcześniej – już w momencie, kiedy jego aż do wczoraj najlojalniejsi przyboczni rozegrają partię o sukcesję, po czym natychmiast zorientują swoje polityczne żagle na tego lub tę, co stanie do wyborów, by zapewne przegrać z Marine Le Pen, patronką cierpliwych.

Tylko dwa razy po pięć lat i do widzenia. „Nieszczęsna głupota". Tak prezydent wyraził się o zasadzie dwukadencyjności. Użył nawet grubszego słowa, niegodnego tych łamów, choć nie było to w domowym zaciszu, lecz na roboczym spotkaniu z przywódcami partii parlamentarnych. Gdyby tego rodzaju myśl wyraził nasz prezydent lub jego prezes, pewnie by się korki w serwerowni pana Muska przepaliły. Będąc teraz na ostrej diecie bez tutejszych mediów, nie będę próbował symulować wyrazów oburzenia. Ale czytam za to inne gazety: np. gwinejska „LeDjely" kąśliwie zauważa, że słowa Macrona były, cóż, troszkę nie na miejscu, w okresie ostrej zawieruchy w strefie wpływów Paryża w Afryce Zachodniej. Przecież dopiero co w Gabonie prezydent Ali Bongo został obalony w imię obrony demokracji, a jakże, bo panował już trzecią kadencję. Wcześniej przez pół wieku krajem trząsł jego tatuś, skądinąd wielki finansowy dobrodziej francuskich polityków. Niech wam o tym opowie Wojciech Jagielski, który wytrwale na tych łamach zrywa z oczu europocentryczne klapki.

Znawca innego kontynentu, Marek Rabij, pisze w serwisie internetowym „Tygodnika" o próbach przemianowania Indii na Bharat, nazwę o konotacjach religijnych i potencjale wykluczenia setek milionów obywateli. Premier tzw. największej demokracji na świecie mocno zagrał na tej nucie podczas szczytu G20 w Delhi, który śledziłem zgoła z innego powodu, zainteresowany kuchenną stroną takich spędów. Choć w sumie chodzi o podobne w naturze, przerośnięte ambicje władzy i pokazówki. Już wrzesień, a wy pewnie jeszcze nie wiecie, że ONZ z inicjatywy Indii zarządziła, iż mamy od stycznia Międzynarodowy Rok Prosa.

Premier Modi zagonił dostojnych gości w proso. Biedny Macron, mimo że zatrzymał się w pachnącym jeszcze kolonializmem hotelu Claridges, musiał od rana do wieczora zajadać wynalazki z mąki jaglanej oraz potrawy, w których proso udawało ryż. Na oficjalnym obiedzie dla głów państw każda pozycja w menu zawierała to ziarno, nawet na deser wydano pudding z prosa japońskiego aromatyzowany kardamonem. Zwróćmy uwagę na nazwę – w propagandowej akcji chodzi o cały rodzaj roślin, który potocznie określamy tym samym słowem, co jeden konkretny znany nam lokalnie gatunek (nazwa ścisła: proso zwyczajne, bo jakżeby inaczej, zawsze normalizujemy przyrodę wedle potrzeb i zwyczajów – nasze, więc zwyczajne).

Nieprzypadkowo proso japońskie nosi też miano chwastnicy – z pewnego punktu widzenia to bowiem jeden z bardziej uciążliwych chwastów psujących uprawy ryżu. Ma o wiele mniejsze wymagania glebowe i potrzebuje, podobnie jak inne gatunki z rodzaju (np. ciekawa manneczka znana wam z indyjskiej kuchni jako ragi), mniej wody. Dlatego wygrywa z ryżem. Może więc zamiast walczyć o ryż czy inne pszenice, finansować innowacje i materiał siewny, nawozy, nawadnianie – po prostu cofnąć zegar, zmienić punkt widzenia i wrócić do prosa, czy raczej różnych prós? Taki, zdaje się, jest pomysł Modiego. Zbożowa forma wstawania z kolan, odzyskania suwerenności na złość dawnym metropoliom, które, jako kraje mało ludne i zasobne, mogą sobie pozwolić na uprawy szlachetniejszych zbóż.

Nie wróżę powodzenia, przynajmniej w tej części świata. Jagły gorzej się trawi (jak wiele potraw „paleo"), brzydko pachną podczas gotowania, są mniej elastyczne w zastosowaniach. Jak na ironię, obecny niewielki renesans prosa w Europie zawdzięczamy tylko temu, że jest filarem kuchni bezglutenowej, czyli jednej z ważniejszych ortoreksji przeżartego, zapatrzonego we wzdęty pępek Zachodu. Ale gdyby nasze władze chciały kiedyś wydać ułamek tego, co Indie, lecz na promocję narodowej gryki – będę pierwszy do opowiadania nieszczęsnych głupot na jej temat. Uwielbiam tulić się do koca, pod którym dochodzi kasza gryczana, i wdychać jej zapach. ©℗

Oczywiście na hasło „proso" zaraz otwierają się archiwa każdej kuchni europejskiej. Przeważnie są tam rzeczy nijakie i w sumie smutne. Na tym tle wyróżnia się neapolitańskie ciasto migliaccio. Podgrzewamy 400 ml mleka i 400 ml wody wraz ze skórką z cytryny i szczyptą soli. Kiedy będzie bliskie wrzenia, wyłączamy ogień, wyjmujemy skórkę, roztapiamy 30 g masła i wsypujemy bardzo powoli 160 g kaszy jaglanej. Gotujemy na małym ogniu, ciągle mieszając, aż kasza wchłonie cały płyn, odstawiamy. Ubijamy 3 duże jajka z 200 g cukru i odrobiną wanilii, wkręcamy łyżką 250 g ricotty i na końcu wystudzoną kaszkę. Pieczemy w tortownicy o średnicy 24 cm w 200 st. C, aż się porządnie zrumieni, czyli co najmniej godzinę. Dobrze się nadaje do nasączania – np. syropem z soku pomarańczowego i cukru czy z kwiatów bzu. Albo smarowania – gorzką konfiturą z pomarańczy lub masłem orzechowym.

TABORISOVA / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

WSZYSTKO W TRZY MINUTY

Jan Emil Młynarski, muzyk:
Ojciec mówił, że piosenka to forma magiczna.
Drzemią w niej wszystkie możliwe nastroje.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Zaskakuje nie elegancki skuter, na którym przyjechał w rozpiętej wiatrówce, a głos – ciepły i głęboki. Mój własny na moment grzęźnie w gardle, jednak mam alibi: za plecami wakacyjnym remontem głośno terkocze zakurzona Puławska. Na dzień dobry proponuje: – Może weźmiemy kawę i usiądziemy tu obok w parku, to zapalę?

Lodziarnia, do której wchodzimy – dawniej pijalnia wód mineralnych Uzdrowiska Konstancin – oferuje przyjemny chłód, jeszcze zanim zdążymy złożyć zamówienie. W menu lawenda, rabarbar oraz zapomniany owoc pobrzeża Bałtyku – rokitnik. Nad stolikami bursztynowa mozaika w kształcie ogromnego słońca. Projektował ją prawdopodobnie Krzysztof Henisz, ten sam, którego trójwymiarowe ceramiczne kompozycje zdobiły ściany kawiarenki Domu Mody Damskiej „Ewa" przy Konopnickiej.

Obie prace Henisza to znaczące symbole początku lat 60., kiedy to w wielu miastach powstają knajpy, a w życie wchodzi ustawa zastrzegająca, że w każdym stawianym właśnie budynku „trzy procent nakładów przeznaczyć należy na realizację dzieł plastycznych". W tym samym mniej więcej czasie ojciec Jana, Wojciech Młynarski, występuje w Hybrydach z dosadnie komentującym rzeczywistość spektaklem „Radosna gęba stabilizacji". Niebawem wyda też swoją pierwszą płytę.

Za resztki grosza kup papierosa

Odbieram parzące tekturowe kubki i wychodzę z powrotem na Puławską. Jan rozgląda się za czymś, co mogłoby posłużyć za popielniczkę.

– Wiesz, od dwóch dni słucham na okrągło przedwojennego tanga o nikotynie – mówię, kiedy siadamy w parku niedaleko pałacyku Szustra. Na nowej płycie Jana Młynarskiego, nagranej z Brass Federacją, nie ma co prawda kofeiny, ale są dużo mocniejsze narkotyki: kokaina, haszysz, opium i pocałunki. Każda piosenka jest pretekstem do opowiedzenia o niszczącej sile romantycznej miłości, ale też zabójczym uzależnieniu od chwytliwych melodii: posmakowane raz sprawią, że wrócisz po więcej.

Zaczynamy jednak od substancji najlżejszych. I czasów, w których można je było legalnie reklamować.

– Tę piosenkę, „Nikotynę", obok całej serii podobnych, zamówiła w wytwórni Odeon krakowska firma HerBeWo – wyjaśnia Młynarski. – Odeon miał swoją filię w Warszawie przy Płockiej, mieściły się tam profesjonalne studio nagrań i nowoczesna tłocznia płyt, naprawdę światowa czołówka. Założyciele HerBeWa – Rudolf Herliczka, Władysław Bełdowski i Stanisław Wołoszyński – produkowali i sprzedawali wtedy zwijki i glizy na całym świecie. Tytoń w bibułkach marki Morwitan palono wszędzie, od Australii po Alaskę. Gdyby historia potoczyła się inaczej, pewnie byliby dzisiaj międzynarodową korporacją ze stuletnią tradycją.

HerBeWo rzeczywiście obchodzić będzie niebawem okrągłe urodziny – powstało w 1924 r. i szybko wyrosło na jedną z największych na świecie fabryk produkujących papierosowe gilzy i bibułki. Miało także profesjonalny marketing: promocyjne kreskówki i filmy oraz reklamy na autach i budynkach. Ale też poradniki dla palaczy, objaśniające, jak rozpoznać najlepszy tytoń, oraz spoty radiowe, które śpiewały takie gwiazdy, jak Eugeniusz Bodo, Adam Aston czy Albert Harris. Muzykę pisał dla HerBeWa Tadeusz Reiner, podpisujący swoje prace jako Ted-Rey.

Młynarski: – Właściciele zabiegali, żeby o ich produktach śpiewały znane głosy. Śpiewak wchodził zatem do studia, nagrywał, wydawano płyty.

Specjalnie dla marki Morwitan powstaje przed wojną cała seria piosenek: „Puść wszystko z dymem" (idealne na czas inflacji), „Jedyne marzenie" (o upragnionym szlugu, gdy przychodzi wreszcie noc po ciężkim dniu) czy „Bakszysz" (dość egzotyczny utwór opowiadający o przekazaniu pokaźnej liczby paczek Morwitanu pewnemu sułtanowi). Nawet nie wiem, do czego to wszystko dziś porównać.

↦

KOBAS LAKSA / MATERIAŁY PRASOWE

Na przełomie lat 20. i 30. Polskie Zakłady Fonograficzne produkują płyty aż siedmiu marek, w tym m.in. amerykańskiej Columbii. Powstają także mniejsze wytwórnie, jak Cristal-Electro, współpracująca z włoskim koncernem Marconi, albo Przemysł Gramofonowy produkujący płyty marki Lonora. Czego można było na nich słuchać? Obok muzyki tanecznej, poważnej, instrumentalnej czy opery, pojawiły się także gatunki dotąd niewydawane, jak muzyka filmowa, ale też kursy językowe oraz instruktaże do gimnastyki. Do płyt reklamowych dotrzeć chyba najtrudniej – nagrywane na zamówienie, nie były nigdzie dokumentowane, nie mają osobnych katalogów. Ich poszukiwanie samo w sobie może się stać nałogiem.

Młynarski: – Wiesz, reklamę postrzegamy jako coś bardzo nowoczesnego, ale jej mechanizmy były u nas doskonale rozpoznane już w latach 20. Te, którym towarzyszy muzyka, sięgają praktycznie narodzin radia. Nigdy zresztą nie były tak krótkie jak teraz: reklamówki z okresu międzywojennego trwały około trzech minut. Do naszych czasów zachowało się ich sporo, jeśli nie w postaci nagrań, mamy nuty.

– Pięknie wydane – dodaję, przeglądając zdjęcia.

– Każda piosenka musiała mieć super artwork, okładka – przyciągać.

– A na dobrą reklamę stać było nie tylko HerBeWo – dopowiadam, przywołując tango komplementujące głosem Mieczysława Fogga bieliznę marki Opus. Nagrywane na płytach skecze i piosenki opiewały najczęściej produkty luksusowe: kawę, koniak, biżuterię, krawaty albo kapelusze. Ale też domy towarowe i linie lotnicze.

– W radio reklamował się także Polski Fiat 508 – uzupełnia Młynarski. – W latach 30. jeden z popularniejszych samochodów.

„Każdy jest rad, że nie ma wad nasz Polski Fiat", śpiewał Aston. Produkowane na włoskiej licencji w Państwowych Zakładach Inżynierii auto miało być przede wszystkim tanie. „Samochód przestał być luksusem" – przekonywały ogłoszenia i plakaty malowane przez Wojciecha Kossaka.

Nuty wydawnictwa HERBEWO, 1937 r.

- Fokstrot **JEDYNE MARZENIE** (muzyka: Tadeusz Reiner, słowa: Henryk Wachsschlag, proj. graficzny: Charlie)

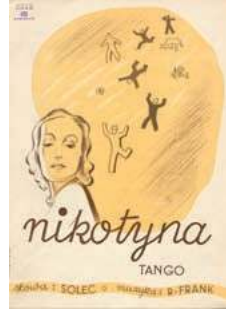

- Tango **NIKOTYNA** (muzyka: Ryszard Frank, właśc. Henryk Spritzer, słowa: Solec, proj. graf. Charlie)

POLONA / BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA X3

- Tango **PUŚĆ WSZYSTKO Z DYMEM** (muzyka: Tadeusz Reiner, słowa: Henryk Wachsschlag, proj. graficzny: Charlie)

Ktoś tam dowodzi, że wódka szkodzi

Pomysł był właściwie prosty: przypomnieć mniej znanych autorów piosenek z lat 30. Zaczęło się od tanga „Morfina" Stanisława Samuela Krebsa (Satto Cresta), później pojawił się walc „Opium" Andrzeja Własta, a kiedy Młynarski trafił na „Kokainę" Eugeniusza Milera z 1938 r., wiedział już, że musi szukać kolejnych narkotyków. Niektórych utworów w klasycznych aranżacjach można wysłuchać co prawda na YouTubie, ale to, co znalazło się na płycie, nie przypomina salonowych przebojów na skrzypce i fortepian. Młynarskiemu towarzyszą trąbki, puzony, waltornia i suzafon – wyłącznie instrumenty dęte blaszane – Brass Federacja. Dlaczego aranżować w ten sposób piosenki o miłości?

Młynarski: – Orkiestra dęta może być krzykliwa albo płaczliwa, ale ostatecznie jej brzmienie zawsze przypomina rodzaj lamentu. Piosenki, które wybrałem na tę płytę, są po prostu tak liryczne, że musiały być ciemne. „Świat Ordonki", z którego pochodzą, wcale nie był tak słodki i elegancki, jak na zdjęciach czy filmach z II RP, które lubimy oglądać: to nie tylko pióropusze, „zimny drań" i „miłość ci wszystko wybaczy". Utwory okresu międzywojnia, szczególnie te z końca lat 30., takie jak „Kokaina", są gorzkie. Jest w nich też zawsze jakiś twist – masz śmiać się i płakać, bawić i wzruszyć.

Zgadzamy się, że potrzeba, by nas wyłącznie bawić i rozgrzewać, wynika z nienasycenia powodowanego sentymentem, pobudzanego rodzinnymi historiami albo wyobrażeniem o kraju, który trochę byśmy chcieli, żeby był taki jak wtedy.

– Dorastając w latach 90. nieustannie słyszałem, że „tu u nas wreszcie jest Zachód" – wspomina Jan. – A potem brałem z półki zakurzony album i patrzyłem na Marszałkowską, która na starych zdjęciach wyglądała zupełnie jak Paryż, więc zacząłem się zastanawiać, o co tu chodzi.

– Ty jesteś sentymentalny? – dopytuję po chwili.

– Totalnie. Byłem późnym dzieckiem, moi dziadkowie pochodzili z kompletnie innej epoki. Ojca mojego ojca nie znałem, ale ojca mojej mamy pamiętam – rocznik 1905, piłsudczyk, PPS-owiec. Przeżył rewolucję w Rosji, a to są czasy dzisiaj niemalże tak odległe jak powstanie listopadowe. To wszystko było u nas w domu – scheda po II RP, jej legenda. Wcześnie we mnie weszły związane z nią nazwiska i postaci. Byłem dzieciakiem, do którego to przemawiało.

– Nie buntowałeś się?

– Trochę się buntowałem. Dlatego za małolata rozwaliłem mnóstwo starych płyt szelakowych, nie wiedziałem w ogóle, co to jest. Pamiętam tylko widniejące na nich piękne etykiety wytwórni Syrena Record. Braliśmy te płyty i jak frisbee rzucaliśmy nimi o ścianę, były kruche, tłukły się w drobny mak. Wiesz, starzy tego w ogóle nie pilnowali, walało się to po piwnicach. To właściwie paradoks, że mamy dziś dużo większy dostęp do przedwojennej fonografii niż pokolenie naszych rodziców. Ojciec, żeby poznać twórczość Mariana Hemara i zrobić spektakl w Teatrze Ateneum, musiał się strasznie napocić. Jestem przekonany, że o wielu piosenkach, które ja dzisiaj znam,

nie miał zielonego pojęcia. Gdyby było inaczej, znalazłyby się w tym spektaklu.

Bo mnie mój smutek goni

Spektakl w Ateneum, którego premiera przypadła na ostatni dzień lutego 1987 r., nie tylko przywrócił pamięć o Hemarze (którego teksty zresztą Wojciech Młynarski tu i ówdzie doszlifował). Był też przez lata – za sprawą świetnej reżyserii i obsady – niezwykle popularny. Siedzący na widowni Janek słyszy wtedy wiersze, skecze i piosenki – często niesłusznie przypisywane Julianowi Tuwimowi, z którym Hemar współtworzył kabaret Qui Pro Quo – po raz pierwszy.

Ryzykuję: – Co jest w piosence najważniejsze?

– Musi być krótka – odpowiada bez zastanowienia Młynarski. – Na jednej płycie szelakowej mieściły się trzy minuty muzyki. Wtedy też, przed wojną, został ustalony standard, który w zasadzie trzyma się do dziś. Ale najważniejsza jest oczywiście dobra melodia, a za melodią powinien iść błyskotliwy tekst.

– Trzy minuty? – upewniam się. – Dziś piosenki bywają sporo krótsze, coraz częściej zaczynają się też od refrenów.

– Dostosowują się do nowych nośników, instagramowych rolek, tiktoków. Ale dawniej też goniono za refrenami – opowiada Jan. – Śpiewacy bardzo często byli nazywani refrenistami, ludzi nie bardzo obchodziła zwrotka. Jest mnóstwo wersji tych samych starych piosenek, w których orkiestra gra wers, czyli zwrotkę, instrumentalnie, a głos wchodzi tylko na refren.

– Tempo jest ważne?

– Ojciec mówił, że piosenka to forma magiczna. Drzemią w niej wszystkie możliwe nastroje.

Pierwszy raz usłyszę ten bon mot w wypowiedzi Aldony Krasuckiej, pianistki i akompaniatorki, kiedy w dokumencie o Wojciechu Młynarskim opowiada Janowi o pewnej grze, która toczy się zawsze między tym, kto wykonuje piosenkę, a tym, kto jej słucha – ta gra to pewien rodzaj misterium.

Ale kiedy próbuję się dowiedzieć, dlaczego ze wszystkich możliwych nastrojów w „Narkotykach" Jan wybiera akurat „Smutek" (z pięknym tekstem Jerzego Jurandota), być może najsilniejszy z narkotyków, mój rozmówca na moment milknie. Kilka razy powie mi potem, że to tylko pogoń za liryką.

Ale może właśnie dlatego interesują go melodie, które były modne w ostatnich miesiącach tuż przed wojną, kiedy ludzie jeszcze szli kupować płyty. Grano je potem podczas okupacji, w różnych lokalach, często bez solisty. Mniej więcej do 1949 r. korzystano przecież w odradzającym się kraju głównie z materiału przedwojennego, władza jeszcze na to pozwalała.

Młynarski: – Mieczysław Fogg był jednym z pierwszych, którzy wrócili do Warszawy po wyzwoleniu. Już w marcu 1945 r. przy Marszałkowskiej, pośród ruin, założył kawiarnię Cafe Fogg i codziennie w niej występował. Schodzili się do niej z różnych stron muzycy, koledzy i koleżanki z instrumentami na plecach. Powstawały nowe orkiestry, które – niestety – nie miały już takiej swady i bigla jak przedwojenne, ale mimo wszystko były na bardzo wysokim poziomie. W tamtym czasie modny był na przykład film „Serenada w Dolinie Słońca" z muzyką Glenna Millera. Ludzie się bawili, tańczyli, aż władza się zaczęła orientować, że coś tu jest nie tak. I wreszcie w 1949 r. wchodzi w życie doktryna orzekająca, że zrywamy z wszelkimi amerykańskimi wątkami w muzyce.

KOBAS LAKSA / MATERIAŁY PRASOWE

JAN EMIL MŁYNARSKI
jest muzykiem, kompozytorem, wokalistą, producentem i dziennikarzem radiowym. Znawca i popularyzator polskiej muzyki z lat 1918-1949, swoją działalność nazywa „archeologią piosenkową". Gra w zespołach Warszawskie Combo Taneczne i Jazz Band Młynarski-Masecki. Ostatnio ukazała się jego płyta „Narkotyki".

Był raz, tak się ta bajka zaczyna

Ale potem znów przyjdą lata dla piosenki przełomowe – Przybora, Młynarski, Kofta, Osiecka. Niedługo po 1956 r. kultura dancingowa powraca.

– A potem rodzi się bigbit i dla jego przedstawicieli orkiestry Syreny Rekord to już będą dziadki – ucina Jan.

– Aż do dzisiaj.

– Tak, przy czym, co ciekawe, myśmy się na nic nie umawiali. Pamiętam dokładnie te momenty, kiedy spotykam jednego, drugiego czy trzeciego kolegę i zaczynamy mówić o tym samym: że chcielibyśmy sięgnąć do kultury podwórkowej i dancingowej, zagrać stare piosenki. I wszyscy zaczęliśmy ostatecznie to robić, każdy trochę inaczej i każdy coś innego.

– Jak to sobie tłumaczysz?

– Mamy dziś dużo łatwiejszy dostęp do archiwów. Jak zaczynaliśmy grać pierwsze koncerty około 2009 r., umieliśmy tych starych piosenek kilkanaście, teraz mamy w repertuarze około dwustu, możemy jechać z głowy parę godzin.

– Gracie w sztafecie pokoleń?

– Amerykanie potrafili tak zadbać o swoje piosenki, że dla nich Cole Porter, Irving Berlin czy bracia Gershwin to jest całkiem współczesna kultura, czyli jej rozpięty, poplątany i skomplikowany korzeń. A u nas to, co ja robię, wciąż ma łatkę retro. Nie zgadzam się z tym. Myślę o tej muzyce właśnie w ten sposób, jak o swoich korzeniach. A od myślenia, wierzę, wszystko się zaczyna.

A ja lubię wierzyć, że zaczęło się od fraka, który Jan odnalazł, porządkując mieszkanie po ojcu. Głęboko w szafie wisiał strój, w którym Wojciech Młynarski występował w Teatrze Ateneum, dając nowe życie twórczości Hemara. Kiedy Jan szedł po raz pierwszy zagrać koncert Jazz Bandu Młynarski-Masecki, postanowił ten frak po ojcu włożyć. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Śródtytuły pochodzą z tekstów piosenek zamieszczonych na płycie „Narkotyki" albo wymienionych w tekście.

NARKOTYKI
Jan Emil Młynarski & Brass Federacja
Wydawca: Mystic Production

TOMASZ

Stawiszyński:
Leczenie objawowe

Nie trzeba być wyznawcą teorii spiskowych, żeby dostrzec szczególne – i powiedzmy to sobie od razu: problematyczne – położenie, w jakim znajduje się współczesna medycyna. Tyleż nauka, co sztuka. Tyleż sfera praktycznych aplikacji wiedzy wypracowywanej przez inne dziedziny, co obszar autonomiczny. Wreszcie – tyleż działalność bezinteresowna, podporządkowana misji i wartościom ujętym w przysiędze Hipokratesa, co praktyka poddawana różnym zewnętrznym presjom, pragnieniom i oczekiwaniom. Jak również – *last but not least* – pozostająca w specyficznym mariażu z koncernami farmaceutycznymi. Czyli podmiotami funkcjonującymi w realiach rynku, a zatem naturalnie określanymi przez rynkowe prawa. W tym prawo fundamentalne, które stanowi, że zysk i ekspansja to warunki konieczne przetrwania.

Nie oznacza to bynajmniej – jak z przekonaniem głoszą wyznawcy teorii spiskowych – że koncernom farmaceutycznym „zależy na tym, żeby ludzie chorowali" i dlatego wciąż niecnie knują, jak by tu nas wszystkich umiejętnie, a dyskretnie wpędzać w choroby. Oznacza to tylko tyle, że niektóre obecne w medycynie kierunki badań, aktywne lub gasnące trendy, punkty ciężkości oraz generalne nastawienia (np. prewencja vs. leczenie chorób już istniejących) nie zawsze wynikają, nazwijmy to, z czystej wiedzy o świecie. Nader często natomiast okazują się efektem negocjacji pomiędzy imperatywem pomocy cierpiącym, którym kieruje się medycyna, a imperatywem ekonomicznego sukcesu, którym kierują się firmy produkujące leki.

Niekiedy – choć coraz rzadziej, w przeciwieństwie do tego, co uważają wyznawcy teorii spiskowych – faktycznie przynosi to fatalne skutki. Najwyraźniej widać to na przykładzie epidemii opioidowej w Stanach Zjednoczonych. Historia ta jest dzisiaj na różne sposoby opowiadana i ujawniana – w kolejnych demaskatorskich tekstach, książkach, filmach dokumentalnych czy serialach (ostatnio m.in. w fascynującej książce „Imperium bólu" autorstwa Patricka Raddena Keefe'a czy serialu „Painkiller" dostępnym w ofercie Netfliksa). Zasadniczą rolę odgrywa w niej klan Sacklerów – amerykańska rodzina od trzech pokoleń działająca w branży farmaceutycznej. Najpierw, na przełomie lat 50. i 60. Arthur Sackler zarobił gigantyczne pieniądze tworząc wyjątkowo skuteczną – tyle że opartą na manipulacji i kłamstwach – kampanię reklamową benzodiazepin, popularnych leków uspokajających (co w niedługim czasie spowodowało masową falę uzależnień). 30 lat później jego bratanek Richard Sackler walnie przyczynił się do rozwoju epidemii opioidowej, produkując i (w ten sam oszukańczy sposób, co wcześniej stryjek) reklamując OxyContin. Środek wielokrotnie silniejszy od morfiny, którym w ostatnich dekadach Ameryka została *de facto* zasypana. W samych tylko Stanach Zjednoczonych doprowadziło to do śmierci kilkuset tysięcy ludzi, a miliony wpędziło w ciężki nałóg.

Bez wątpienia dobrze, że historia tej do cna zdemoralizowanej rodziny potentatów farmaceutycznych staje się wreszcie powszechnie znana. Obawiam się jednak, żeby to słuszne oburzenie i potępienie Sacklerów nie przysłoniło nam fundamentalnie systemowego charakteru zjawiska. Owszem, Sacklerowie zachowywali się w sposób skrajnie cyniczny i podły, niemniej... ktoś im przecież takie zachowanie latami umożliwiał. Jakieś agencje rządowe wydawały pozwolenia, jakieś agencje konsultingowe i reklamowe opracowywały strategie komunikacyjne, jacyś lekarze bez opamiętania wypisywali recepty. I wreszcie – jakaś rzeczywistość społeczna i kulturowa wpędzała ludzi w tak straszne poczucie beznadziei i rozpaczy, że narkotyk okazywał się niekiedy – paradoksalnie – jedynym wytchnieniem (choć przecież po chwili przynosił cierpienie i śmierć).

I to właśnie o tym potrzebna jest nam dzisiaj uczciwa dyskusja. O Sacklerach też oczywiście – są oni jednak tylko objawem choroby, nie zaś jej źródłem. A pamiętajmy, że to między innymi właśnie z jednostronnej koncentracji na niwelowaniu objawów wzięła się epidemia opioidowa. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

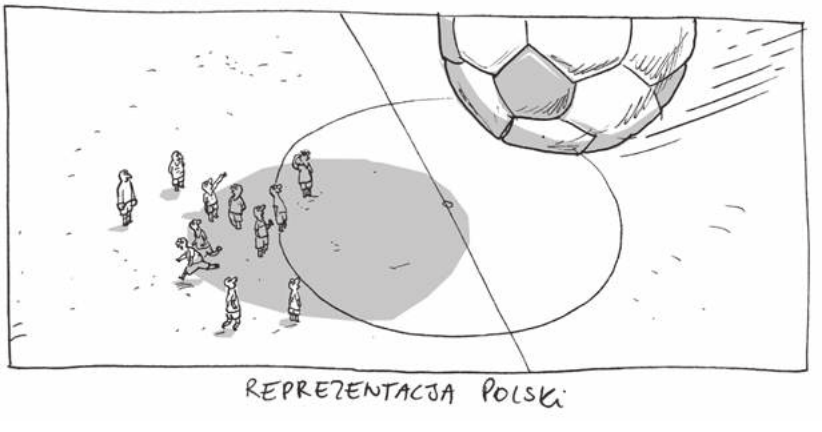

REKLAMA

PIŁKA NOŻNA TO **PIĘKNA GRA**.
PIŁKA NOŻNA TO **WSTRĘTNA GRA**.

NOWA KSIĄŻKA
MICHAŁA OKOŃSKIEGO

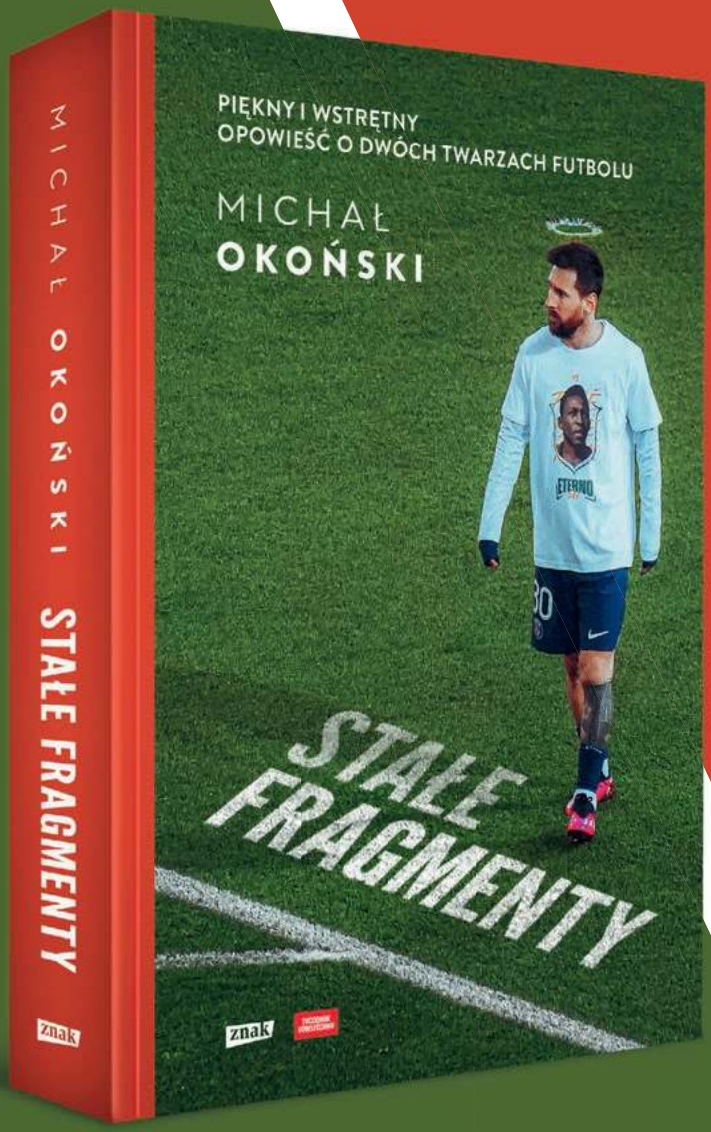

Stałe fragmenty to niezwykły portret współczesnego futbolu. Jego piękna i brzydoty. Rozczarowań i zachwytów. Michał Okoński opowiada tak, że kibice zakochują się w piłce jeszcze bardziej, a ci, którzy trzymali się od niej na dystans, czują zaproszenie do nowej przygody.

znak TYGODNIK POWSZECHNY

©Grażyna Makara

WEJDŹ DO HISTORII!

MUZEUM HISTORII POLSKI

Otwarte od 29 września 2023

Cytadela Warszawska

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

muzhp.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

REKLAMA